



Opowieści Taity

cz. III

Arcykaptan



Damian Ryszka

Arcykapłan

Opowieści Taity cz. III

Spis treści

Arcykapłan	
Ammit - demon zła	
Nowy dom	
Przesłanie	
Tama	
Historia Necheba	
Tajemnica Neferi	
Oko „Ka”	
Histria Akme i Amenet’a	
Nebtawi i wyjazd Neferi	
Skarbiec i jego tajemnice	
szara codzienność	
Tragiczna historia Nudhar	
„Rodzinne” tajemnice	
Sąd	
Choroba	
Skarb świątyni	
Zaraza	
Śmierć starego arcykapłana	Pogrzeb
Nowi przyjaciele	Przemyslenia Echa ostatnich wydarzeń. Wizyta w pałacu
Sprzedawca daktyli	
Dżumana	
Nowe pomysły i nagroda	
Przygotowania do uroczystości	
Hut — Ka — Ptah (Świątynia Ptaha)	
Droga do święceń	
Nocne czuwanie	
Arcykapłan	
Posłowie	
Recenzje (BRD) Jerzy K. ad. książki „Jestem Taita”	Recenzje Pani
Barbary R.	



Moim przyjaciołom:
Ewie Karańkiewicz — Halewskiej
i Krzysztofowi Karańkiewicz
dedykuję tę książkę
Motto:

„Jeżeli kiedyś odnajdziecie naszych braci, lub ich potomków, powiedzcie im o nas.

Poznacie ich po pięknym obliczu i pięknym „ka”, ale to drugie jest ważniejsze, jak to pierwsze, gdyż ułuda piękna łatwo oczarować wasze umysły. Nie każde piękno jest zwierciadłem dobra.”

(fragmenty rozdziału: Przesłanie”)



Ammit - demon zła

Zawsze jest tak, że coś się zaczyna, a coś się kończy. Czas jest jak kropla wody z Nilu, która wpływa do wielkiego morza i nigdy już nie powraca do miejsca w którym była jeszcze przed chwilą. Tak i nasze życie upływa nie dając nam szans na powrót do tego, co już minęło. Czas pozostawia nam pamięć o tych co odeszli, ale nie zawsze i nie każdemu. Może dla niektórych to i lepiej, aby nie cierpieli z jakiegoś powodu. Każdy z nas chce zapamiętać te lepsze chwile, bo te, dają nam radość tego, co już odeszło. Chwile złe są drzazgą w naszej pamięci i ranią nasze „ka”, więc staramy się o nich zapomnieć.

Puste i palone promieniami Ra tereny za miastem stały się teraz jednym wielkim placem budowy. To sprawiło słowo jednego człowieka, władcy tych ziem: faraona, Menesa. On, pan i władca Kemetu, pan życia i śmierci, jednym skinieniem dawał i odbierał. Mógł decydować o życiu każdego ze swoich podwładnych, ale czy tak powinno być?

Ze stosu suszonych cegieł powoli powstawały budynki naszego klasztoru. Ten przypominał raczej małe miasteczko, aniżeli jedną budowlę. Do pracujących przy budowie, doprowadzano kolejnych podatników, a także i niewolników i tempo robót, rosło. Moi kapłani dbali o wszystko, a ja sprawdzałem ich poczynania, udzielając czasem rad i wskazówek. Odwiedzałem też teren działania Orypisa, zapoznając się w kolejnymi postępami budowy tamy. Niekiedy wieczorami wracałem na plac świątyni, albo nad rzekę, gdzie nieprzerwanie trwała produkcja masy do produkcji cegieł. Kiedy przyświątynne budynki zostaną ukończone, zacznie się cięższa praca, polegająca na pozyskaniu białego kamienia do budowy murów świątyni.

Kiedy odprawiłem już Kazema do domu, wybrałem się ponownie na plac budowy, a potem poszedłem nad rzekę. Lubiłem tam siadać na pniu palmy, który musiał tu przywędrować za przyczyną jednego z ostatnich wylewów naszej świętej rzeki. Tam często siadali też gwardziści Akara pilnujący niewolników. Nikt z tych biedaków jednak nie uciekał, bo bał się pustyni, albo straży, które patrolowały drogi do i z Ineb — Hedż. Także dostatek jedzenia i przerwy na wypoczynek zrobiły swoje. Ci ludzie nadal mieli nadzieję, że kiedyś będą wolnymi. Niestety do tej pory nieliczne tylko wyjątki zaznały takiego ułaskawienia.

Widok z tego niewielkiego pagórka, (gdzie leżał pień) obejmował część rzeki i wszystkie doły, gdzie „deptacze” mieszały muł ze słomą. Z obydwu stron rosły gęste trzciny i papirus okalający, jakby niewielką zieloną zatokę, która kiedyś pewnie była meandrem rzeki. Pagórek leżał blisko wody, nie więcej, jak o jeden rzut włóczni. Jedne grupy pracujących odpoczywały na brzegu, a inne w tym czasie produkowały masę do wyrobu cegieł. Całe chmary dzieciaków biegały brzegiem

rzeki tam i z powrotem, bawiąc się na różne sposoby i wrzeszcząc przy tym wniebogłosy. Rodzice niektórych z nich pracowali w tych dołach, więc i dzieci trzymały się w ich pobliżu. Jedyne pociechy niewolników biegały osobno, nietolerowane przez te drugie, (ludzi pozornie wolnych, odrabiających pańszczyznę). Był to dla mnie przykry widok, gdyż dzieci nie rozumiały tego świata przemocy, a z drugiej strony już potrafiły gardzić tymi, których los zesłał na samo dno tego ziemskiego piekła. Taką postawę wynosiły ze swoich domów, ulicy i zachowania możliwych tego świata. Grupki tych lepszych i niby tych gorszych pluskały się w oddaleniu, odczuwając te same przyjemności, co ich przeciwnicy. Zacząłem przyglądać się gromadce dzieci niewolników, bo nawet i między nimi, dochodziło do podziałów. Zauważyłem, że dwójka z nich, chłopczyk i dziewczynka, (prawdopodobnie rodzeństwo) bawią się na uboczu, odrzuceni z rówieśniczej grupy. Od czasu, do czasu w ich stronę leciały kamienie, jeśli tylko podchodzili bliżej do tej gromadki. Dziewczynka mogła być w wieku około dziesięciu wylewów Nilu, zaś chłopczyk o jakieś dwa, młodszy. Dziewczynka była w okresie dojrzewania, ale nie krępowało ją bieganie i kąpiel na golasa, ze swoim braciszkiem. Dzieciaki nie przejmowały się zbyt swoim ubiorem, bo wielu nie było na taki stać, a jedynie dzieci tych trochę bogatszych nosiły biodrowe przepaski wykonane z długiego skrawka lnianego płótna.

Jak już wspominałem, teren był wolny od krokodyli z powodu braku ryb, więc i dorośli korzystali tu z kąpeli, lecz dzisiaj było inaczej. Dziewczynka i chłopczyk, bawiąc się łódkami z kory, (jak to często bywało podczas zabawy w wodzie), coraz bardziej przesuwali się w stronę drugiego brzegu zatoczki w kierunku rosnących tam papirusów.

W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że papirusy, jakby się poruszyły chociaż dzień był dzisiaj bezwietrzny. Ktoś, lub coś przesuwano się w stronę baraszkującej tam pary dzieciaków. Zaniepokoiła mnie ta sytuacja, więc poprosiłem gwardzistę siedzącego obok mnie o włócznie. Schodząc z pagórka widziałem, że papirusy faktycznie ustępowały przed czymś, co było blisko ziemi, gdyż człowiek byłby tam widoczny.

— „Krokodyl, za chwilę dzieciaki będą w niebezpieczeństwie” — pomyślałem.

Zacząłem biec, kiedy faktycznie zza ściany roślin cielsko wielkiego krokodyla prawie bezszelestnie zniknęło w mętnej wodzie. Płynął w ich stronę, wykonując powolne ruchy. Z wody wystawały tylko oczy, górna część głowy i kawałek grzbietu. Bestia szykowała się do ataku. Kilka razy krzyknąłem na dzieci, aby wyszły z wody. Te, zajęte swoimi łódeczkami nawet nie słyszały mojego wołania.

Nie miałem wyjścia. Rozpędziłem się i z całej siły cisnąłem włócznie w stronę zwierzęcia. Celowałem w miejsce (z boku) tuż za głową, gdzie pancerz

drobnych łusek prawie nie chroni jego ciała.

Świst włóczni i woda zakotłowała się, niczym przy gotowaniu na ostrym ogniu. Trafiłem idealnie i włócznia weszła głęboko w szyję zwierzęcia, zagłębiając się przy tym w kierunku środka jego ciała. Trafiony krokodyl zaczął teraz swój taniec śmierci. Pyskiem próbował ugryźć drzewce włóczni, ale nie potrafił ich sięgnąć. Kręcił się wokół siebie łamiąc je przy okazji o dno rzeki.

Dopiero teraz dzieciaki zauważyły, co się dzieje niedaleko od nich. Z wrzaskiem pouciekały z wody i w jednej chwili nie było tam żadnego. Cały ten dramat nie skończył się tylko na jednym krokodylu. Nie zauważyłem drugiego, który musiał się zsunąć do wody tuż za tym pierwszym. Ten był większy i mógł mierzyć około półtora długości włóczni. Widząc i czując pewnie krew tamtego, zaatakował go, jak swoją ofiarę. Coraz więcej czerwonych plam barwiło mętne wody świętej rzeki. Skinąłem na przyglądających się gwardzistów i po chwili dwóch zbrojnych stało już obok mnie.

— Rzucajcie, tego też trzeba będzie zabić, gdyż będzie zagrażał naszym pracującym tu ludziom.

Żołnierze niechętnie wykonali moje polecenie, uważając te zwierzęta za świętość. Jednak po chwili ich włócznie, także sięgnęły drugiego zwierzęcia.

— „Dobrze, że ten pierwszy płynął w moim kierunku, inaczej nie byłoby zbyt ciekawie, bo włócznia mogłaby nie przebić grubej skóry zwierzęcia” — pomyślałem.

— Panie, nie boisz się gniewu wielkiego Sobka i Hapi’ego, syna Horusa, to święte zwierzęta i ich słudzy? — zapytał ten od włóczni.

— Zaraz uczynimy zadośćuczynienie w tej sprawie. Biegnij teraz do naszej polowej kuchni i znajdź tam hemu — neczer o imieniu Said, (pewnie znasz) bo jest szefem wymierzaczy i powiedz mu, że z mojego polecenia, ma ci dać dwa żywe kurczaki przeznaczone na rzeź, dla naszych ludzi. Jeszcze jedno, czy widziałeś kogoś z nas, aby rzucał włócznią w święte krokodyle? Te, nie są świętymi — dodałem to z naciskiem, wiedząc, że nie uwierzy w słowa kapłana.

— No nie, panie, no, no chyba no, nic nie widziałem.

— Jeszcze raz ci mówię, że świętych zwierząt tu nie widziałeś, a wy? — zapytałem tych, co zabili drugiego.

— My panie, widzieliśmy tylko jakieś wielkie bestie, to były pewnie jakieś demony w krokodylej skórze — dodał ten drugi.

— Mądry jesteś, bo je rozpoznałeś i daleko zajdziesz, a ja się o to postaram, abyś wkrótce awansował. Tu potrzeba nam takich mądrych ludzi, jak ty — odpowiedziałem gwardziście.

— Tak to były demony, jeszcze raz potwierdziłem głośno jego wypowiedź.

Gwardzista z uśmiechem na twarzy ruszył do obozu i po chwili zniknął za zakrętem. Wszyscy stali teraz osłupieni i zdziwieni tym wydarzeniem. Ciała

krokodyli spływały powoli z prądem rzeki.

— Panie, nie było by lepiej zostawić te dzieciaki w ofierze wielkiemu Sobkowi, to przecież dzieci niewolników? Ty panie zjednałbyś sobie jego łaski.

— Zamilcz, albo zamilkiesz do końca swoich dni — powiedziałem ostro do tego drugiego gwardzisty. Rozumem to ty nie grzeszysz, dlatego wciąż jesteś zwykłym żołnierzem. Wielki Sobek podziękuje wam i mnie za to, że zabiliśmy pływające demony w jego rzece.

Moje słowa były tak przekonywujące, że gwardziści nie pytali już o nic. Świadców tego wydarzenia było sporo, więc musiałem jeszcze coś zaradzić, a mogłem wiele będąc tak wysoko postawioną osobą. Zwróciłem się teraz do całej tej gapiącej się gromadki i zacząłem swoją mowę.

— To, co widzieliście może się wam kojarzy ze złem, jakie wyrządziłem wielkiemu Sobkowi. Jednak mówię wam, że ciała tych zwierząt opętał wielki demon zła, Ammit. Przecież wiecie, że ta potworna bestia przypominająca skrzyżowanie lwa, krokodyla i hipopotama, (zwana także pożeraczem serc) tylko czyha na okazję, aby zadowolić się każdą zdobyczą. Nie zawsze ludzkie serca są lżejsze od pióra sprawiedliwej bogini Maat. To za przyczyną tej bestii, dzieci były w wielkim niebezpieczeństwie i nie jest istotne, czy są to dzieci niewolników, czy wasze dzieci, ludzi wolnych, tu chodzi o samego demona. Najpierw zabiłby je, a potem przyszedł po ich i wasze „ka”. Czy tego byście chcieli?! — dodałem to bardzo głośno, aby wszyscy usłyszeli.

Pośród tłumu przeszedł szmer aprobaty dla mojej wypowiedzi, a ja mówiłem dalej:

— Wielki Sobek pozwolił nam zabić te zwierzęta — demony. Gdyby tak nie było, to nasze włócznie skierowałyby się przeciwko nam. One jednak dosięgły tego zła, jakie drzemało w ich „chet” opanowanych przez Ammita. Mam nadzieję, że groty naszych włócznie, wyzwolą czyste „ka” z ich opętanych ciał. By nie urazić wielkiego Sobka, złożymy w ofierze zwierzęta, a on w swojej wiekiej łaskawości wybaczy nam to przewinienie skalania wody, krwią demonów i będzie zadowolony z naszego postępowania. Nas zrobił tylko narzędziem w swoim ręku.

— Chwała wielkiemu Sobkowi i Hapi’emu! — zawołałem głośno.

Tłum powtórzył to za mną. Okrzyk chwały dla bóstwa, powtórzyłem jeszcze dwa razy. Kiedy kończyłem, nadbiegł zdyszany gwardzista, trzymając za nogi dwie trzepoczące się kury. Zabrałem mu jedną z nich i wszedłem do wody. Wyjąwszy nóż, uderzyłem ją rękojeścią w głowę, aby ogłuszyć, a zaraz potem podciąłem gardło. Krew popłynęła strużką do wody.

— O wielki Sobku, panie tych świętych wód, wielki panie Nilu, przyjmij ten skromny dar twoich niegodnych sług, a krew tych zwierząt niechaj oczyści wody naszej świętej rzeki ze zła i demonów, jakie ją opętały.

Na moje słowa, cały tłum wraz z gwardzistami upadł na kolana i bił pokłony

w stronę rzeki w takim uniesieniu, jakby sam wielki Sobek miał się ukazać na środku Nilu. Zabrałem żołnierzowi drugiego kurczaka i uczyniłem identycznie, jak za pierwszym razem, powtarzając te same słowa jak wcześniej, lecz skierowane do Hapi'ego. Kiedy ukończyłem ceremonie składania ofiary, wyszedłem z rzeki, nadal schylony w jej kierunku. Tłum nadal klęczał.

— Wstańcie i wracajcie do swoich zajęć.

Ludzie rozchodzili się powoli, dyskutując między sobą o zaistniałym wydarzeniu. Teraz podszedł do mnie ten, któremu obiecałem awans.

— Panie, kto nauczył cię tak doskonale władać włócznią. Zrobiłeś to z taką precyzją, że nie powstydziliby się niejeden gwardzista.

— Zaspokoję twoją ciekawość, żołnierzu. Od dziecka ćwiczyłem się we władaniu bronią, chociaż niezbyt to lubię. Ponadto moi bracia: Karim i Amin, (pewnie ich znasz) byli dla mnie mistrzami, nie tylko w rzucie włócznią, ale także władaniu mieczem, czy strzelaniu z łuku. Obaj są gwardzistami Menesa. Akurat nie ma ich na dworze władcy, ale zapewniam cię o ich sile i sprawności.

— Tak znam ich panie, bo to wybitni dowódcy, ale wybacz, że nie wiedziałem, iż to twoi bracia.

— No to teraz już wiesz i nie pytaj już o nic, a co do twojego awansu, to jeszcze dzisiaj porozmawiam z Akarem i pewnie wkrótce zostaniesz setnikiem w gwardii Menesa. Bo ten twój dowódca, (tu wspomniałem o tym drugim żołnierz), nie nadaje się do tej roli, jaką mu powierzono. Ty jesteś mądrym człowiekiem, a takich potrzeba teraz naszemu władcy. Jakie twoje imię, bo Akar musi wiedzieć, o kogo chodzi?

— Panie, zwą mnie Awi — odparł zadowolony z obiecanego mu awansu, gwardzista.

Szeroki uśmiech zagościł teraz na jego twarzy. Dla niego awans oznaczał także większy żołd, nie mówiąc o pozycji społecznej.

— Możecie odejść, ale najpierw zawołajcie do mnie tę dwójkę dzieciaków, które miały być śniadaniem demonów.

Zbrojni, posłusznie wykonali moje polecenie i po chwili nagie i umorusane urwisy stały przede mną, a raczej klęczały u moich stóp.

— Dostyc już tych pokłonów — powiedziałem ostro do dzieciaków, aż sam się zląkłem, czy ich zbyt nie wystraszyłem, co nie było moim zamiarem.

— Dziewczynka wstała, jako pierwsza, za nią chłopiec.

— Jesteście rodzeństwem?

— Tak panie, ja jestem Anwar (Promień Światła), a to mój młodszy brat Kufu. Jemu bogowie zabrali mowę i nie słyszy od urodzenia. Wybacz mu panie i nie pytaj go o nic, bo nie potrafi ci odpowiedzieć, ja jestem jego językiem i uszami.

— Od urodzenia nie mówi? — zapytałem, jakby z niedowierzaniem.

— Tak panie, od urodzenia.

— A gdzie wasi rodzice, sami byliście tam w wodzie? Inne dzieci was unikają i rzucają w was kamieniami, dlaczego?

— Panie to z powodu mojego brata, bo on jest inny, jak wszyscy. Sam widzisz panie? My nie mamy już rodziców, jesteśmy pod opieką naszej siostry. Ona panie pracuje tam w dole i miesza muł ze słomą, ale najlepiej ze wszystkich kobiet na tym świecie potrafi gotować, tylko czasem nie mamy, co ugotować. Teraz jest trochę lepiej, bo jesteśmy tu, na budowie. Tylko ona tak ciężko pracuje i dzieli się z nami swoim jedzeniem

— A wy, co tutaj robicie?

Panie, my biegamy z wodą roznosząc ją w dzbanach pomiędzy pracującymi przy budowie. Niekiedy za przyniesioną wodę ktoś dobry da nam kawałek chleba, albo coś do zjedzenia.

Ta wypowiedź dziewczynki na temat pomagania starszym dała mi wiele do myślenia.

— „Dzieci także pracują, ale bez wyżywienia? Rodzice dają im część swoich porcji? Tak nie może być”.

— Zawołajcie tu waszą siostrę, ale zanim do mnie podejście, niechaj wykąpie się w rzece. Teraz krokodyli — demonów, już tam nie ma. Tak będzie przez dłuższy czas, ale i tak wystawimy jeszcze dodatkowe warty. Pogadam w tej mierze z Akarem — to drugie, powiedziałem już bardziej do siebie, niż do dziewczynki.

Oboje pobiegli w stronę ostatniego dołu i po chwili wyszła z niego, jakaś umorusana od mułu dziewczyna i poszła w stronę rzeki. Po dłuższej chwili klęczała już u moich stóp.

— Witaj, panie i dziękuję ci za ocalenie Anwar i Kufu. W zamian zrób ze mną, co jest twoją wolą, bo i tak jestem własnością wielkiego Menesa, a ty jego ramieniem.

— Wstań dziewczyno, ale najpierw powiedz mi, jakie twoje imię.

— Jestem Rabia, (Ogród), bo kiedyś rodzice mówili mi, że jestem pięknym ogrodem ich miłości, stąd to imię. Odeszli w naszym ogrodzie, zabici przez handlarzy niewolników. Wtedy zginęli wszyscy: rodzice, dziadkowie i bracia, którzy bronili naszego domu. Odeszli zaszlachtowani przez poganiaczy, niczym rzeźne zwierzęta. Dobrze, że tych dwoje tego nie widziało, bo ukryłam ich w obórce. Jednak i tam, mnie i ich znaleziono, aby później nas sprzedać.

— Smutna twoja opowieść dziewczyno — zwróciłem się do Rabii.

Nie odpowiedziała, tylko łzy spłynęły po jej policzkach. Była to pośredniej urody młoda jeszcze kobieta w wieku około osiemnastu wylewów Nilu. Przyglądałem się jej przez chwilę. Gdyby była dobrze zadbaną, wyglądałaby o wiele powabniej niż teraz. Teraz pół naga, tylko w przepasce z niezbyt obfitymi

piersiami, bardziej przypominała czternastoletnią dziewczynę, niż dorosłą kobietę. Na niedomytej twarzy w kącikach oczu, uszu, miała jeszcze sporo mułu, a także wielkie siniaki pod oczyma sprawiały, że jej wygląd raczej odstraszał, niż przyciągał uwagę mężczyzn.

— Kto cię uderzył i dlaczego? — zapytałem.

— Jeśli powiem panie, to on mnie znowu pobije, a i ciebie się boję.

— To już więcej razy byłaś bita? — powiedziałem to tak, jakby nie spodziewając się po niej odpowiedzi.

Dziewczyna milczała.

— Pytam raz jeszcze, kto to zrobił?

— Boję się mówić, panie.

— Nie bój się, już nikt cię tu nie uderzy, taki wydałem nakaz, a ktoś go złamał i musi za to odpowiedzieć.

— Panie on nie tylko mnie bił, ale i wykorzystywał, chociaż go nie pragnęłam.

— Więc mów, kto? — zapytałem bardziej ostro.

— To tamten gwardzista, panie, ten od którego wzięłeś włócznię.

— Zatem dobrze, że już wiem, a ty nie wrócisz już tam do dołu, a z nim, (tu wskazałem na gwardzistę) porozmawiam sobie jutro w obecności Akara i wiedz, że nie ujdzie mu to na sucho.

— Co z nami zrobisz panie, gdzie ma teraz iść, skoro nie do dołu z gliną?

— Zabierzesz rodzeństwo, a teraz wracając zaprowadzę was do kuchni. Słyszałem od Anwar, że doskonale dajesz tam sobie rady, więc będziesz gotowała posiłki dla pracujących przy budowie.

— „Zobaczmy, co potrafisz, może kiedyś (...)?” — pomyślałem o kuchni Menesa, jeśli będzie naprawdę w tym dobra.

— Jeszcze jedno, wróć do rzeki i wykąp się jeszcze porządniej, bo w kuchni nie lubię brudasów, a ja poczekam tu na ciebie z twoim rodzeństwem.

Rabia pobiegła do Nilu, gdzie o tej porze kąpała się już cała rzeszta pracujących w dołach ludzi. Od wody dobiegał ich gwar i śmiechy.

— „Śmiali się, jak ludzie szczęśliwi, a jakimi byli naprawdę?”

Kiedy dziewczyna wróciła poszedłem z nimi do kuchni. Temu, który kierował tymi ludźmi nakazałem zakupienie dodatkowych saganów do gotowania, oraz zatrudnienie Rabii przy kuchennych pracach. Rodzeństwo Anwar, miało nadal roznosić wodę i jedzenie. Said otrzymał też polecenie wydawania wszystkim pracującym dzieciom, po pół porcji jedzenia, jakie otrzymywali dorośli. Może nie było to czymś wielkim, ale już poprawiało sytuację wyżywienia, dla wielu rodzin. Anwar wraz z rodzeństwem, znalazła też schronienie w jednym z namiotów przygotowanych dla służb kuchennych.

— Jutro tu do was wrócę — powiedziałem do dziewczyny.

Moim zamiarem było sprawdzenie jej w roli kucharki, a potem polecenie Menesowi na dwór. Byłaby wtedy pod moim okiem, a jej życie byłoby po stokroć lepsze.

— „Ilu mogę jeszcze pomóc?”

Chciałbym im wszystkim, to jednak nie było możliwe., bo nie ten czas i nie to miejsce. Wiedziałem, że muszę do tego dążyć, aby tych szczęśliwszych było, jak najwięcej.

— „Muszę postępować mądrze i rozsądnie, bo i sam mogę szybko stracić takie możliwości, a wtedy już nie pomogę nikomu. Wiem, że nigdy nie nadejdą takie czasy, aby zmienić wszystko na lepsze. Zawsze będą ci lepsi i zawsze ci krzywdzeni” — pomyślałem.

Zostawiłem dzieciaki w obozie, a sam wróciłem do domu Akara. Ned i Nitakaris czekały już na mnie z wieczornym posiłkiem, a Dar z Nechebem krzatali się jeszcze w stajni przy naszych osiołkach. Kiedy wrócili, opowiedziałem im wszystkim o mojej przygodzie z dziećmi. Bardzo byli tym wzruszeni, co dla nich zrobiłem, nie mówiąc o uratowaniu im życia.

— Panie, jak kiedyś bałam się ciebie, że będziesz mnie krzywdził, a ty jesteś taki dobry dla wszystkich. My z Darem kochamy cię za to — powiedziała Ned.

— Dziękuję wam, potrzebne mi takie wasze wsparcie, nawet w słowach.

— A teraz chciałbym was zapytać, co wy byście zrobili temu gwardziście, (będąc jego dowódcą, jak Akar) za krzywdy jakie czynił tej dziewczynie?

— Panie, ja bym go wykastrował — pierwszy odezwał się Necheb.

— Ja też i ja też, po kolei przyłączyły się do jego wypowiedzi dziewczyny.

Dar milczał.

— A ty, Dar?

— Nie wiem panie i nie ja będę go osądzał.

— A ty, panie? — wtrąciła Ned.

— Ja zgadzam się z Darem, bo nie jestem sędzią, nigdy nim nie byłem, nie jestem i nie chciałbym być.

— Tak panie, twoja mądrość jest wielka, a my tylko jesteśmy wieśniakami.

— To nie zależy, skąd pochodzisz, lecz co czujesz? Dar także jest dzieckiem wsi, a myśli inaczej niż wy.

— Wybacz nam, panie — odezwała się Nitakaris.

— Nie trzeba wybaczania, bo nie ma w was winy. Czasem tylko gniew powoduje nasze uniesienia, ale ten trzeba w sobie poskromić. Poskromić także i swoje żądze tak, jak miał to uczynić ten gwardzista. Pewnie za te czyny spotka go zasłużona kara. Kiedy wróci Akar, opowiem mu o występkach tego żołnierza i to on zadecyduje o jego losie, to jego człowiek i jego rozkazy złamał. Na dodatek był dowódcą — setnikiem, a taki powinien być przykładem dla innych, a on zlekceważył wydane polecenia i nie tylko. Żał mi tylko tych dzieciaków, ale i im

zamierzam jeszcze pomóc, a na ile? To się wkrótce okaże.

— Panie, zabierz ich do siebie, a ja się nimi zaopiekuję, odparła Nitakaris, wiedziona pewnie jakimś macierzyńskim instynktem.

— Tak byłoby dla nich najlepiej, ale pamiętaj, że jeszcze nie mieszkam w swoim domu, a to dom, Akara.

— No tak, ale?

— Nie martw się dziewczyno, bo i tak im pomogę.

Nasza dyskusja o dzieciach trwała jeszcze do powrotu Akara.

Ten zmęczony po służbie, przysiadł się do nas i słuchał, o czym rozmawiamy.

— Dobrze, że jesteś Akarze, mam do ciebie nieprzyjemną sprawę, która wymaga twojej interwencji, a dotyczy twojego gwardzisty — setnika.

Tu opowiedziałem mu całą historię Rabii i jej rodzeństwa.

— Wiesz, że wydałem wszystkim zakaz bicia niewolników, nie mówiąc o innych sprawach o jakich wspominałem. Przypadki nieposłuszeństwa mają być zgłaszane przez kapłanów i twoich nadzorców do mnie, lub do Kazema. Ten żołnierz nie usłuchał i podlega karze i to przykładowej. To zostawiam tobie, gdyż do jego dowódcy należy jej wymierzenie.

Akar zastanawiał się długo, pewnie nie wiedział, jak z tego wybrnąć?

— Wiesz Taito, stanie się tak, aby ten człowiek zrozumiał swoje złe zachowanie. Czym grozi złamanie rozkazu, to wiesz?

— Wiem Akarze, ale pomimo swojej winy, ten człowiek nie zasługuje na śmierć, a jest wiele innych możliwości, więc można inaczej to załatwić.

Akar znowu zaczął rozmyślać.

— Co sądzisz o dwudziestu batach i kastracji? — zapytał po chwili.

— Ja, nic — odparłem — to twój człowiek i twoja decyzja, ale Jest to lepsza, jak pozbawienie go życia. To pierwsze można przyjąć, a co do drugiego, to mam inny pomysł.

— Jaki, Taito?

— Z mojej strony obłożę go taką klątwą, że nie tknie już żadnej kobiety, jeśli ona sama tego nie zechce. Powiem mu, że jeśli złamie dane słowa, to straci to, co najważniejsze, aby być mężczyzną. Takie słowa pewnie nawet lepiej zadziałają, niż same baty, ale i te mu się przydadają. Można by mu odebrać rangę setnika i wysłać, gdzieś daleko na służbę, aby walczył z rabusiami.

— No to bardzo się cieszę, że doszliśmy do porozumienia. Pewnie nie raz jeszcze skorzystam z twojej mądrości? — odparł, Akar.

To mówiąc podał mi rękę, jak najlepszemu przyjacielowi.

Wyrok na setniku wykonano nazajutrz, na placu koszar przed wszystkimi gwardzistami, ogłaszając winę żołnierza. Koledzy wyśmiali go także, że zadaje się z niewolnicą, jakby nie znał innych dziewczyn w mieście. Razy batem osobiście

wymierzał mu Akar, ale ja nie uczestniczyłem w tym nieciekawym wydarzeniu. Żołnierz został też skazany na wyjazd z Ineb — Hedż, jak to zaproponowałem poprzednio. Setnika zobaczyłem po raz ostatni przed jego wyjazdem, kiedy nakładałem na niego klątwę, dotyczącą wykorzystywania kobiet. Pewnie z tej przyczyny nic by go nie spotkało, gdyż niezbyt w to wierzyłem. Wierzyłem natomiast, że ten będzie się jej bał i kolejny raz tego nie uczyni.



Nowy dom

Miałem sporo zajęć związanych z naliczaniem materiałów, (i nie tylko) na budowę świątyni w czym dzielnie towarzyszył mi Kazem. Ściągnąłem do siebie, Amra specjalizującego się w ciesielce, a także i kamieniarza, Ihaba. Amr miał przygotować dla mnie znaczną ilość hebanowych klocków z których chciałem wykonać model świątyni pomniejszony do pewnej wielkości. Ihab z kolei, miał się wypowiedzieć o możliwościach późniejszego wykonania kamiennych elementów o takiej wielkości naturalnej, aby ich montaż był realny przy użyciu siły ludzkiej, czy zwierzęcej. Całość obliczeń była bardzo żmudna i obejmowała wiele spraw dotyczących konstrukcji, materiałów, transportu, zaplecza i nie tylko.

Na chwilę obecną najważniejszą sprawą było przygotowanie planszy świątyni. Tę, chciałem pokazać Menesowi, aby zapoznał się z nią i zobaczył, jak będzie wyglądała Hut — Ka — Ptah (świątynia Ptaha). Wiele czasu poświęciliśmy na przygotowanie tego wszystkiego, a dni mijały szybko, jak z bata strzeł. W przerwach w tym majsterkowaniu doglądałem wraz z Kazemem budowy klasztornych domów i tamy Orypisa, tam kończono powoli wszystkie prace. Nie zamykano jednak przegród całkowicie, a jedynie podniesiono ich wysokość, aby sprawdzać szczelność i wytrzymałość tej budowli. Do tej pory Orypiss tryumfował, bo i podwójne blokady przegród mojego pomysłu, także się sprawdzały. Jednak końcowy sprawdzian, był jeszcze przed nami. Z niecierpliwością i obawami czekaliśmy na wylew Nilu.

Zarządziłem w całym obszarze Ineb — Hedż nasilenie prac ziemnych i do stolicy ściągnięto wielu kapłanów biegłych w budowie kanałów. Ci, którzy nie pracowali przy budowie świątyni, zajmowali się budową nowych koryt rozprowadzających wodę. Z reguły powiększali i wydłużali te, które były w zasięgu upraw, gdyż w ten sposób zamierzaliśmy zwiększyć powierzchnię nawodnionych pól. Zatrzymanie przez tamę części wody z wylewu Nilu, było celem tej wielkiej budowy. Istotną sprawą była obserwacja przepływu wody i zablokowania tamy w odpowiednim momencie. Trzeba było to zrobić niezbyt szybko, aby tama wytrzymała, ale i niezbyt późno, aby zatrzymanej wody, nie było zbyt mało. W tym, miały nam pomagać ruchome przegrody — pidła. Ineb — Hedż przypominało teraz wielkie mrowisko w którym, (niczym mrówki) krzątało się wielu robotników wykonując polecenia swojej królowej. U nas królowej nie było, ale był Menes.

Te problemy z wodą, a raczej tamą powoli odchodziły na ubocze moich spraw, bo najważniejszą była budowa świątyni. Menes, co chwilę wypytywał o postępie robót, chociaż był to jeszcze zbyt krótki okres, aby widać było jakies postępy. Rosły mury klasztornych domów i jeden po drugim były już na

ukończeniu. Zbliżała się też chwila, kiedy i ja ze swoimi niewolnikami miałem się przenieść do własnego domu. Dziewczyny były bardzo niecierpliwe i co chwilę prosiły mnie, abym zabierał je na budowę, by pokazać im, ich izby. Całą drogą szczebiotały, (jak to kobiety) co tam będzie w środku.

Projektując całość zadbałem o wszystko, co człowiekowi jest potrzebne do szczęścia. Od kuchni, po izby i wygodki. Domki były ustawione wokół dziedzińca w systemie po dwa przylegające do siebie. Te stykały się na przemian kuchniami, oraz izbami mieszkalnymi, przemiennie. Taki układ tworzył jednolity ciąg, bez podwójnych ścian pomiędzy domkami. Wszystkie były o jednym piętrze ze schodami i posiadały taras dachowy z widokiem na okolicę i miasto. Centrum dziedzińca stanowiła studnia, obok której usytuowaliśmy dwie duże sadzawki do kąpeli. Jedna przeznaczona była tylko dla nas kapłanów, a druga dla reszty mieszkańców. Tę drugą podzielono jeszcze na dwie części, gdyż niektóre z kapłańskich rodzin nie chciały zażywać kąpeli wraz z niewolnikami i tu (niestety) musiałem postępować zgodnie ze zwyczajem. Sadzawki wyłożono płytami z cienkiego białego i dostępnego nam marmuru. Pomyślałem też o mniejszej sadzawce, takiej ozdobnej z roślinami i rybkami, jakie budowano przy świątyniach. Za budynkiem w kolejnym kręgu, a raczej kwadracie w odległości około ośmiu długości włóczni od domów, stały szeregiem obórki i pomieszczenia gospodarcze na wozy, rydwany i inny gospodarczy sprzęt. Nie wszystkie posiadały dachy, a były raczej ścianami działowymi dla ich właścicieli. Jedyne wjazd na dziedzińiec prowadził od strony świątyni, poprzez lukę w zabudowaniach gospodarczych i pomiędzy domami. Taki zaplanowany układ, stawał się także i obronny w przypadku zamknięcia bram wjazdowych. Zewnętrzne zabudowania gospodarcze stawały się szerokim murem obronnym naszej siedziby. W jednej z wozowni, zaczęto też przygotowywać zejście do tunelu, a i drażono sam tunel, prowadzący w kierunku świątyni. Ten, zgodnie z moim planem miał służyć do celów obronnych, przemieszczania się wojska pomiędzy świątynią, a domem kapłanów.

Na tyłach planowanej świątyni, rosły już także mury domu życia i innych budynków pomocniczych obsługi świątyni: piekarni, rzeźni, lecznicy i tak dalej. W tym rejonie przewidziałem także teren pod uprawę ziół i wielki ogród z dużą sadzawką i studnią. Część terenu przeznaczyłem na pastwisko, dla potrzeb wypasu zwierząt dla świątyni, oraz zwierząt gospodarczych naszych kapłanów. Jednym słowem, każdy fragment terenu, był zagospodarowany i wykorzystany do ostatniego skrawka. W planie było także doprowadzenie kanału nawadniającego w obszar pastwiska i mniejszego odgałęzienia do ogrodu. Pomyślałem także o wykorzystaniu przyszłych dołów po zewnętrznych kamieniołomach, aby stworzyć tam bezpieczne kąpieliska dla przybywających do stolicy pielgrzymów. Odwiedzający świątynię pielgrzymi, będą mogli nad nimi rozłożyć swoje namioty.

Teren wokół miał zostać obsadzony palmami daktylowymi, tworząc wraz z jeziorkami rodzaj sztucznej oazy. Przypuszczałem, że świątynia wielkiego Ptaha będzie sławna w całym Kemecie i przyciągnie w swoje progi wielu pielgrzymów.

W natłoku tych wszystkich prac, nie zapomniałem też o swoich podopiecznych dzieciakach: Anwar, Rabii i Kufu. Odwiedzałem je od czasu do czasu pytając o wszystko, co ich dotyczy. Rabia doskonale dawała sobie radę w kuchni, a Anwar i Kufu biegali po całym placu, bawiąc się i przy okazji roznosząc wodę i żywność, dla pracujących tam ludzi. Nie była to sielanka, ale ich praca była teraz lepsza, jak tam przy produkcji masy (szczególnie dotyczyło to Rabii). Dbałem o czystość, (szczególnie w kuchni i nie tylko tam) więc i ludzie tam pracujący, musieli być schludni i czyści. Jako medyk wiedziałem do czego może prowadzić bród. Tak też stało się później w samym Ineb Hedż, gdzie wielu przypłaciło to życiem. Ich śmierć przyczyniła się w pewnym sensie do mojego kolejnego awansu. Rabia po pewnym czasie, została głównym szefem w kuchni władcy i uzyskała upragnioną wolność wraz ze swoim rodzeństwem. Zanim to jednak nastąpiło, minęły dwa kolejne wylewy Nilu.

Minął trymestr (cztery miesiące) od rozpoczęcia składania modelu świątyni i prace nad nim zakończyliśmy z pełnym sukcesem. Miniaturowa świątynia stanęła w mojej izbie. Można było ją rozebrać na mniejsze kawałki, a to z powodu konieczności przewiezienia jej do pałacu Menesa. Moi niewolnicy i przyjaciele śmiali się, że z Kazemem bawimy się, jak małe dzieci składając domek z klocków. Może oni tak to widzieli, ale ten plan miał się wkrótce przeobrazić w prawdziwą, wielką świątynię. Nadszedł i ten dzień, kiedy to nasze dzieło powędrowało na wozie, na dwór faraona. Poprosiłem wtedy władcę o udostępnienie jednej z jego pałacowych izb, aby tam ponownie poskładać ten model. Menes nie wyraził na to zgody, a nakazał mi ustawienie makiety w sali tronowej, aby każdy mógł zobaczyć, jak będzie wyglądała wielka świątynia: Hut — Ka — Ptah. On miał być w niej pierwszym najwyższym kapłanem, jak to było w zwyczaju.

Przy pomocy moich podopiecznych: Ned, Niatakaris, Dara i Necheba, a także i Kazema, poskładaliśmy planszę świątyni na wielkim stole, jaki Menes nakazał wykonać swojemu cieśli. Model składaliśmy pod nieobecność władcy, aby nie przeszkadzać mu w prowadzeniu urzędowania, a także, aby cały już model zrobił na nim większe wrażenie. Faraon po powrocie z objazdu miasta, (lubił jazdę rydwanem) zachwycił się widokiem naszej planszy.

— Jeżeli, tak będzie wyglądało Hut — Ka — Ptah, to wspanialszej świątyni nie będzie miał żaden z naszych bogów. Podziwiam twoje dzieło kapłanie, bo jesteś wielkim człowiekiem, a w dowód mojego uznania ofiaruję ci rydwan, jaki wykonają dla ciebie nasi kowale. Do tego dostaniesz parę koni z całym oporządzeniem. Jesteś zadowolony, Taito?

— Jak mógłbym jeszcze kapryścić panie, to dar niegodny mnie, twojego

sługi. Jestem ci wdzięczny o wielki władco Kemetu.

Upadłem na kolana z twarzą do ziemi, aby podziękować królewskiemu majestatowi. Kazem obecny podczas tej audiencji, również klęczał przed Menesem, (także zadowolony) gdyż i dla niego nie obyło się bez nagrody. Menes kazał mu wręczyć sporą sakiewkę złota.

— Wstańcie teraz kapłani, bo mam jeszcze do was kilka pytań, na temat budowy.

Menes pytał, a my wyjaśnialiśmy kolejne jego wątpliwości. Sprawy z reguły dotyczyły bezpośredniej budowy zabudowań klasztornych, tunelu, materiałów, tamy i innych drobniejszych spraw. Z jego miny wnioskowałem, że projekt świątyni przypadł mu do gustu. Już sama nagroda dla mnie i Kazema potwierdzały jego zadowolenie. Sprawę otrzymania rydwanu, a raczej jego terminu, przesunąłem do czasu przeprowadzki do klasztoru, bo nie miałbym go gdzie wstawić u Akara, a nie mówiąc o stajni dla koni.

Do przeprowadzki, odliczaliśmy już dni. W końcu i taki nastąpił. Kiedy wszystko było już gotowe, obie pary moich przyjaciół zachodziły teraz codziennie do naszego nowego domu, aby wysprzątać resztki po budowie. Podobnie było z innymi kapłanami. Oni także ze swoją służbą przygotowywali się do zamieszkania swoich nowych siedzib. Z niektórymi, dopiero teraz miałem okazję poznać się bliżej. Im bliżej było przeprowadzki, tym bardziej dziewczyny namawiały mnie, aby poszedł z nimi na bazar kupić nowe sprzęty do wyposażenia domu. Stało się to koniecznością, bo to z czego korzystaliśmy w większości było własnością Akara.

Wczesnym rankiem zgłosiłem się do nowego wezyra po odbiór mojej nagrody: rydwanu i koni wraz z uprzężą. Konie, dwa wspaniałe siwki, przyprowadzono nam od razu ze stajni gwardzistów. Parę stanowiły: młody dorodny ogier i trochę tylko mniejsza od niego klacz. Konie były ze sobą dobrze zgrane i kierowanie nimi nie sprawiało żadnych trudności. Oba były po różnych rodzicach, więc mogliśmy się dochować ich własnego potomstwa. Rydwan miałem odebrać z warsztatu królewskiego cieśli, ponoć był już dla mnie przygotowany.

Zanim go odebrałem, (mając już własne konie) pożyczyłem zwykły wóz od Akara i pojechaliśmy na bazar, a czego tam nie było? Dziewczyny, aż piszczały z radości, (jak to kobiety). Handlarze, widząc we mnie zamożną osobę z insygniami mojej godności obskakiwali wokół nas zachwalając swoje towary. Na pierwszy ogień poszły drewniane zydle, skrzynie, materiały, garnki, tykwy na wodę i inne wyposażenie domu. Ławy i łóża zamówiłem u jednego z cieśli, a ten po ich zrobieniu, miał je dostarczyć bezpośrednio do klasztoru. Na wozie rosła hałda kupionego przez nas towaru. Przy okazji uzupełniłem też leki do skrzynki medyka. Na wozie znalazła się także klatka z kurami, gdyż na te „pierzaki” skusiły mnie nasze dziewczyny, aby w domu mieć świeże jajka. Był to dobry pomysł, aby

go zrealizować. Również Kazem towarzyszył nam w tej wyprawie, pomagając przy załadunku. Przy okazji, kupił też kilka prezentów dla swoich ukochanych. Zakupy zajęły nam pół dnia, a kolejne pół dnia, to było wnoszenie i układanie tego wszystkiego w naszych izbach. Kiedy po przyjeździe rozładowaliśmy wóz, Neheb zabrał go, aby oddać go Akarowi i wracając, miał zabrać mój rydwan od cieśli. Kiedy się zjawił, każdy chciał się przejechać moim nowym pojazdem. Tak po kolei Neheb robił po kilka rund wokół klasztornych murów. Dziewczyny piszczały z radości, a Dar i ja, (każdy z osobna) także pojechaliśmy wypróbować zwrotność tego wozu. Był dobrze wykonany i niebyt ciężki, przez co dosyć zwrotny. Cieśla wymalował go w białe — żółtym kolorze, ozdabiając rysunkami — insygniami mojej władzy. Pojazd prezentował się wspaniale, a cieśla dodał do niego jeszcze drugi dodatkowy dyszel, na dwie pary koni. Ten można było wymienić w zależności od potrzeb i to prawie bez wysiłku. Na razie miałem dwa koniki, więc ten pierwszy mi wystarczył.

— „Może kiedyś dokupię jeszcze drugą parę i drugi dyszel będzie jak znalazł?” — pomyślałem.

Kiedy znudziła się nam jazda rydwanem, wróciliśmy do naszych domowych zajęć.

Dziewczyny zajęły się w pierwszej kolejności moją izbą, a że miała być skromna, to i szybko przebiegło jej wyposażenie. Zydel, stół, skrzynia i gruba mata do spania, zanim będziemy mieli łoża. Nie chciałem zagłówek, gdyż lubiłem spać w pozycji bardzo płaskiej. Dziewczynom nie wzbraniałem, aby zakupiły sobie jakieś dodatki wyposażenia izb, według swojego uznania. Po kryjomu wręczyłem też chłopakom po sztuce złota, aby kupili swoim wybrankom, jakieś prezenty. Te, jak zwykle piszczały z radości na widok, grzebieni, lusterek, szminek, czy innych kobiecych drobiazgów. Także oni sami, otrzymali po kolejnej sztuce złota, aby i sobie kupić, jakieś prezenty. Było wiele radości i podziękowań skierowanych pod moim adresem. Cieszyli się oni, więc cieszyłem się i ja.

Wieczorem tego dnia pożegnaliśmy gościnne progi domu Akara i jego rodziny. Jego matka była strasznie zasmucona tym, że odchodzę i nie będzie miała obok siebie medyka w mojej osobie. Pocieszałem ją, że będę ją odwiedzał od czasu do czasu, aby zapytać o zdrowie. Zaprosiłem także naszych gospodarzy do odwiedzin w naszym nowym domu. Odchodząc, zabraliśmy na rydwan resztę naszych bagaży. Dar zabrał też ze stajni Akara mojego osiołka Azibo i jego partnerkę więc nasza trzódka była teraz w komplecie.

Ned i Nitakarisszwały ze szczęścia w nowej kuchni, a Dar i Neheb w wozowni, gdzie stał nasz nowiutki rydwan, ofiarowany przez Menesa. W końcu Ineb — Hedż od dawna słynęło z ich produkcji. Ci dwaj, pewnie mieli schowaną tam, jakąś tykwę z winem, gdyż jego zapach wyczuwałem w każdym ich oddechu. Nie robiłem im jednak awantury z tego powodu. Byli szczęśliwi, jak i ja,

więc poprosiłem ich, aby i mnie poczęstowali swoim „ukrywanym” napojem, oczywiście nie odmówili. Nawet osiołki odczuwały jakieś podniecenie, kiedy zaprowadziliśmy je do nowej obórki. Ośla rodzina wkrótce się powiększy i będzie to pierwszy przychówek w naszym domu. W obórce znalazło się także miejsce dla stadka kur, wraz z kogutem, jakie zakupiliśmy na bazarze.

Klasztor zaczynał tętnić swoim życiem. Wcześniej dokonałem podziału domów według rangi, a także i wkładu pracy w jego powstanie. Nikt za nic nie płacił, bo faktycznie to wszystko należało do władcy. My byliśmy jego lennikami. Coraz więcej rodzin kapłanów, (i oni sami) zaczęło pokazywać się przy swoich domach. Urządzano izby, obejścia, tarasy. Sadzono kwiaty, palmy, winorośle i wszystko to, co mogło przydać się wokół domu. Ludzie pracowali w zgodzie i jakiejś niespotykanej jedności, pomagając sobie nawzajem. Ten wspaniały nastrój udzielał się wszystkim.



Przesłanie

Kiedy późnym wieczorem zostałem już sam w izbie, przypomniałem sobie o papirusie, jaki przed moim wyjazdem z Enettentore wręczył mi dziadek. Zwój był umieszczony w długiej tykwie, którą zamykała woskowa pieczęć z odbitką pierścienia, jaki nosił nasz senior rodu. To była najodpowiedniejsza chwila, aby zobaczyć, co skrywa przedemną zalakowana tykwa?

— „Dlaczego też dziadek, nakazał mi go otworzyć dopiero wtedy, kiedy będę miał już własny dom?” — pomyślałem, lecz nic nie przyszło mi do głowy.

Nie wahałem się zbyt i w moich palcach pękła woskowa pieczęć, powoli zacząłem wysuwać zwój z tej oryginalnej tuby. W pewnej chwili, coś wypadło ze środka i upadło na klepisko wprost pod moje nogi, podniosłem przedmiot.

W błyszczący metalowy pierścień, o szerokości dłoni wprawiono inną figurę, w kształcie trójkąta. Na pierścieniu przy każdym z wierzchołków istniała inna nazwa. W trójkącie wstawiono kolejne koło. Te przypominało, jakby ziemską kulę z rozłożonymi na płasko ziemiami. Morza określono znakiem fal i to skłoniło mnie do takiej interpretacji tej części medalu. Z każdej strony to kółko wyglądało inaczej. Pierścień zewnętrzny i koło wykonano z takiego samego materiału z jakiego były zrobione moje narzędzia medyka, które dawniej znalazłem w ruinach świątyni.

— „Widocznie dziadek był tam jeszcze po mnie i szukał innych śladów, a może jeszcze i reszty skarbu? Może ciekawiły go te dziwne napisy i rysunki na ścianach krypty?” — pomyślałem.

Trójkąt wykonano z jakiegoś metalu o pomarańczowej barwie, ale ten był o wiele jaśniejszy i jakby twardszy, niż znany nam metal z jakiego wyrabiano nasze miecze i groty. Medal był dosyć ciężki, jak na swoją wielkość. Koło i pierścień można było obracać w obydwie strony względem trójkąta, więc i napisy mogły zmieniać położenie względem jego wierzchołków. Obrót odbywał się dzięki wypustom na szczytach trójkąta i rowkach: jednym w wewnętrznej części pierścienia i drugim zewnętrznym na obrzeżu koła. Nie mogłem dojść w jaki sposób połączono te elementy, aby ruch tych części był możliwy. W swoim świecie nie znałem takich możliwości.

— „Może kiedyś takie znano? Czym i po co, wykonano ten medal?”

Nie wyglądał on na jakąś zwykłą ozdobę. Wewnątrz zwoju papirusu znajdował się inny zwój. Takiego w życiu jeszcze nie widziałem. Był błyszczący niczym ten srebrzący się metal, ale wiele razy cieńszy, niż nasz papirus i niemal przeświecał na drugą stronę. Kolumny znaków zapełniały prawie całą jego powierzchnię tworząc tekst, jakiegoś pisma.

— „Co zawierał ten tekst? Pewnie za chwilę się dowiem z papirusu dziadka?”

Na nim, jakby ogniem wypalono dziwne znaki podobne tym, jakie kiedyś widziałem w ruinach starej świątyni w swoim rodzinnym mieście. Tego miejsca nie lubiłem, ale jak mówił dziadek, tam znalazłem swój skarb.

Dokładnie obejrzałem ten dziwny papirus. Jedno, co mi się nasuwało, że nikt w naszych czasach nie znał czegoś takiego, (jak i medalu) a także sposobu ich wykonania, twórca także był nieznany. Po wyglądzie nie mogłem też ocenić, jak stary był ten zwój — ten „dziwny” odłożyłem, aby zająć się papirusem dziadka. Zwój dziadka składał się z trzech części. Pierwsza była informacją na temat mojego postępowania względem zwojów. W drugiej, dziadek przepisał znaki w takim układzie, jak ten oryginalny. Pozostawił też miejsce pod każdym znakiem, aby wpisać tam odpowiednik znaku naszego pisma. Nasze znaki wpisał czerwonym inkaustem, przez co stworzył, jakby równoległe tłumaczenie tego pisma na nasz język. Dziadek odczytał to, czego nam się kiedyś nie udało, a ja nie miałem zbyt wiele czasu, aby poświęcić się tej sprawie. Dziadek wieczorami przy kaganku, często siedział do późna w nocy, rozmyślał nad czymś i coś tam skrobał na papirusie

— „Może właśnie to?”

Teraz dopiero uzmysłowiłem sobie, ile lat trwała ta jego żmudna praca. Trzecia część zawierała jego uwagi na temat zawartości tego przekazu.

Główną wskazówką, jaką zawierał papirus dziadka, był nakaz dobrego ukrycia tego pisma tak, aby nikt go nie odnalazł po wsze czasy, gdyż prawdopodobnie przypuszczał, że dotrzymanie warunków „tamtych”, (przez nas ludzi) to bardzo odległa przyszłość o ile w ogóle spełni. Miałem go ukryć zaraz po odczytaniu. Według niego mogłem tylko ustnie przekazać jego treść swojemu bardzo zaufanemu uczniowi (o ile takiego będę miał?) Jeśli nie znajdę ucznia, papirus mam ponownie zapieczętować w tykwie i umieścić przed śmiercią w grobowcu, jaki dla siebie przygotowuję, a to było oczywiste.

Zacząłem powoli odczytywać tę najistotniejszą treść, zawartą na drugim arkuszu. Gdybym miał włosy na głowie to te, pewnie sterczały by mi na niej, niczym trzcina na brzegu Nilu. Treść była rozłożona w rzędy informacji i brzmiała mnie więcej tak:

„Ja Gwiazdny Wędrowiec z wielkiej krainy miliona gwiazd, przybywam tu z woli Wielkiej Rady — Ammy.

Przybywam tu na ognistym rydwanie z Tritoniusza, dalekiej i nieznannej wam gwiazdy, której wzrokiem nie sięgniesz z tego miejsca.

Przybywam tu do was z rodziną, a także rodzinami moich bliskich.

Przybywamy na tę ziemię w pokoju, aby nieś wam pokój i miłość.

Przybywamy po to, aby odnaleźć naszych braci i siostry, by zabrać ich do naszej ojczyzny.

Nasze „ogniste rydwany” zniszczono, a uczyniły to istoty wielkiego i złego

Am — Mit'a. Oni zniszczyli już wiele światów i niszczą także i tę planetę. Tu stworzyli istoty do siebie podobne. Istoty złe, jak oni sami. Jeśli przetrwamy, będziemy walczyć o was, o wasze dobro, o wasze „ka”.

Naszą bronią jest wiedza, którą posiadamy. Tu na waszej ziemi nasze możliwości są ograniczone i dlatego tylko od was zależeć będzie, czy zapanuje tu dobro, czy też będzie tu panował, Am — Mit'a. On będzie wracał w każdym z was, bo jego krew będzie płynęła w waszej krwi. My damy wam naszą, aby walczyć z tym, co nazywać będziecie jego „złą krwią”.

Ja i ci, co przybyli wraz ze mną odchodzimy już na zawsze zostawiając wam nadzieję w naszym potomstwie i potomstwach naszego potomstwa.

Jeżeli kiedyś odnajdziecie naszych braci, lub ich potomków, powiedzcie im o nas.

Poznacie ich po pięknym obliczu i pięknym „ka”, ale to drugie jest ważniejsze, jak to pierwsze, gdyż ułudą piękna łatwo oczarować wasze umysły. Nie każde piękno jest zwierciadłem dobra.

Dla was, zostawiamy trzy klucze do naszych komnat, które pomogą wam dojść prawdy waszego pochodzenia. Trzy odległe miejsca i trzy klucze.

Jeśli odnalazłeś nasze przesłanie, to pewnie także trzymasz w swoim ręku jeden z trzech kluczy do naszych komnat.

Uważajcie, bo klucze mogą zniszczyć to, co tam dla was przygotowaliśmy, jeśli zostaną źle użyte.

Do gwiazd, do naszej ojczyzny może powrócić tylko ten, który będzie Malak i posiadzie wiedzę, jaka zawarta jest w naszych komnatach. Te klucze są jej strażnikami i tylko mędrzec znajdzie miejsca, gdzie ukryto pozostałe. Każdy z nich zawiera informację o ukryciu następnego. Upłynie wiele czasu zanim skorzystacie z wiedzy zawartej w komnatach. Bez niej ogniste rydwany, jakie zbudowaliśmy dla was, nie polecą z wami do gwiazd. Jeśli dobro zwycięży i wasza mądrość będzie wielka, one zabiorą was do naszej starej i waszej nowej ojczyzny — Tritoniusza. Tam odnajdziecie nasz lud i wspomnienia o waszych przodkach. Odnajdziecie też pamięć o nas, którzy już odeszli wypełniając tu swoją misję.”

To było przesłanie dla nas, dla ludzi, tak ujął to dziadek w trzeciej części swojego papirusu.

Dziadek ustalił też przypuszczalne położenie dwóch pozostałych kluczy. Z jego informacji wynikało, że jeden z nich jest gdzieś bardzo, bardzo daleko w tym samym kierunku co Kraina Jęczmienia i gdzie wielki Ra rozpoczyna swoją wędrówkę. Drugi podobnie, także na nieznaną ziemi, także w stronę Krainy Jęczmienia, lecz w kierunku, gdzie Ra oddaje władzę Honsu. Najważniejszą dla nas informacją było to, że jedna z komnat znajduje się w Kemecie. Gdyby połączyć te miejsca, to powstałby trójkąt, podobny temu, jaki był zawarty w medalu. Pewnie nim sugerował się dziadek, szukając tych miejsc położenia komnat. Dziadek

napisał także, że ruiny starej świątyni mogą ukrywać wspomnianą komnatę, a w niej powinien znajdować się ten zasób wiedzy i ognisty rydwan. Co mnie niepokoiło, to zdanie, a raczej druga jego część:

— „Do gwiazd może powrócić tylko ten, który będzie malak i posiadać wiedzę, jaka zawarta jest w naszych komnatach. Te klucze są jej strażnikami”.

Nietrudno było się domyślić, że próbując wejść do komnaty i używając w nieodpowiedni sposób tego narzędzia możemy spowodować coś, co zniszczy komnatę, a może i nas samych. Z przekazu wynikało także, że zniszczenie jednej komnaty, nadal nie utrudniało otwarcia pozostałych, a więc dawało kolejne szanse na odkrycie ich tajemnicy. Może tylko stanowiło większy problem w ich odnalezieniu. Uważałem, że moja wiedza jest bardzo wysoka, ale ta potrzebna do rozwiązania tej zagadki musi dorównać wiedzy tych istot, które ją stworzyły.

— „Pewnie wiedzy bogom, jacy tu kiedyś do nas przybyli?”

Więc moja wiedza jest niczym, co jest potrzebne, aby tam wejść. Tekst pewnie zawiera też w sobie wskazówki położenia komnaty, a i to nie było na moją głowę. Dziadek doszedł do tych informacji, (jakie mi przekazał) a to dopiero była mała kropelka całej reszty.

— „Gdzie tam jeszcze wiedza z komnaty? Pewnie ogrom nieznanych nam prawd? Pewnie kiedyś, ktoś mądrzejszy znajdzie ten klucz i komnatę? Oby był to Malak, jak chcą tego tamte istoty? Każde dobro może szkodzić, jeśli znajdzie się w rękach złego, stara to prawda. Może to i dobrze, że klucze są strażnikami tych komnat?” — pomyślałem.

Siedziałem jeszcze długo nad tym tekstem i myślałem, co by mi dało odszukanie tego ukrytego miejsca. Doszedłem do wniosku, że nic. Nie jestem gotów na przyjęcie takiej wiedzy, nie mówiąc o tym ile w naszym świecie panuje zła i nie wyobrażałem sobie siedzącego rzeczywiście w tym rydwanie, jaki widywałem w swoich wizjach. To wszystko przekraczało wielokrotnie moje możliwości.

— „Ja nie jestem, malak. Co by było gdyby taka komnata wpadła w ręce Menesa, czy innych możliwych tego naszego świata? Do czego by użyli tego, co ona zawiera?” — strach pomyśleć.

Cały dom pogrążony był we śnie, więc postanowiłem ukryć papirusy i medal w tykwie, (jak poprzednio) ponownie zalać woskiem i tymczasowo zakopać w klepisku jednej z izb na przyziemiu domu, co też uczyniłem. Nasze pierwsze mieszkalne izby były na piętrze, więc nikt nie zauważył, kiedy zaniósłem i zakopałem tykwę pod jedną ze ścian w wiadomym dla siebie miejscu.

— „Może, kiedyś każę ją wstawić do swojego grobowca ukrywając przed światem?”

Nie nadeszła jeszcze pora, aby ludzie poznali całą prawdę o sobie, a tym bardziej o tym co mogłoby ich zniszczyć.

— „Pewnie bardzo wiele wody upłynie wody w Nilu, zanim to nastąpi? Może i święta rzeka wyschnie i nikt nie dojdzie do tych prawd, któż to wie?”

Zasnąłem nad ranem. Nawet nie zauważyłem, kiedy dziewczyny zawiesiły w wejściach do izb wykonane wcześniej przez siebie maty, więc te, stały się dla nas małymi przytulnymi kącikami. W mojej izbie było tylko niewielkie okienko wychodzące na klasztorny dziedziniec, ale jego zaletą było to, że wielki Ra codziennie rano zaglądał do mnie ozłacając izbę swoimi promieniami. Nasze pomieszczenia mieszkalne były skromnie urządzone: mata, stolik, zydle i skrzynia, (to było całe ich wyposażenie). Czekaliśmy jeszcze na łoża, ławy i duży stół na taras. Te wymienione wkrótce do nas dotarły i mieliśmy już wszystko, co było nam potrzebne w domu. Kuchnia posiadała palenisko i stół z zydłami. Ned i Nitakaris, kiedy uporały się już z moją i swoimi izbami, zabrały się do urządzania kuchni. Jako mężczyźni nie braliśmy w tym udziału, gdyż to pomieszczenie było domeną kobiet.

W trójkę, pomagaliśmy dziewczynom wnieść resztę sprzętów i porozstawiać go po izbach. Było nam wesoło i szybko uwinęliśmy się z urządzeniem domu. Cała przeprowadzka trwała łącznie tylko dwa dni. Postanowiłem uczcić ten fakt biesiadą i poprosiłem Dara i Necheba, aby pojechali moim rydwanem na bazar i kupili tam ubitą antylopę, albo baranka. Przy okazji chciałem, aby dziewczyny wypróbowały kuchenne palenisko. Ponowiłem także moje zaproszenie na „otwarcie” naszego nowego domu względem Akara i jego domowników, nie zapominając także o Kazemie i jego rodzinie.

Przy okazji tej naszej uczty dowiedziałem się, że Nitakaris jest brzemienna z Nechebem i wkrótce powiększą swoją rodzinę. Jednak dwa trymestry po naszej przeprowadzce stało się coś, co o mało nie zmieniło życia Nitakaris w jedną wielką tragedię, a Necheb nie zobaczyłby już swojego dziecka. O tym jednak później.

Nadal chodziłem na pobliski klasztoru plac budowy, aby sprawdzać postępy w robotach. Dwa doły do mieszania masy na cegły przestały być już użyteczne, a ludzi przeniesiono do pobliskiego kamieniołomu. W ostatnim dole trwała jeszcze produkcja, gdyż potrzebne były jeszcze niewielkie ilości cegły do ukończenia budowy domu życia i budynków pomocniczych o jakich wspominałem poprzednio.

Byliśmy u progu rozpoczęcia budowy fundamentów pod świątynię. Tam Kazem, Harun, Ihab z Amrem, podzielili się nadzorowaniem wykopów i już coraz bardziej zarysowywał się kształt podstawy świątyni. Jej mury będą wykonane z białego kamienia, co zapewni wieloletnią trwałość tej budowli.

Zawsze kiedy zjawiałem się na placu budowy na mój widok kapłani i budujący składali mi hołd kłaniając się tak nisko, jak przystało im według pochodzenia, przyznanej im rangi i godności. Dla nich byłem symbolem władzy i trzecią osobą po faraonie, a na dodatek równą tej drugiej, czyli wezyrowi. Do mnie wciąż jeszcze to nie docierało i jakoś dziwnie się czułem w skórze wielkiego

budowniczego. Musiałem zachowywać się, jak wielki urzędnik państwowy udając inną osobę, niż faktycznie nią byłem. Przyobлекłem na siebie maskę, niczym czarni ludzie z Górnego Kemetu. Jedynie tak mogłem pomagać biedakom, aby samemu nie narazić się władcy, dworskim i starszym kapłanom.

Przy takiej mojej wizycie, a raczej wizytacji każdy z nadzorujących przekazywał mi informacje na temat swojego odcinka budowy. Szczególną uwagę zwracałem na pracujących tam ludzi. Ich pracowitość nie wynikała tylko z ich stanu fizycznego, ale także z samego „ka”. Znając budowę naszego ciała wiedziałem, jak wszystkie jego części mają znaczenie w całości i jaki ma to wpływ na wykonywaną przez człowieka pracę. Kapłani mieli dbać o pracujących i tak też tłumaczyłem im, dlaczego jest to takie ważne w realizacji tak wielkiej budowy.

Samech dostarczał nie tylko materiałów na budowę, ale także i żywność wraz z lekami. Feluki zwoziły Nilem ogromne ilości mięsa, zboża i innych płodów na tyle, że nikt nie głodował wykonując swoje powierzone mu zadania. Roboty wykonywano solidnie i zgodnie z zaplanowanym terminem.

Sprawa wyżywienia wszystkich pracujących była początkowo sprawą problematyczną. Któryś z urzędników Menesa, (chyba niezbyt mi nieprzychylny) próbował przekonać władcę o ograniczeniu wydatków na niewolników i zwiększeniu czasu ich pracy, aż do wyczerpania ich sił. Zostałem wezwany do pałacu na rozmowę przed oblicze faraona, abym wyjaśnił tę „rozzutność”, jak określił ten fakt, dworski urzędnik. Jednak po tej rozmowie i przedstawieniu sprawy z mojego punktu widzenia, jako lekarza i budowniczego, Menes doszedł do wniosku, że słuszność jest po mojej stronie. Miałem na to wiele przykładów, a największym argumentem były postępy w budowie. Tamten, gdybym się za nim nie wstawił, pewnie poszedłby w ślady poprzedniego wezyra i jak on został skazany na przepłynięcie świętej rzeki. Menes uznał jego postępek, jako podjudzanie innych przeciwko mojej osobie. Słowa tamtego przedstawiłem Menesowi tak, aby uznał je za brak doświadczenia w takich sprawach i uchroniłem go od wyroku. Faraon stracił jednak do niego zaufanie i nakazał mu wyjazd do mojego rodzinnego miasta Enenttentore i ustanowił go drugim zastępcą miejscowego wezyra. Tam, miał także nauczyć się mądrości zarządzania od swojego zwierzchnika. Tu w pałacu oznaczało to jedno, poniżenie. Urzędnik i tak miał wiele szczęścia, że uratowałem mu skórę. Opuszczając Ineb — Hedż nawet nie podziękował za ocalenie, bo jego duma nie pozwalała mu na taki gest.

— „Tylko, jak wyglądałaby ta jego zarozumiałość w pysku krokodyla?” — pomyślałem.

Nie dbałem jednak o to jego zachowanie wiedząc, że tacy, jak on i tak kiedyś zapłacą za swoje występki.

Wracając jeszcze do spraw związanych z zapleczem budowy do tej pory nie stwierdziłem żadnych uchybień, ale i takie pewnie pojawiają się z upływem czasu?

W kamieniołomach wykuwano ze skał kamienne bloki i transportowano wozami na plac budowy. Bloki pozyskiwano wierząc w skałę otwory, wbijając w nie suche drzewo i polewając je wodą. Te pęczniąc rozsadało skałę do odpowiedniej ich wielkości. Druga grupa kamieniarzy zajmowała się wyrównywaniem bloków, aby ich powierzchnia była równa i gładka. W miarę dokładnie skuwano dłutami nierówności, a następnie piaskiem z użyciem twardych kamieni szlifowano, tak uprzednio przygotowaną powierzchnię. Była to praca żmudna i pochłaniała wiele czasu. Bloki były niezbyt duże, ale ciężkie, a ich wielkość wynosiła: pół włóczni, na pół włóczni przy wysokości jednej czwartej włóczni. Przewiezienie ich na miejsce budowy, było chyba najcięższą pracą wykonywaną tam przez ludzi. Do przetransportowania takiego bloku potrzeba było dwie dziesiątki silnych mężczyzn, po jednej dziesiątce z przodu i tyłu. Ilość niosących tak dobrano, aby ciężar na jednego niosącego, nie był zbyt wielki. Blok zawieszano na skórzanych podwójnych pasach, na drewnianych długich drągach. Drągi te, posiadały odpowiednie zaciosy, które nie pozwalały także na przemieszczanie się pasów, a tym samym transportowanego kamienia.

Kamień po kamieniu opuszczały kamieniołomy stając się powoli murami świątyni. Usytuowanie pierwszych warstw kamienia było najważniejsze, aby powstające mury nie pochylały się i nie doszło do ich wywrócenia na skutek przechyłu. W skałę podstawy świątyni wykuto niezbyt głęboki rowek i zalano wodą, by ten wskazał poziom ułożenia bloków. Później w taki sam sposób sprawdzano położenie kolejnych warstw układanego kamienia. Do ustawienia pionu ściany używano małego ciężarka z kamienia, lub metalu, zawieszzonego na palmowym włóknie.

Kapłani, bezpośrednio mi podwładni w budowie, uwijali się pomiędzy kamieniołomem, a budową, nadzorując prace. Także i ja spędzałem tam sporo czasu, korygując od czasu do czasu, jakieś sprawy konstrukcyjne.



Tama

Często odwiedzałem też Orypisa, który kończył już budowę tamy. Rozmawialiśmy wtedy o obydwu budowach, ale był i czas, aby pogawędzić chwilę o swoich problemach.

Moim oczkiem w głowie w obydwu tych miejscach była kuchnia i dom życia, a raczej miejsce gdzie opatrywano okaleczonych podczas pracy. Jak to bywa na budowie zdarzały się drobne skaleczenia, ale także i poważniejsze urazy. Były także i porody kobiet pracujących na zapleczu budowy. W tych, pomagały nam kapłanki Hathor. Menes nawet nie musiał ich prosić o pomoc, a kapłanki same przychodziły na wezwania niewiast. Czasami zdarzało się, że i te prosiły mnie o pomoc przy cięższych porodach, a ja nigdy też nie odmawiałem. Pracujący tam ludzie nabierali do mnie coraz większego szacunku i zaufania widząc moją przychylną postawę względem nich. Także i sam Menes był bardzo zadowolony z postępu prac.

Wśród robotników czasem zdarzały się też jakieś kłótnie i bójki. Te konfliktowe sprawy rozsądzały kapłani, przykładnie karząc winowajców zgodnie z wielkością ich winy.

Plac budowy stał się, jakby drugim bliźniaczym miastem przyległym do Ineb — Hedż. Na czas budowy, ta społeczność funkcjonowała własnym życiem. I chociaż wszyscy byliśmy podwładnymi Farena, ale to z jego polecenia powstało to, niby „małe państwo” w na obrzeżu stolicy. Sam władca, co pewien czas zaszczycał nas swoją obecnością, zaś jego wizyta odbywała się z wielką pompą pewnie z tej przyczyny, aby Menes mógł pokazać swoją wielkość.

Mijały dni i budowa tamy została ukończona. Potężny wał z kamieni i ziemi (w kształcie łuku), przegrodził rzekę. Powoli dokładano drewnianych belek w upustach, podnosząc tym samym poziom wody. Zatrzymywana w ten sposób woda napierała na brzegi, rozlewając się po nowych korytach, a także zalewając niżej położone tereny przed tamą. Orypis jeździł z jednego krańca miasta na drugi, sprawdzając poziom wody w głównych kanałach.

Kiedy nastąpił pierwszy achet (pierwsza pora wylewu naszej świętej rzeki) z wielką obawą patrzyliśmy na wodę napierającą na czoło tej nowej budowli, jakiej do tej pory Kemet nie widział w dawniejszych czasach. My byliśmy pierwszymi budowniczymi tej budowli, która przegrodziła na pół naszą świętą rzekę.

Nie wszystkie kanały w obrębie stolicy zostały ukończone. Te, których nie zabezpieczono poprzecznymi groblami, Nil zalewał w takim stanie, jakim je zastał. Te, zbyt jeszcze płytkie, lub o nieukosowanych jeszcze brzegach zapadały się w wodę, zasypując skarpami kanał. Ten zwiększał swoją szerokość, kosztem głębokości. Późniejsze jego pogłębianie było o wiele bardziej problematyczne.

Niestety nie mogliśmy już dłużej zwlekać, bo wszystkie te prace trwałyby zbyt długo i korzyści z tej budowy nie byłoby zbyt wiele.

Woda w rzece przybierała powoli, co znacznie ułatwiało jej obserwację. Orypis wyznaczył ludzi, którzy sprawdzali kilkanaście razy za dnia i w nocy poziom wody w upustach. Oni także w późniejszym czasie stali się grupą, która na stałe trudniła się obsługą tamy. Wszelkie zmiany zgłaszali do niego tak, aby ten wiedział, co się dzieje w rejonie tej budowli. Do tej pory wszystko przebiegało pomyślnie, jednak kolejny przybór spowodował konieczność otwarcia górnych segmentów wszystkich śluz. Woda z hukiem przelewała się przez ostatnie belki upustów. W tym roku wody było o wiele więcej, niż w poprzednich latach, a ta była dobrym sprawdzianem dla wytrzymałości tamy. W kanałach wody było już pod dostatkiem, a jeszcze jej przybędzie, kiedy tylko pozostałe kanały zostaną ukończone.

Zamierzałem w przyszłości zatopić powstający dla potrzeb świątyni kamieniołom. Z niego miał powstać wielki zbiornik wodny, zapewniający dostatek wody na długie okresy suszy. Wystarczyłby, nawet niedługi kanał łączący rzekę z kamieniołomem, aby zrealizować ten plan. Tak też zrobiono, kiedy świątynia została już ukończona.

Podwójna przegroda, także spełniała swoje zadanie. Kiedy poziom wody wzrastał nadmiernie, usuwano kolejne belki i woda mogła przepływać spokojnie nie zagrażając budowli.

Dopóki nie zakończyliśmy prób z jej wytrzymałością nie zapraszaliśmy Menesa na świętowanie zakończenia robót, tłumacząc się jeszcze ostatnimi pracami przed jej uruchomieniem, co było faktem.

W końcu nastąpił i ten wielki dzień, kiedy władca zaszczyił nas swoją obecnością przy gotowej już tamie. W Orypisa i mojej obecności, (także wezyra i Kazema) ośmiu czarnych niewolników przeniosło władcę z jednego krańca tamy na drugi i z powrotem. Menes był zachwycony i pewnie czuł się także panem tej rzeki.

Nil stał się teraz o wiele szerszy, a zarośla z których kiedyś krokodyl zaatakował dzieci, zniknęły głęboko pod wodą. Budowla była naprawdę okazała i stała się dobrodziejstwem dla tego miasta na wiele lat. Po zwiedzeniu tamy, władca zlustrował jeszcze budowę świątyni, a po zakończonej wizytacji nakazał nam przyjście do pałacu.

Wezyr, Kazem, Orypis i ja stanęliśmy przed władcą w jego sali tronowej, czekając na jego polecenia. Menes lubił nagradzać swoich poddanych, jeśli praca została wykonana sumiennie. Nie musieliśmy długo oczekiwać na jego przyjście. Stałem u tronu z pochyloną głową, a wezyr i Orypis klęcząc, oddawaliśmy cześć jego świętej osobie. Menes z reguły szybko przerywał takie powitania, gdyż był człowiekiem bardzo niecierpliwym. Widząc nas wezwał jeszcze do siebie skrybę,

oraz skarbnika. Przybycie tego drugiego, mogło oznaczać jedno, nagrody. Byłem ciekaw, jak oceni naszą pracę? Według mnie najwięcej należało się Orypisowi, bo ten zasłużył się najbardziej w tej budowie, faktycznie nie pomyliłem się. Menes nadał Orypisowi spory szmat ziemi, będący onegdaj własnością poprzedniego wezyra. Budowniczy otrzymał także w prezencie jego dom wraz z obejściem, a na dodatek sporą sakiewkę złota i drogich kamieni. Mnie także w udziale przypadła kolejna sakiewka, a tylko nieco mniejsza, Kazemowi. Nowy wezyr dostał parę ładnych rumaków i dwa osiołki.

Skryba spisał wszystkie dary naszego władcy wręczając przy okazji Orypisowi dokument nadania ziemi, ten pełen zachwytu, cały promieniał ze szczęścia. Dziękując Menesowi, już chcieliśmy opuścić salę tronową, kiedy ten zaprosił nas na uroczysty obiad. Po nim wniesiono duże puchary pełne wina przywiezionego z zamorskich krain. Napój był wyśmienity i dosyć mocny tak, że w niezłym humorze wracaliśmy do naszych domów. Menes w geście łaskawości przydzielił nam po jednym ze swoich gwardzistów, abyśmy bezpiecznie mogli wrócić do siebie. Przy okazji śmiał się z Kazema, że teraz jego wybranki nie będą miały zeń pożytku. Kazem potraktował to, jako żart, gdyż atmosfera była luźna i wypowiedź władcy nie była jakąś złośliwością.



Historia Necheba

Wylew rzeki był sprawdzianem funkcjonowania i wytrzymałości tamy, ta, spisła się na medal. Ci, którzy kiedyś podważali konieczność jej budowy, teraz dopiero zaczęli doceniać jej znaczenie. Tama była pomysłem samego Menesa i przysporzyła mu wiele chwały, jako władcy. Ciche dawniej Ineb — Hedż coraz bardziej rozkwitało, jako stolica zjednoczonego Kemetu. Przybywało mieszkańców, a i życie było tu dla nich, jakby łatwiejsze.

Neda i Dar, a także Nitakaris z Nechebem coraz bardziej byli ze sobą związani. Wielka miłość i wspólna praca łączyła obydwie pary. Także przyjaźń między nimi, a mną, rosła z każdym wspólnie przeżytym dniem. Cała ta sielanka miłości pomiędzy Nechebem i Nitakaris nieomal legła w gruzach. O mały włos nie utracilibyśmy Necheba, gdyż ten, pewnego dnia zniknął, jak kamfora z pucharu i ślad po nim zaginął.

Tego feralnego dnia (rankiem) wysłałem go do naszego małego portu w rejonie tamy. Tam z kilku pomostów rozładowywano feluki z towarem przywożonym do Ineb — Hedż. Necheb, miał odebrać spory ładunek ziół przywieziony dla mnie na zamówienie przez handlarzy z górnego kraju. Zabrał rydwan i pojechał. Trochę dziwiliśmy się, że nie wrócił do domu na popołudniowy posiłek. Nitakaris chodziła jakaś podenerwowana, obawiając się o ukochanego. Tłumaczyliśmy to sobie opóźnieniem handlarzy i tym, że nasz przyjaciel nadal oczekuje ich w porcie. Zbliżał się wieczór, a jego wciąż nie było. Kiedy słońce zaczęło się skrywać za domami na naszym podwórku pojawił się jeden z gwardzistów Akara, prowadząc zaprzęg z rydwanem. Wraz z dziewczynami i Darem wybiegłem na dziedziniec.

— Panie — zwrócił się do mnie gwardzista, nisko pochylając głowę — twój rydwan i konie stały tam w porcie od rana i nikogo obok nich nie było. Ktoś uwiązał je do pnia palmy i tak stały tam bez wody cały dzień.

— Jak to? — zapytałem zdziwiony — wysłałem do portu mojego niewolnika, Necheba. On miał zabrać dla mnie towar, jaki mieli tam dzisiaj przywieźć handlarze ziół.

— Panie, dzisiaj w porcie takich nie było. Byli myśliwi, handlarze niewolników, kupcy zbóż i inni, ale tych od ziół nie było. Ja nie znam twojego niewolnika i nie wiem, jak wyglądał, no może gdybym go znał ...?

— Co mogło się stać z Nechebem? — pomyślałem głośno.

Nitakaris, słysząc moje słowa zaczęła płakać i zawodzić.

— Nie płacz dziewczyno, przejdziemy się do portu i poszukamy twojego ukochanego. Może się gdzieś zapodział, opiwszy piwem lub winem?

Co prawda sam w to nie wierzyłem, ale musiałem ją jakoś uspokoić. Ned

przytulała ją do siebie, ale niewiele to pomagało, Nitakaris rozpaczała coraz bardziej. W moje głowie powstawały różne wersje wydarzeń związane z zaginięciem Necheba.

Nie zastanawiałem się wiele, zabrałem z domu moją podręczną sakwę z lekami, oraz wahadełkiem i ruszyłem pieszo z Dar'em w kierunku przystani. Poprosiłem też gwardzistę, aby nam towarzyszył. Konie i rydwan zostawiłem w domu i poprosiłem, aby Ned napoiła te biedne zwierzaki po całym dniu posuchy. Do przystani nie było zbyt daleko i wkrótce byliśmy na miejscu. Opisałem żołnierzowi wygląd naszego Necheba i poprosiłem, aby wraz z nami dopytywał się o niego przygodnie napotykanymi ludźmi. Rozeszliśmy się w różnych kierunkach szukając i pytając o chłopaka, jednak nie było po nim śladu i informacji. Wyjąłem wahadełko i z jego pomocą, zacząłem szukać (niczym z psem) poczynawszy od palmy, gdzie stał rydwan, a którą wskazał mi gwardzista. Ślad prowadził w stronę jednego z kilku pomostów do którego przybijały feluki, lecz teraz nie było tam żadnej łodzi. Na pomoście ślad się urywał, lecz po kolejnym pytaniu wahadełko pokazało mi kierunek w stronę rzeki. Były dwie możliwości zaginięcia naszego przyjaciela: mógł utonąć, wpadłszy do wody, lub też został porwany przez handlarzy niewolników i wywieziony gdzieś w górę rzeki. Utonięcie odpadało, gdyż byłoby o tym głośno w mieście i pewnie musiałby ktoś, to zauważyć? Bardziej prawdopodobne było jego porwanie. Handlarze, widząc samotnego niewolnika, mogli go okłamać podszywając się za handlarzy ziół. Kiedy wszedł na pokład po towar, mogli go ogłuszyć i zakneblować. Na takie scenki mało, kto zwracał uwagę i wystarczyła krótka chwila i człowiek zniknął bez śladu. Takie porwania, a raczej kradzieże, jak mówili o nich zamożni, zdarzały się od czasu, do czasu. Zadałem sobie jeszcze dwa pytania:

— „czy Necheb żyje i czy został porwany”.

Obie odpowiedzi wahadełka były potwierdzające. Pomimo takich wskazań, chodziliśmy jeszcze po przystani, tak długo, aż Ra schował swoje boskie oblicze za horyzontem.

Nikt nie widział i nikt nie słyszał o naszym Nechebie. Z opuszczonymi głowami wracaliśmy do domu. Nie będę opisywał rozpacz Nitakaris, kiedy opowiedziałem jej o moich ustaleniach. Był to smutny dla nas dzień, kilka następnych podobnie.

Czas leczy rany, mawiają mędrcy, ale nikt nie wspomina o bliźnich, jakie po nich zostają, taką dla nas była utrata Necheba. Zdarza się też czasami, że problem sam znajduje jakieś rozwiązanie i tak też się stało w jego przypadku.

Po ośmiu dniach od zaginięcia, nasza zguba się odnalazła. Był trochę posiniaczony i kulawy, ale ogólnie w dobrym stanie. Z jego opowieści wynikało, że faktycznie został uprowadzony przez handlarzy niewolników, a raczej ich poganiaczy. Było, jak przypuszczałem. Tamci podali się za handlarzy ziołami

i kiedy Neheb wszedł na felukę, jeden z nich od tyłu uderzył go w głowę i nakrył żaglem. Potem związano mu ręce, nogi i zakneblowano usta, aby nie krzyczał. W południe wywieziono go w górę rzeki. Miał naprawdę wiele szczęścia, bo trafił na targowisko w Tayu — Djayet tam, gdzie kiedyś był sprzedany, jako niewolnik. Przypadkiem trafił w ręce tego samego handlarza, który nam go sprzedał. Wtedy to, upokorzyłem tego człowieka i nastraszyłem karami ze strony władcy. Neheb nie tracił głowy i zaczął krzyczeć do niego, że jest własnością wielkiego budowniczego Taity, a ten nie podaruje im jego kradzieży. Wykrzyczał też, że widział ich jeden z gwardzistów Akara, a ten pewnie będzie wiedział skąd pochodzą poganiacze. Ponoć handlarz, słysząc moje imię wpadł w panikę i darł się jak opętany na poganiaczy, przeklinając jednego po drugim. Co prawda zanim Neheb trafił przed oblicze handlarza oberwał kilka razy batem, ale to spotkanie właśnie z nim uratowało mu życie. Ten, nie zapomniał o Taicie i nakazał jednemu z nich, odwiezienie niewolnika do Ineb — Hedż. Na odchodnym powiedział tylko, że drugi raz nie zamierza się ze mną spotykać. Nitakaris po powrocie Necheba, szalała ze szczęścia. Nie było w tym nic dziwnego zważywszy, że mogliśmy go utracić na zawsze.



Tajemnica Neferi

Prace przy budowie świątyni wciąż trwały i jak każdego dnia, wyszedłem na lustrację placu budowy. Witano mnie jak zwykle pokłonami i pozdrowieniami, jak nakazywał tego obyczaj i szacunek względem wysoko postawionej osoby. Tam miałem swoje miejsce, gdzie czekał na mnie szeroki zydel z wysokim oparciem. Ten wraz z ławą i szerokim baldachimem ustawiono go na powstającym dziedzińcu świątyni, na dosyć znacznym wzniesieniu usypanym z ziemi po wykopanych fundamentach. Z tego wzniesienia roztaczał się widok na cały plac budowy. Często też obok mnie siadał Kazem i wspólnie ustalaliśmy plany kolejnych etapów robót. Tego dnia Kazem z Samechem, oraz grupą niewolników udali się wozami, aby od poborców podatkowych odebrać z przystani większą dostawę zboża. Z tej przyczyny siedziałem teraz sam, żując ulubione daktyle i spoglądając w kierunku wznoszonych ścian powstającego już sanktuarium.

Ni stąd, ni zowąd, ktoś podszedłszy do mnie od tyłu i zasłonił mi oczy, rękami. Po delikatnym uścisku na twarzy poznałem, że musiała to być kobieta.

Delikatnie złapałem ją za przeguby i odsłoniłem swoje zakryte oczy, jednocześnie odwracając się na zydłu.

Zszokował mnie jej widok.

— Neferi! — krzyknąłem, wstając jednocześnie z ławki.

— Witaj, wielki panie — kapłanie!

— No nie przesadzaj, moja przyjaciółko — zwróciłem się do niej.

Pokaż się śliczna dziewczyno, tak długo cię nie widziałem.

— I ja ciebie Taito, tak bardzo stęskniłam się za tobą. Jak widzę zmężniałeś i z tego, co już się dowiedziałam, stałeś się kimś wielkim u boku władcy. Twoje marzenia i przepowiednie powoli się spełniają.

— I ty wypiękniałaś dziewczyno. Z pięknego pączuszka zamieniłaś się w jeszcze piękniejszy kwiat.

— Jaki tam kwiat?

Od kiedy jesteś w Ineb — Hedż?

— A... od kilku wschodów, Ra. Mieszkam wraz z jedną hemu — neczer w pobliżu świątyni Hathor.

— Dziwię się, że zrezygnowałaś z pobytu w sławnej świątyni w Enettentore w zamian za tę skromną, tu w stolicy.

— To z powodu ciebie, Taito. Wiesz, co ci obiecałam, kiedy wyjeżdżałeś? Teraz dotrzymuję słowa.

— Przecież tam jest o wiele lepiej dla kapłanek twojej bogini — kontynuowałam swoją wypowiedź.

— Może dla innych, ale nie dla mnie — odparła Neferi.

Tu ze swoją wiedzą mogę zostać kimś, a tam byłabym zwykłą szarą świątynną myszką. Tu mam szansę, aby zostać nawet arcykapłanką. Tutejsze kapłanki nie grzeszą rozumem, a ten sprzyja w dojściu do władzy. Jeszcze i to najważniejsze, tam nie miałam ciebie.

— Ale masz wymagania, a co teraz zamierzasz? — zapytałem jeszcze.

— Co zamierzam? — powtórzyła moje pytanie — teraz zamierzam zaprosić cię do siebie na mały poczęstunek, abyśmy mogli porozmawiać o tym, co się wydarzyło podczas naszej rozłąki.

— Wybacz Neferi, teraz nie mogę się stąd ruszać, ale później, bez problemu.

Umówiłem się z Neferi, że przyjdę pod wieczór, kiedy tylko dokonam podziału robót na jutrzejszy dzień. Neferi odeszła nie żegnając się ze mną, a jedynie, co usłyszałem od niej, to było jej tradycyjne:

— Do zobaczenia mój kapłaniku!

Po chwili zniknęła za powstającą także, bramą świątyni. Byłem zszokowany jej pojawieniem się w stolicy. Różne myśli przelatywały mi przez głowę i nie wiedziałem, co o tym myśleć?

— „Do czego znowu zmierza ta dziewczyna, czego ona chce? Może władzy w tej świątyni?” — myślałem.

Tak, to wynikało z jej wypowiedzi.

— „Jakie plany ma względem mnie?”

Był już wieczór, kiedy wróciłem do domu. Nitakaris i Ned czekały już na mnie z posiłkiem. Wziąłem kąpiel i wielkim apetytem zjadłem to, co przygotowały mi dziewczyny.

Po kolacji poprosiłem je, o nałożenie mi na twarz szminek, a także o pomoc w przybraniu się w odświętne szaty.

— Panie, a gdzie to wychodzisz o tej porze, nie lepiej ci posiedzieć przy nas w swoim domu?

— Tak, tu jest przyjemnie, ale dzisiaj zostałem zaproszony przez kapłankę Hathor o imieniu: Neferi do jej domu, a ją znam jeszcze z czasów mojego pobytu w Enettentore.

— Oooo, to coś nowego — odparła Ned.

— Nic nowego, znamy się od wielu lat i razem leczylimy ludzi w naszej domowej lecznicy.

— Pewnie to jakaś stara już kapłanka? — zapytała Ned.

— Jest w moim wieku, to hemu — neczer, a tu w stolicy jest dopiero od kilku dni.

— A ładna, panie?

— Tak ładna, nawet bardzo ładna, a dlaczego pytasz?

— No tak z ciekawości, panie. Prz okazji uważaj, bo mówią, że jedno serce, może zostać niewolnikiem drugiego.

— Aleś wymyśliła, Ned — dodałem na odchodnym.

— Kiedy wrócisz, panie? — zapytała.

— Pewnie późno w nocy, a przy okazji będę ... — tu powiedziałem dokładniej, gdzie zamierzam się udać.

Wkrótce znalazłem się w progu nowego domu, a raczej mieszkania Neferi. Ta oczekiwała już na mnie w swojej izbie, którą dzieliła z nieco młodszą od niej dziewczyną o imieniu Falak (Gwiazda). Ta, także pełniła funkcję hemu — neczer w randze pierwszej tancerki kapłanek Hathor. Neferi przedstawiła mnie swojej koleżance, ale po cichu usłyszałem też skierowane do niej słowa:

— A teraz zmykaj stąd, bo chcę być z nim sama.

Udawałem, że nie słyszałem. Falak wyszła zasłaniając wejście grubą kotarą. Neferi przyniosła sporą ilość smakołyków i te rozłożyła na stole, wskazując ręką, abym się częstował. Lubiłem takie pyszności, więc bez skrupowania zajadałem się tym, co przygotowała mi dziewczyna.

— Smakuje?

— Jak zawsze to, co przygotujesz, Neferi.

— W zamian za te pyszności opowiedz mi, co tu porabiałeś kapłaniku przez tak długi czas? Może znalazłeś sobie po cichu jakąś kobietę — kochanicę, albo zabawiasz się z niewolnicami?

— Tu cię boli — odparłem z przekorą.

— Nic mnie nie boli, a dbam o ciebie.

— Czy jestem dzieckiem?

— No nie, ale z wami trzeba, jak z dziećmi. Stary, a jeszcze was mężczyzn trzeba niańczyć, jak niemowlęta.

Nie odpowiedziałem, znając zachowanie kapłanki. Zacząłem natomiast opowiadać o sobie, poczynając od czasu swojego przybycia do Ineb — Hedż.

Neferi przysiadła się blisko mnie, słuchając tej opowieści. Wsłuchana patrzyła mi głęboko w oczy tak, jak może tylko patrzeć pożądana mężczyzną, kobieta.

— Może napijemy się wina, żeby w gardle ci nie zaschło od opowiadania. Mam go dwa dzbany, kupiłam na tutejszym bazarze od jakiegoś zamorskiego kupca — dodała jeszcze.

— Dlaczego nie? To dobry napój o ile nie wypije się go za wiele — wtrąciłem.

Neferi wyszła do komórki przynosząc stamtąd dwa okazałe gliniane kubki napełnione czerwonym napojem.

Piłem powoli rozkoszując się jego smakiem.

— Wspaniałe! — zwróciłem się do kapłanki.

— Wiesz, że ja zawsze biorę to, co najlepsze — tu ponownie głęboko popatrzyła mi w oczy.

— „Co miała na myśli? Czyżby kolejna jej gierka, aby mnie usidlić?” — pomyślałem.

Neferi opróżniła swój kubek, niemal w tym samym tempie, co i ja, swój.

— Może jeszcze jeden, Taito?

— Pewnie dwa mi nie zaszkodzą, ale trzeciego nie nalewaj, bo te dwa wystarczą — odpowiedziałem na pytanie dziewczyny.

— Tak wystarczą, Taito — powiedziała to, jakoś dziwnie, jakby z naciskiem i przekonaniem.

Zlekceważyłem jej słowa. Po chwili trzymałem już w ręku kolejny kubek wina, ten wypłem do połowy i poczułem się jakoś dziwnie. Coś działo się z moim ciałem. Zaczął opanowywać mnie jakiś bezwład i spokój połączony ze zmęczeniem. Głowa stawała się ciężka i niezdolna do myślenia. Neferi patrzyła na mnie nadal bardzo pożądliwie, bacznie obserwując moje zachowanie.

— Co się z tobą dzieje kapłaniku, czyżby ten nektar ci zaszkodził?

— Wiesz, jakoś mi dziwnie i w głowie mi się kręci, ale to chyba nie z tego napoju?

— Pewnie nie? — potwierdziła moją wypowiedź, lekko się uśmiechając.

— Połóż się na macie.

Będąc teraz w pozycji leżącej, moje ciało ogarniała jeszcze większa słabość i nie mogłem się poruszać. Ona widząc kolejne oznaki mojej bezwładności, ułożyła moją głowę na swoich kolanach. Poczulem jej rękę, głaskała i całowała mnie po niej, po policzkach, a potem i w usta. Próbowiałem uwolnić się z jej rąk, ale bezskutecznie. Moje „chet” odmawiało mi posłuszeństwa. Byłem w jej rękach, bezsilny i zdany na jej kaprysy. Ten mój dziwny stan pogłębiał się z każdą chwilą. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że to nie makowe pigułki i mój umysł zaczął „pływać”, niczym feluka po wodach Nilu. Twarz Neferi stawała się jeszcze bardziej powabniejsza, a i całe jej ciało widziałem, jakby było ciałem jakiejś bogini. Promieniowała blaskiem, jakiejś nieziemskiej urody, a może i żądry. W resztach świadomości widziałem, jak Neferi rozbiera się obok mnie, a potem zdejmuje wszystko, co ja miałem na sobie. Nawet nie czułem swojej nagości.

— „Może to jakieś moje zwidy?”

Obraz falował w moich oczach i coraz bardziej zapadałem się w otchłań niesamowitej i nigdy nie zaznawanej wcześniej, przyjemności. Nie czułem nic, oprócz tej dziwnej rozkoszy. Byłem w stanie jakiegoś uniesienia, radości i pewnie jedynie bogowie wiedzą, czego jeszcze?

Teraz wydawało mi się, że do izby weszła ta druga dziewczyna i wołała coś do Neferi, że arcykapłanka che się z nią widzieć.

— „Czy to był już tylko sen, czy Neferi wychodziła naprawdę? Może był to jej cień, bo wszystko widziałem, jak przez mgłę? Sen czy jawa, gdzie ja jestem, gdzie moje „ka”? Może to wizje i „ka”, ukazuje mi takie dziwne obrazy?” —

myślałem w tym oszołomieniu.

Tamta, druga podeszła teraz do mnie i zaczęła się rozbierać, jak poprzednio, Neferi.

— „Czy to znowu jakiś koszmar, czy to prawda, co się ze mną dzieje, czy to mogło być rzeczywistością?”

Oprócz tego stanu uniesienia, ogarniał mnie jeszcze, jakiś dziwny strach przed nieznanym.

— Usłyszałem ciche słowa tamtej:

— Jesteś mój „kapłaniku”! Ta wiedźma poszła sobie i teraz ja będę cię kochała do upadłego. Dasz mi siebie i będziesz ze mną i we mnie, staniemy się jednością, jesteś mój. Ja dam ci większą rozkosz, niżli ona. Mnie pokochasz i będziesz moim wiernym psem gotowym spełniać wszystkie moje żądze. Będziesz pożądał mojego ciała, niczym spragniony pragnie wody na pustyni, a ja ugaszę twoje pragnienie.

— „To chyba jednak wizje?” — docierało do mnie, gdzieś z oddali.

Po raz kolejny próbowałem się bronić, ale chyba ta dziewczyna mocno przycisnęła mnie rękami do posłania, bo nie byłem w stanie się poruszać. Sam już nie wiedziałem czy to rzeczywistość, czy jakaś ułudą? Wszystko co działo się wokół mnie było jakies nierealne, jakby nie dotyczyło mojej osoby, ale nie mogłem tego porównać z rzeczywistością, bo taka w tej chwili nie istniała.

— „A może ten nektar, tak mnie obezwładnił?” — szukałem odpowiedzi w myślach, ale i im także nie dowierzałem.

Moim ciałem wstrząsnęły drgawki i straciłem świadomość, już na dobre.

Obudziłem się następnego dnia w swojej izbie. Patrzyłem na świat, jakbym dopiero się urodził.

— „Gdzie ja jestem?” — pomyślałem.

Głowę miałem ciężką, niczym kamień do mielenia zboża. Nie potrafiłem wstać, a cóż dopiero zrobić kilka kroków.

— Panie obudziłeś się w końcu? — usłyszałem miły głosik Nitakaris.

— Co się dzieje? — zapytałem dziewczynę.

— Znaleźliśmy cię panie o poranku, przed drzwiami. Musiałeś się strasznie upić, bo spałeś na progu. Jak w takim stanie doszedłeś do domu, nie mamy pojęcia? Jeszcze nigdy panie, tak źle z tobą nie było. To pewnie przez te kapłanki?

— Jakie kapłanki?

— No te, u których byłeś wczoraj w odwiedzinach

— Jak widzę, wiadomości szybko się rozchodzą, bo ja mówiłem tylko o jednej. Wiesz Nitakaris, nie mogę zrozumieć, jak można tak się upić z dwóch pucharków wina? To jest u mnie niemożliwe. Myślę, że Neferi dosypała do wina jakiegoś proszku? Dopóki nie wyjaśnię tej sprawy, niechaj pozostanie ona naszą tajemnicą.

— Panie, powiem jeszcze, że kiedy cię znaleźliśmy było bardzo wcześnie i pewnie nikt cię nie widział, tak upojonego? Tylko jak ty panie tu przyszedłeś, to będzie wielką dla nas zagadką.

— Nie przejmuj się, Nitakaris, a byłbym zapomniał, gdyby przyszedł Kazem, to powiedz mu, że ma mnie zastąpić w nadzorowaniu budowy świątyni i że jestem bardzo chory. Lepiej niech mnie nie widzi w takim stanie.

Było mi wstyd, że i dziewczyny zobaczyły mnie tak mocno upojonego winem. Faktycznie tego dnia musiałem wyglądać, jak wizerunek nędzy i rozpacz. Na dodatek rozboleła mnie głowa, a i co jakiś czas, wymioty wstrząsały moim ciałem. Nadal nie potrafiłem pojąć, co było tego przyczyną. Było pewne, że nie samo wino. To sprawka Neferi, a ja stałem się jej ofiarą. Postanowiłem wyjaśnić to, co mnie spotkało.

— Panie, przygotowałam ci wywaru z kogutka, kupiłam go dzisiaj na bazarze, to cię wzmocni i poczujesz się lepiej.

Nie miałem ochoty na żaden rosół, ale Nitakaris nie ustępowała i w końcu zjadłem całą przygotowaną dla mnie porcję. Nawet mi smakował ten posiłek, zważywszy na te dolegliwości mojego żołądka. Po tym rosółku faktycznie poczułem się o wiele lepiej i wymioty także ustały. Nie byłem jednak w stanie pójść do Neferi i porozmawiać z nią w tej sprawie. Rozmowę z nią, odłożyłem na kolejny dzień. Herbaty z ziół na dobre oczyściły mój zatruty organizm. Popołudnie spędziłem w naszym ogródku, pluskając się w sadzawce.



Oko „Ka”

Następnego dnia zanim Kazem zawitał w moich progach udałem się do domu Neferi. Nie zastałem jej, ani jej koleżanki, Falak. Nikt z sąsiadów nie potrafił mi powiedzieć, gdzie są kapłanki. Wróciłem do siebie z zamiarem kolejnych wizyt w następnych dniach, aż do skutku. Zacząłem też zastanawiać się, co mogło się stać, kiedy moje „ka” błędziło poza „chet”? Do głowy przychodziły mi różne myśli. Mogłem się jedynie domyślać, że stałem się zabawką w rękach tej dziewczyny, a może i obydwu? Jeśli pomiędzy nami doszło do zbliżenia, to utraciłem swoją godność kapłańską i stałem się nieczystym. Ta myśl przerażała mnie bardziej, niż myśl o samej śmierci. Nie chciałem być błakającym się po wsze czasy przeklętym „ka”. Nie mogłem tego znieść, to zatruwało mnie bardziej, niż jad kobry.

Ubrałem się w codzienny szary strój i poszedłem do świątyni Ptaha, aby tam odnaleźć siebie. Ludzie cofali się z drogi kłaniając się na mój widok. Nawet nie zważałem na te ukłony i szedłem z opuszczoną głową, niczym pokutujący kapłan idący do świątyni prosić o przebaczenie. Tak było w istocie, chociaż nie wiedziałem, czy te wszystkie wydarzenia były do końca, prawdą.

Stara świątynia była niedaleko, więc szybko znalazłem się pomiędzy jej pylonami. Wszedłem na dziedziniec, wykąpałem się i wszedłem do wnętrza kierując się bezpośrednio do sanktuarium. Poprosiłem dyżurujących tam kapłanów, aby zostawili mnie samego przed obliczem Ptaha. Wyszli zamykając za sobą i za mną, drzwi.

Uklęknąłem przed posągami, odłożyłem na bok hekę, a następnie położyłem się brzuchem na posadzce z głową skierowaną w stronę bóstwa i rękoma wyciągniętymi przed siebie. Moje „ka” musiało opuścić „chet”, abym mógł rozmawiać z wielkim Ptahem. Musiałem się skupić wyzbywając się wszelkich myśli.

Powoli, bardzo powoli zaczynałem swoją wędrówkę po krainie bogów, wędrówkę po świecie niedostępnym dla wielu. Szedłem coraz dalej i dalej. Nie czułem już ciała, ani tego, co jest z nim związane. Byłem coraz bardziej spokojny i stawałem się lekkim, niczym puch. Do tej pory ograniczałem się tylko do wędrówek bliższych ziemi. Teraz chciałem być daleko, aby poznać inne prawdy i dowiedzieć się, co się faktycznie wydarzyło u Neferi i dlaczego tak się stało, o ile się stało?

W pewnym momencie dojrzałem przed sobą niesamowite światło, a w nim stojącą postać. Jej rysów nie widziałem, ale ta istota była jakaś nieziemska i niesamowita. Jej światło ogrzewało moje „ka” tak, że czułem bijące od niej nie tylko ciepło, ale jakby wielką miłość do mnie. Poczułem się tak wspaniale, że

żadne słowa nie potrafią określić tego uczucia, więc zbliżyłem się do niej. Jakaś siła podpowiadała mi, że powinienem oddać hołd tej istocie, co też uczyniłem. Moja ciekawość była jednak zbyt wielka, aby nie zapytać.

— Witaj panie, kim ty jesteś?

— Witaj, Taito.

Jestem tym, którym jeszcze nie jestem, a i tym, którym dopiero będę.

— Wybacz panie, ale nie rozumiem twoich słów, bo są zbyt trudne, aby je zrozumieć mnie, marnemu człowiekowi.

Moje „ka” wyczuwało, że to jakieś bóstwo, ale nie jest ono wielkim Ptahem, ale kimś o wiele ważniejszym od niego, ale kim?

— Tak, Taito, nie jestem wielkim Ptahem, ale nie trudź swojego umysłu, bo i tak nie odgadniesz nawet wtedy, gdybyś myślał o tym przez całe wieki. Przyszedłeś spotkać się z nim, a spotkałeś mnie. Jego, będziesz szukał przez całe swoje życie, lecz nigdy go nie znajdziesz, chociaż tak bardzo mu ufasz. Mnie już odnalazłeś, chociaż nie wiesz, kim jestem?

Ta istota znała moje myśli. Czytała w moim „ka”, jak w rozwiniętym rulonie, jak to było możliwe?

— Wiem, co cię trapi kapłanie i dlatego tu przyszedłeś do świątyni, która nie jest moim domem. Mój wygląda inaczej, niż ten kamienny dom Ptaha. Twoja czystość nie daje ci spokoju, prawda? Boisz się skalania nieczystością poprzez kontakt z niewiastą, a na dodatek kapłanką?

— Tak panie, skąd wiesz?

— Ja wiem wszystko, Taito.

Nie pytałem już o nic, oczekując dalszych jego wypowiedzi.

— Wiem, że bardzo cierpisz przez to, co cię spotkało. Nie wiesz jak było i to jeszcze bardziej nie daje ci spokoju. Teraz słuchaj, co ci powiem i sam dojdź do prawdy, bo jesteś bardzo mądrym i rezolutnym człowiekiem. Zapytam cię teraz:

— czy wtedy, twoje „chet” uczyniło coś, co dyktowało ci twoje „ka” i uczyniłeś to w pełni świadomie? Nie musisz odpowiadać, ja znam i ty znasz odpowiedź. Nie widzę winy w tobie i powtórzę ci to, raz jeszcze. Jeżeli nie ma w tobie winy, to nie ma także kary. Kiedyś przyjdę na twój świat, aby życie swoje oddać za wielu, ale niewielu to doceni. Swoją krwią oczyszczę ludy tej ziemi i moje królestwo zapanuje tu, po wsze czasy.

— Panie, a kiedy to nastąpi?

— Twoje „chet” nie doczeka tych czasów. Wiele wody upłynie jeszcze w Nilu i wielu władców usiądzie na tronie Kemetu. Jeden z nich zniewoli naród, który ujdzie spod bata tego prześladowcy i wyruszy do ziemi obiecanej im przez mojego ojca. Ja zrodzę się z tego narodu po to, aby dać świadectwo prawdzie.

— Panie, to ty będziesz wielkim królem?

— Tak, będę wielkim królem, ale nie tu jest i będzie moje królestwo. To, co

teraz widziałeś i słyszałeś, zachowaj dla siebie, bo jeszcze nie nadszedł mój czas. Możesz o mnie wspomnieć tylko tym, którym zaufałeś. Ty Taito, także zginiesz za prawdę i za miłość do swoich braci, zabije cię jad ludzkiej zazdrości. Umrzesz szybko u boku kogoś, kto bardzo cię pokocha i zaznasz wtedy spokoju. Wielu takich jak ty, będzie jeszcze cierpieć z podobnego powodu, póki Ziemia istnieć będzie. Nie wracaj już więcej do tej przeszłości i nie wnikaj w nią, bo ta, jest już za tobą. Nawet w Nilu nie szuka się kropli wody, która upłynęła już do morza.

— Panie, a co z Neferi? Pewnie wiesz, jak kocha mnie ta niewiasta?

— Wiem, Taito. To, co tobie uczyniła jest złem, lecz jest to zło nieświadomie uczynione z wielkiej miłości, która zrodziła jej pożądanie do ciebie. Taka miłość nie jest wolną od potrzeb „ka” i „chet”. Wiesz, jak zbudowany jest człowiek i jak wszystko jest w nim od siebie zależne. Ty jesteś jej miłością i ta kobieta pragnie stworzyć z was, jedność. Jedność pomiędzy tobą mężczyzną, a nią, kobietą. Ty wiesz, jak ona cierpi, bo i sam cierpisz z tego powodu. Ja kiedyś będę waszym oczyszczeniem, jeśli nie skalacie się gorszymi uczynkami. Nie bądź jej sędzią i wybacź w imię miłości. Wybacź też każdemu, kto wyrządza ci krzywdę. Miłość jest ponad wszystko i to ona jest wybaczeniem. Zapamiętaj te moje słowa, Taito. A teraz wracaj, bo twój czas jeszcze nie nadszedł. Pokłoniłem się temu królowi i moje „ka” powróciło po chwili do „chet”. Byłem znowu jednością taką, jaka była mi dana od dnia moich narodzin.

Leżałem jeszcze przez dłuższą chwilę przed posągiem Ptaha i nie mogłem się pozbierać po tym, co przed chwilą widziałem i usłyszałem.

— „Panie, kim jesteś?” — ciągle wracało w moim umyśle. W sanktuarium panowała cisza. Postanowiłem ponownie wrócić w to miejsce i zapytać tego przyjaznego mi króla o więcej. Niestety nie było mi to dane, nie potrafiłem po raz drugi wejść do tego świata.

Wszedłem w inny świat, świat niezbyt może odległej przyszłości. W nim, było już tylko moje „ka”. Zobaczyłem swoje „chet” zawinięte w bandażę i leżące w drewnianej skrzyni w kamiennym (większym) sarkofagu. W tym kamiennym, obok mojego (drewnianego), był jeszcze drugi z „chet” kobiety. Na nim, zdobne kwiatem lotosu, wymalowano jej imię: Jasmin. Obecnie nie znałem kobiety o takim imieniu.

— „Kim była, jeśli jej „chet” spoczywało obok mojego, więc musiała być bliską mi osobą? Pewnie to ta kobieta z mojej przyszłości?” — pytało moje „ka”.

To nie była Neferi.

— „Czyżby nasze drogi, aż tak się rozeszły?”

Powędrowałem dalej. Mój, a raczej nasz wspólny sarkofag, był ukryty w wielkiej kamiennej sali. Tej, nie stworzyła ludzka ręka. Ściany sali były skałami jaskini. W niej zobaczyłem też dwa inne, kamienne sarkofagi. Były puste i czekały na to, aby w nich złożyć czyjeś „chet”. Jedno z tych miejsc położone poniżej

naszego, także było komorą tej jaskini, lecz miejscem godnym królewskiego pochówku. Jego ściany lśniły marmurem. Pewnie ten, przepięknie wykonany kamienny sarkofag oczekiwał tam na żyjącego jeszcze, władcę? Zobaczyłem też pierwszą podziemną salę. Tam także stał pusty podwójny sarkofag, a na nim wyryto dwa imiona: „Orypis” i to drugie, bardzo krótkie i dziwnie brzmiące, „Li”. Zorientowałem się, że to musiało być przysze miejsce spoczynku mojego przyjaciela i pewnie jego ukochanej?

Nie chciałem tam już dłużej być, to było nieciekawe i ponure miejsce, pomimo przepychu w jakim je wykonano. Nawet nie chciałem zobaczyć „chet” kobiety, spoczywającej obok mojego ciała. Miałem taką możliwość, ale jej spokój był dla mnie ważniejszy. Wystarczył mi widok mojego ciała z dziurą po włóczni i zawiniętego w bandażę. Oddaliłem się od tego miejsca. Znowu było tylko moje „ka”, lecz w innym czasie.

Zobaczyłem rydwan Menesa stojący na Nilem i jego samego, wraz z grupką dworzan i gwardzistów na małych łodziach z wiosłami. Dla rozrywki polują, strzelając z łuków do kaczek. Widzę jakieś zamieszanie na łodzi faraona. Ludzie i on sam wskakują do wody atakowani przez jakieś duże zwierzę, to hipopotam. Ten, wyłonił się z pobliskiej kępy papirusów i zaszarżował w stronę łodzi obierając sobie za główny cel łódź Menesa. Ta rozlatuje się w drzazgi pod jego ciężarem i zębami. Gwardziści próbują osłaniać władcę. Zwierzę nadal atakuje. Słyszę krzyki ludzi, leje się krew. Zwierzę dosięga także faraona. Kolejni gwardziści próbują go osłaniać, ale bezskutecznie. Zwierzę zajadłe ponawia ataki. Menes znika na chwilę w wodzie. Wyciągają go żołnierze, próbując oddalić się z nim od tego miejsca. Jeden z nich wbija swoją włócznię głęboko w ciało zwierzęcia, ten nie pada, ale jeszcze nasila swój atak. Brodząc w płytkiej w tym miejscu wodzie, kolejni gwardziści wbijają swoje włocznie w ciało zwierzęcia. Ryk, szamotanina, krew ludzi i zwierzęcia mieszają się z wodą i rzeczonym mułem. W końcu hipopotam pada, dźgany kolejnymi ostrzami grotów i dobijany mieczami żołnierzy. Widzę, jak kilku z nich wraz z dworzanami, wynoszą okaleczonego Menesa na brzeg. Żyje jeszcze, ale krew uchodzi z jego ciała, wypływając strugami, niczym woda ze źródła. Wiem, że z nią ujdzie też „ka” naszego władcy. Wszyscy biegają wokół niego chcąc go ratować. Ten odchodzi w chwili, której nawet się nie spodziewał. Nad ciałem tego, który niedawno był jeszcze wielkim władcą, stoi mój przyjaciel, Akar. Słyszę jego słowa, wymawia moje imię:

— Nawet sam Taita by mu nie pomógł, zbyt wielkie są jego rany. To już koniec, jest już bogiem i pośród bogów zamieszka.

Teraz donośnym głosem, Akar zaczyna zmawiać krótką modlitwę do bogów zachodu:

— O wielki Ozyrysie, przyjmij do swojej ojczyzny jego „ka” i uczyn go nieśmiertelnym, równym sobie i równym wszystkim bogom. Ty, Anubisie

poprowadź go drogą do zachodzącego słońca, aby dotarł bezpiecznie przed tron Ozyrysa, wielkiego sędziego tej wiecznej krainy.

Akar uderza mieczem w tarczę, raz, potem drugi i trzeci. Za nim, czynią tak pozostali ocaleli z tego pogromu gwardziści. Klękają na kolana i schylają głowy do ziemi, oddając ostatnią cześć swojemu władcy. Horus roztoczył już nad jego „ka” swoją opiekę.

Teraz widzę Menesa sposobionego do ostatniej jego wędrówki. Kapłani z wielką czcią składają jego ciało do drewnianej ciężkiej skrzyni. Obok niej stoi druga, także bogato zdobiona królewskimi znakami. Do niej kapłani wkładają drugie ciało, jakiegoś biedaka.

— „Tylko, po co te insygnia dla kogoś, tak mało znaczącego i niebędącego władcą?” — myśli moje „ka”.

Na tych wydarzeniach zakończyły się te moje nieciekawe wizje.

Pot zalewał mi czoło chociaż ja, wciąż leżałem na chłodnej posadzce.

— „Jak to możliwe, to przyszłość, ale już nie moja. Ja w niej jestem tylko wspomnieniem” — pomyślałem.

Mogłem się teraz domyślić, że pewne wydarzenia mogą wynikać z mojego poprzedniego w nich uczestnictwa.

Wróciłem do siebie.

Pomimo tych ostatnich tragicznych obrazów, byłem jakiś spokojniejszy, co też od razu zauważyły moje niewolnice.

— Panie, gdzie byłeś? — zapytała Ned.

— W świątyni, zmagiałem modlitwy do wielkiego Ptaha.

Nie powiedziałem im jednak o moich wizjach, gdyż nie nadeszła jeszcze pora, aby im o tym wspominać.

— Teraz wybiorę się na plac budowy, a potem pójdę do Neferi.

— Panie, tylko tam nie pij — ostrzegały mnie dziewczyny.

— Nie mam zamiaru, a idę tam po to, aby wyjaśnić, co wtedy zaszło.

Na budowie Kazem doglądał robót, więc spokojnie mogłem się oddalić do domu Neferi. Ten, nawet nie wspomniął o mojej słabości. Tym razem zastałem kapłankę w domu. Natomiast nie widziałem, Falak.

— Witaj, Neferi!

— Witaj, Taito!

— Sama jesteś?

— Tak sama, a po co ci inna?

Tego mogłem się spodziewać, że zazdrość nadal w niej tkwi, niczym kolec w palcu.

— Pewnie wiesz, dlaczego przyszedłem do Ciebie?

— Aaaa, nie mam pojęcia, kapłaniku? — dodała jak zwykle — czy coś się stało? — udawała zdziwienie.

„Nieźle gra swoją rolę” — pomyślałem.

— Wiesz Neferi, chodzi mi o to nasze ostatnie spotkanie, czy chciałabyś mi coś powiedzieć na ten temat.

— A niby, co?

— Chociażby, to twoje wino?

— Aaaa..., to wino? Pewnie musiało być mocne, a ty masz słabą głowę no i padłeś, jak kogucik po zjedzeniu sfermentowanych ziarenek.

— Dobrze wiesz, że wypicie dwóch pucharków wina nie powoduje takiego upojenia — stwierdziłem stanowczo.

— A jednak się mylisz, może to było bardzo mocne wino, a twoja głowa może zbyt słaba?

— Neferi, ty coś kręcisz? — wyczułem to w jej odpowiedziach.

Ta rozmowa nie miała sensu. Chciałem wyjść, ale Neferi złapała za moją hekę i wciągnęła z powrotem do izby.

— Gdzie znowu, nie chcesz ze mną porozmawiać? Tak długo cię nie widziałam, a ty tak szybko się upiłeś i nawet nie dokończyłeś swojego opowiadania.

— Jak mnie upiłeś, no to masz, a tak faktycznie, co mi wsypałeś wtedy do wina?

— Ja nic, może Falak, coś ci namieszała? — mówiła, kręcąc się nerwowo po izbie.

— Zostaw już tę dziewczynę w spokoju, a popatrz raczej na siebie.

— A co mam patrzeć, kiedy ty robisz to za mnie.

„Cała Neferi” — pomyślałem.

— Wiesz, że Falak od tej pory nie pokazała się jeszcze w domu? — dodała.

Nawet w świątyni nie pokazała się od tego czasu. Także w okolicy nikt jej nie widział. Zniknęła, jak kamień w wodzie.

Jak się później okazało, rybacy znaleźli resztki jej ciała na brzegu Nilu w zaroślach. Nikt nie wiedział, co tam mogła robić, czy utonęła, albo czy też zaatakował ją krokodyl? Może zginęła z ludzkich rąk?

— „Czyżby zrobiła to zazdrosna o mnie, Neferi?” — pomyślałem.

Nie mogłem osądzać, bo nie wiedziałem. Zanim przygotowano ją do wiecznej wędrówki, poprosiłem arcykapłankę o możliwość zobaczenia jej ciała, (jako medyk). Oczywiście zasugerowałem jej ewentualną możliwość sprawdzenia przyczyny jej odejścia.

Otrzymałem zgodę, chociaż zauważyłem pewną podejrzliwość ze strony tej kapłanki.

Skrupulatnie przejrzałem to wszystko, co po niej pozostało. Dziewczyna była brzemienna.

— „Czyżby wyznawczyni Hathor jej pomogły?”

Nie śmiałem przypuszczać, bo ktokolwiek to zrobił, niechaj czuje się winnym i spocznie na nim przekleństwo bogów. Miałem nadzieję, że nie zrobiła tego, Neferi? Arcykapłance nie wspominałem o wyniku mojego badania. Jeśli to ich sprawa, to i na mnie mogłoby się to zemścić, a tego nie chciałem. Naruszenie ich tajemnic pewnie skończyłoby się dla mnie spożyciem odpowiedniej dawki trucizny, abym milczał na wieki. Wyznawczynie Hathor rządziły się swoimi prawami, a jedynie faraon, mógł się wtrącić w ich sprawy, ale także nie wszystkie. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, więc dałem sobie z tym spokój i nie wnikałem już nigdy w tę historię z dziewczyną. Było mi jej żal, bo krótkim było jej życie. Tajemnicę poczęcia swojego dziecka zabrała ze sobą.

— „Może tylko jego ojciec wiedział, co zaszło pomiędzy nim, a tą młodą kapłanką, a może to on był winny jej śmierci? Kim był ten człowiek?”

Co jakiś czas odwiedzałem Neferi, a i ona, mnie. Wystrzegałem się jednak, picia wina i piwa w jej w domu. Teraz mieszkała tam sama, ale nie narzekała na pustkę, która ją otaczała. Czasami przychodziły też do niej znajome kapłanki i ich obecność rozpraszała smutne nastroje Neferi podczas mojej nieobecności.

Pewnego dnia u Neferi zauważyłem coś, co zdarza się niewiastom na początku ich brzemienności i zapytałem o te dolegliwości. Dziewczyna, jakby zlekceważyła moje pytanie i stwierdziła, że to jakieś chwilowe niedomaganie związane z wnętrznościami. Jej natarczywość do przypodobania się mojej osobie, także zmaląła i już nie prowokowała mnie swoim nagim ciałem. Wiele o tym myślałem, ale nie miałem żadnego dowodu, aby stwierdzić, że moje przypuszczenia są rzeczywiste.

Nie minął jeden trymestr (cztery miesiące) i Neferi wyjechała do Abdzu, (Abydos) ponoć na jakiś czas do tamtejszej świątyni, aby uczyć tam nowo przyjęte uabu. Takim było jej wytłumaczenie. A jaka była prawda? Tego nigdy się nie dowiedziałem. Może była brzemienną i urodziła dziecko, może i moje dziecko?

— „Czy kiedyś będzie dane mi się o tym dowiedzieć? Może ten, z którym rozmawiałem w świątyni, nie chciał, abym czuł się winnym?”

Gdyby było to prawdą, to nigdy bym sobie nie wybaczył takiego skalania swojej czystości, nawet wtedy, gdyby nie było ono z mojej przyczyny. Pewnie swoją krew złożyłbym w ofierze wielkiemu Ptahowi, aby mi wybaczył.

Neferi wróciła do Ineb — Hedż po kolejnych dwóch trymestrach od wyjazdu. Trochę zmizerniała, ale nadal była uśmiechnięta i pragnąca uwodzić mnie, Taitę.



Histria Akme i Amenet'a

Ostatnie wydarzenia wybiły mnie trochę z rytmu, ale musiałem szybko wrócić do rzeczywistości, gdyż wielki Menes wezwał mnie do siebie.

Na dworze, jak zwykle przywitano mnie z honorami, jakich dostępują osoby wysokiego urzędu. Menes czekał na mnie w sali tronowej w asyście swojej świty. Po moim wejściu odprawił wszystkich, za wyjątkiem jednej niewolnicy. Trochę mnie to zdziwiło, gdyż zawsze, wyzbywał się wszystkich, podczas mojej obecności, a nasze rozmowy były prowadzone w cztery oczy. Rozmowa przebiegała, jak zwykle i Menes zwyczajowo poruszał tematy związane z tamą i budową świątyni. Miałem pewne problemy z zaopatrzeniem ludzi w żywność i poruszyłem ten temat. Władca obiecał mi pomoc w tej sprawie. Pytał mnie też o moje domowe sprawy, jakby miały dla niego jakieś znaczenie. Tu wolałem odpowiadać mu ogólnikami, aby zbyt wiele o mnie nie wiedział. Nie pytał mnie o sprawę spotkania z Neferi, albo do niego nie dotarło, albo celowo nic nie mówił w tym temacie? Kiedy rozgadał się na dobre, ja swoją uwagę przeniósłem na dziewczynę. Mnie nadal niepokoiła sprawa jej obecności. Menes coś wymyślił, a ja nie wiedziałem jeszcze do czego zmierza. Dziewczyna była rodowitą Egipcjanką o ładnej budowie ciała. Ubrana w szaty, jakie noszą królewskie nałożnice prezentowała się wspaniale. Przez przewiewną narzutę widać było jej jędrne piersi. Nie nosiła natomiast peruki, co świadczyło poniekąd, o jej przynależności społecznej. Jej włosy były jednak ładnie zaczesane i wyglądały lepiej, niż niejedno kobiece nakrycie głowy. Z daleka pachniała jakimiś przyjemnymi olejkami, a i twarz miała przyozdobioną, szminką. Jej wygląd oceniałbym na jakieś osiemnaście wylewów Nilu. Nie znałem jej imienia, gdyż widziałem ją po raz pierwszy. Menes dalej gadał i gadał, Ale w jego wypowiedziach nie było nic istotnego. Starłem się zapamiętać istotniejsze sprawy, ale tych nie było zbyt wiele. W końcu zapytał mnie, czy zrozumiałem? Skinąłem głową na potwierdzenie.

— Podejdź tu do nas — skinął na dziewczynę.

Ta podeszła blisko do władcy i uklękła w pokorze przed swoim królem, opuszczając wzrok w stronę posadzki.

— „Piękna” — pomyślałem.

— Zdejmij wszystko, co masz na sobie — nakazał Menes

Ta posłusznie spełniała jego wolę, odsłaniając przed nami, swoje nagie ciało.

— Co ładna, Taito?

— Tak, panie.

— Chcesz ją? — zapytał Menes.

— A jeśli nie to, co? — zapytałem wprost, może i nieodpowiedzialnie,

narażając się takim pytaniem na jego gniew.

Ten, jednak nie uznał tego za obrazę, a raczej za mój głupi żart i kontynuował dalej.

— Jeśli ty ją nie chcesz, to dam ją żołnierzom dla zabawy, a potem sprzedam na bazarze za jednego osła.

To mnie zdziwiło, gdyż taka niewolnica była warta kilkanaście osłów.

Menes ciągnął dalej.

— Zobacz Taito, jakie ona ma ładne i dorodne piersi i wspaniałe łono, da ci wielu niewolników.

— Panie, nie szkoda ci takiej kobiety?

— Mam ich wiele, a tej akurat nie chcę, może tobie się przyda do codziennych uciech.

— Panie, co ty mówisz? Jestem kapłanem i wiesz, że ślubowałem celibat i czystość.

Menes zbliżył się jeszcze bardziej do mnie i teraz dopiero wyraźnie poczułem od niego zapach wina. Jego zachowanie potwierdzało to, że i sam król, także lubi ten nektar bógów. W końcu i samym nim będzie po śmierci.

— I jak, chcesz ją? — dodał ponownie z naciskiem.

— Panie, twoja wola jest dla mnie święta, więc zabiorę dziewczynę uznając ją, jako twój podarunek.

— Tak, tak, Taito, teraz mów wszystkim, jaki jestem dobry.

— „O to ci chodziło” — pomyślałem.

— Tak panie, wszyscy wiedzą o twoje łaskawości dla poddanych.

Moje słowa zrobiły na Menesie dobre wrażenie i chodził teraz po sali dumny niczym paw z wysoko podniesioną głową.

— Ubierz się dziewczyno — powiedziałem do niej z cicha.

Jednak zanim ta zdążyła coś na siebie włożyć, Menes klepnął ją ręką w pośladki i powiedział do mnie:

— Zobacz, jest niezła, jak moje kłaczki w stajni.

— Tak panie, odrzekłem, bo i cóż mogłem odpowiedzieć, upojonemu winem, władcy.

— No możesz już odejść i tylko nie zapomnij zabrać ze sobą mojego podarunku! — głośno zaakcentował w tym ostatnie słowa.

— Jakbym śmiał panie zapomnieć, o tak pięknym „prezencie”. Te ostatnie słowo dodałem z naciskiem, co Menes przyjął, jako pochlebstwo za swoją łaskawość. Pokłoniłem się władcy i wyszedłem. Niewolnica podążyła za mną, ubierając się jeszcze w biegu. Zatrzymałem się w sali przedtrzonowej, aby ta mogła przyodziać się do końca. Kiedy była gotowa, wyruszyliśmy do domu.

W pałacu nie chciałem wypytywać dziewczynę o przyczyny tego „dobrodziejstwa” Menesa. Dzisiaj lepiej było się trzymać z daleka od faraona, bo

z upojonym człowiekiem może być różnie, a i jego „łaskawość”, mogła za chwilę zmienić swoje oblicze.

Opuściwszy pałac, odetchnąłem z ulgą.

— Jakie twoje imię? — zapytałem, kiedy tylko znaleźliśmy się za kolumnami. Jak do tej pory, nie spotkałem cię w pałacu Menesa?

— Panie zwą mnie Akme, a na dworze faraona jestem dopiero od dwóch trymestrów.

— Jesteś bardzo piękna, a Menes nie chce cię już na swoim dworze, dlaczego?

— Może to jego kaprys panie, albo sprawa jego drugiej małżonki, ale nie chcę o tym mówić, abys i ty mnie nie odrzucił. Nie chcę znowu trafić na plac niewolników — dodała, prawie z płaczem.

— Nie obawiaj się, pozostaniesz u mnie wśród moich bliskich i będzie ci dobrze, a pewnie i lepiej, jak w pałacu faraona. Może skromniej, ale dla ciebie bezpieczniej. Teraz jednak chciałbym wiedzieć, dlaczego?

— Panie, boję się mówić.

— Daję ci słowo kapłana, że nikt się o tym nie dowie, a i ja nie będę cię karał za to, co powiesz.

— Dobrze, panie. Jak wspomniałam, to sprawa drugiej małżonki faraona. Uznała, że nie jestem godna władcy i jestem dla niej zagrożeniem i postanowiła mnie usunąć z dworu. Podpuszczała władcę, aż ten, uznał to za słuszne.

— No tak, pewnie to prawda i mogę ci wierzyć. Pałac, to miejsce pełne intryg, a i ja nie lubię tego miejsca.

— Co ty mówisz, panie? Przecież ty jesteś wielkim dostojnikiem na jego dworze?

— A ile razy mnie tam widzujesz? Jeśli się pojawiaam, to mam coś do powiedzenia w sprawach budowy, lub też jestem wzywany przez Menesa. A to kim jestem nie ma znaczenia, dziewczyno.

Ja inaczej patrzę na ten świat. Myślę, że jak mnie poznasz, to zrozumiesz?

— Jak każesz, panie.

— Tego nie można nakazywać, tylko zrozumieć.

Po powrocie do domu, dziewczyny przyjęły bardzo ciepło swoją nową koleżankę i ta poczuła się faktycznie, jak u siebie. Podobnie było z chłopakami, przyjęli ją do swojego grona bardzo gościnnie. Dar i Neheb, co chwilę zerkali w jej stronę z czego Nitakaris i Ned pewnie nie były zbytnio zadowolone. Akme zamieszkała na przyziemiu domu w izbie, gdzie schowałem tykwę z papirusem dziadka. Izba była także przeznaczona na pobyt dwóch osób, więc nie było problemu, aby zamieszkała tam w przyszłości z drugą osobą. W jej wieku dziewczęta już dawno były mężatkami. Nie chciałem też wybierać jej męża i zamyślałem, aby dokonała tego sama według własnej woli. Ja wcześniej

zamyślałem dokupić jakiegoś chłopaka, ale nie po to, aby na siłę uszczęśliwić dziewczynę, ale potrzebowałem kogoś do pomocy w gospodarstwie. Niedługo później, rozwiązanie tej sprawy, przyszło samo. Podobnie jak i Akme, która niespodziewanie stała się wtedy moją własnością.

Tego wieczoru, po przybyciu do naszego domu, Akme zaskoczyła mnie swoim zachowaniem. Później dowiedziałem się, że było to za sprawą Menesa.

Kiedy położyłem się na swoim posłaniu i w domu zapanowała już cisza, zgasilem kaganek i w izbie zrobiło się prawie ciemno. Przez okienko wpadała tylko poświata wielkiej tarczy Chonsu. Prawie bezszelestnie weszła ona, Akme. Stała blisko mojego posłania i zrzuciła z siebie okrywające ją odzienie. Była całkiem golusienka, jak wtedy u Menesa.

— Akme, co ty wyprawiasz?

— Panie jestem twoja i zrób ze mną, co chcesz.

— Tak nie można, Akme. Jesteś jeszcze niewolnicą, ale to nie znaczy, że ja będę cię kochał, jak mężczyzna kocha kobietę. Ślubowałem czystość i życie bez żony, więc uszanuj tę moją decyzję.

— Wybacz panie, jeszcze raz wybacz i nie bij mnie, nie wiedziałam.

— Kto by ciebie chciał bić, śliczna dziewczyno?

— Ty jesteś moim panem i twoja wola, co ze mną zrobisz — odparła drżącym głosem.

— Oczywiście nim jestem, ale to nie powód, aby cię bić. Ubierz się i usiądź tu przy mnie.

Akme spełniła moje polecenie i usiadła obok wezglowia.

— Nie płacz, nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze, powiedziałem do dziewczyny. Tu będziesz miała o wiele lepiej, niż w pałacu naszego władcy. Nikt cię tu nie tknie i poczujesz się, jak wolna kobieta, bo i taką jesteś w moich oczach. Może nadejdzie taki dzień, że faktycznie taką będziesz. Teraz postaraj się o tym zapomnieć, co cię spotykało do tej pory. Tak będzie dla ciebie najlepiej. Jutro dam tobie trochę złota i przejdiesz się z Ned i Nitakaris na bazar i kupisz sobie nowe odzienie, bo skoro te zrzucasz w mojej obecności, to pewnie ci się nie podoba — dodałem żartobliwie.

Akme roześmiała się z cicha.

— Dziękuję ci panie — odparła i wielki całus wylądował na moim policzku.

Z jej strony, była to nie lada odwaga gdyż, jako niewolnica, bez przyzwolenia właściciela za taki czyn, mogłaby być ukarana chłostą. Nie wiem, jak ktoś ustanawiał takie prawo, aby otwartość takich uczuć mogła być karana cielesnie?

— „Czyż niewolnica, nie jest człowiekiem i jest ich pozbawiona?” Pewnie dla niektórych, niewolnik jest pozbawiony „ka”, ale ja odczuwam obrzydzenie, dla ludzi tak myślących. Przytuliłem Akme do siebie i pogłaskałem ręką, jej śliczne

czarne włosy i pocałowałem w czoło ojcowskim pocałunkiem.

— Dzięk ci, panie. Będę służyć ci wiernie, dopóki taka będzie twoja wola.

— Nie musisz mi służyć, ja tylko proszę o pomoc, którą wam wynagrodzę, jak tylko będzie to możliwe. Teraz idź i wypoczywaj, bo bogowie dali nam noc, aby nasze „chet” odetchnęły po codziennej pracy. Jeśli poczujesz się samotna, to przyjdź i porozmawiamy. Pewnie nie będzie to potrzebne, bo nasze dziewczyny, nie dają ci odczuwać samotności.

— Jeszcze raz dziękuję ci panie za wszystko.

Akme wstała, ukloniła się i zniknęła za kotarą, a ja po chwili wędrowałem już po krainie snów.

Pewnie z wdzięczności, Akme, jako pierwsza powitała mnie następnego dnia, delikatnie głaszcząc moją rękę. Nawet Nitakaris i Neda przyszły nieco później, chociaż były „rannymi ptaszkami”.

— Panie, piękny poranek i pora wstawać!

Rozejrzałem się po izbie dookoła, gdyż wyczułem jakiś przyjemny zapach kwiatów. Akme zauważyła moją ciekawość.

— To ja przyniosłam te kwiaty, panie. Jeśli nie odpowiada ci ich zapach, to wyrzucę?

— Ależ dziewczyno, takie piękno należy podziwiać i rozkoszować się nim, a nie wyrzucać.

— Cieszę się panie, że ci się podobają.

— Tak, Akme.

Widząc jej uśmiechniętą buzię, wpadł mi do głowy pomysł i zaraz też, zwróciłem się do dziewczyny.

— Wiesz, dzisiaj nie pójdziesz na bazar.

Wiedziałem, jaka będzie jej reakcja. Akme zasmuciła się, a ja tylko na to czekałem.

— Wy same nie pójdziecie, a pójdziemy wszyscy.

— Ależ frajda — lecę o tym, powiedziec dziewczynom.

Wystrzeliła niczym kamień z procy i już w kuchni słyszałem jej szczebiotanie głosem pełnym radości. Czasem trzeba odrobinę smutku, aby cieszyć się później niczym bez troskie dziecko. Na tym czasem polegały moje gierki, aby sprawiać ludziom więcej przyjemności.

Na tarasie zjadłem śniadanie i po wizycie Kazema i omówieniu z nim kilku szczegółów budowy, wyruszyliśmy całą gromadką na miasto. Kazem oczywiście poszedł do świątyni, a ja miałem tam zjawić się nieco później, po południu. Według wskazania Menesa, jechałem w rydwanie, powożonym przez Dar'a. Nie chodziło tu o oszczędzanie moich nóg, ale raczej o pokazanie się przed mieszkańcami Ineb — Hedż. Tego także nie lubiłem, ale słowo Menesa było dla mnie święte. To właśnie było skrytym pomysłem władcy, aby pokazać rydwan,

jako dar jego łaskawości.

— „Pewnie ludzie i tak nie wiedzą skąd go mam?”

Do rydwanu zabrałem także Ned, gdyż ten, swobodnie mieścił trzy osoby. Neheb z Nitakaris i Akme, niestety musieli iść pieszo. Rydwan z zaprzęgiem zostawiliśmy na podwórku u Akara i po bazarze wędrowaliśmy pieszo.

Do bazaru nie było daleko, więc szybko byliśmy na miejscu. Na dzisiaj zaplanowałem zrobienie większych zakupów, lecz wcześniej, nie mówiłem nikomu o takim zamiarze. Jak zwykle, szedłem przodem, a za mną kroczyli moi niewolnicy, taki panował tu zwyczaj. Ludzie widząc idącego wysokiego rangą kapłana, cofali mi się z drogi, kłaniając się, lub padając na kolana i oddając mi cześć.

— „Jak ja, nie lubię takiego poddaństwa” — pomyślałem.

Dziewczyny, pierwsze swoje kroki kierowały w stronę straganów z odzieniem i błyskotkami, co oczywiście wzbudziło lekkie uśmiechy na naszych męskich twarzach. Kobiety nie byłyby kobietami, gdyby nie dotknęły na bazarze wystawionych płócien i nie obwiesiły się błyskotkami. Poprosiłem Ned i Nitakaris, aby pomogły wybrać kilka ubiorów dla Akme, a także i po jednym dla siebie. Dostały też pozwolenie na zakup świecidełek, grzebieni, szminek i pachnideł. Nitakaris miała się rozejrzeć za materiałami na wykonanie nowej pościeli i tego wszystkiego, co było potrzebne teraz do urządzenia izby, Akme. Dziewczyny piszczały z radości, kiedy skinieniem głowy akceptowałem zakupy, według ich wyboru. Bagaże były coraz większe i nasze zakupowe worki pęczniały, niczym brzuch Azibo, kiedy ten zjadał zbyt wiele trawy. Z moją sakiewką było gorzej. Powoli robiła się pusta, bo ubywało w niej złota. Nie było jednak tragicznie i zakupy trwały. Trzeba było także uzupełnić naszą spiżarnię i pewnie, gdyby nie wóz, (a takiego nie mieliśmy), trudno byłoby to zabrać do domu. Kiedy dziewczyny skończyły już swoje zakupy, skierowałem się w stronę bazaru, gdzie handlarze oferują na sprzedaż bydło. Ta decyzja zdumiała moich podopiecznych.

— Panie, co zamierzasz? — zapytał zaciekawiony Dar.

— Zaraz zobaczysz, tylko trochę cierpliwości.

Obszedłem teren dookoła, wybierając wzrokiem trzy sztuki bydła do swojej obórki, ale szczerze, bardziej liczyłem na umiejętności Dar'a.

— Dar, wybierz z tego stada dwie krowy i wołu.

— Panie, aż tyle?

— A ty chcesz ciągnąć wóz?

— Czyj wóz, panie? Nie mamy przecież wozu?

— Jeszcze nie mamy, ale za chwilę go kupimy — odparłem.

Dar zrobił wielkie oczy, niczym mała, której nadepnięto na ogon.

— Coś taki zdziwiony, chłopie? — zagadałem do niego.

— No bo, bo ... zaczął się jękać, pewnie z wrażenia?

— Wybieraj, na co jeszcze czekasz?

Dar wskoczył do zagrody i zaczął przyglądać się zwierzętom. Potem wskazywał handlarzowi, jakie zwierzęta chcemy kupić. Mój wybór pokrywał się z jego, widocznie coś z rolnika we mnie się jeszcze „tliło”? Trochę musiałem się potargować ze sprzedającym, gdyż ten, twardo upierał się przy swojej cenie. Kiedy jednak powiedziałem, że mogę mu pomóc w załatwianiu różnych spraw na królewskim dworze, ten spuścił z tonu i cena poleciała w dół o jedną trzecią. Obie strony były teraz zadowolone i mogliśmy pójść poszukać wozu. Do tego zadania wyznaczyłem Necheba. Był synem kowala i znał się na wyrobie tych pojazdów. Na bazarze nie było wielkiego ich wyboru, ale te kilka sztuk, jakie tam były, wykonano doskonale. Dwa mocne szerokie koła, burty i podłoga z akacjowego drzewa i hebanowy dyszel, to nam wystarczało. Sprzedający, a zarazem ich wytwórca nie chciał wiele, więc dołożyłem mu jeszcze do zapłaty i poprosiłem go, aby dołożył do wozu jarzmo dla wołu. To akurat, także nie było w cenie wygórowane, więc sownie obdarowałem tego rzemieślnika. Ten na naszym odchodnym bił nam pokłony do samej ziemi.

Mając już wóz z wolim zaprzęgiem, oraz krowy, (te uwiązaliśmy za wozem) ruszyliśmy na zakupy żywności. Nasza gromadka była dosyć liczna, więc potrzebowaliśmy sporo jedzenia. Znaczną ilość naszych pokarmów stanowiły warzywa i owoce. Mięso jadaliśmy, co około pięć dni. Wyjątek stanowili moi chłopcy, którzy po ciężkiej niekiedy pracy dostawali dodatkowe porcje z drobiu, lub mięso antylopy. W sumie nasze posiłki można było uznać, jako skromne, w odniesieniu do funkcji, jaką pełniłem. Mojego złota przywiezionego z Enettentore nie ubywało, a wręcz przeciwnie, było go więcej. Co do tego ostatniego postanowiłem, aby tu w Ineb Hedż wzorem mojego ojca i dziadka otworzyć lecznicę, poświęcając część swoich dochodów na pomoc biednym w odzyskaniu zdrowia. Wiedziałem też, że zaniechanie praktyki w leczeniu spowoduje, że wyjdę z wprawy. Krojenie ludzkiego ciała, tym bardziej wymagało ciągłego doskonalenia, a ja w ostatnim czasie opuściłem się w tych praktykach.

Zanim opuściliśmy bazar w miejscu gdzie sprzedawano niewolników (do tej pory pustym), naraz zrobiło się gwarno i tłoczno. Świst batów, krzyki poganiaczy i płacz kobiet przyciągnęły moją uwagę i nie tylko moją.

— Panie, panie, niewolników przyprowadzono! Chodźmy popatrzeć — krzyczała podenerwowana Ned.

— Wiesz, jak ja nie lubię tego miejsca?

— Wiem, panie i nie gniewaj się, chodź z nami.

Posłuchałem i poszedłem, chociaż serce stawało mi w gardle na widok tych biedaków. Spora gromadka gapiów otaczała już handlarzy i niewolników. Poganiacze batami pędzili tych biedaków, ale także i siłą, odsuwali tych, zbytnio zbliżających się i ciekawskich. Na mój widok sługusy handlarza utorowały mi

przejście, a ten po chwili osobiście zjawił się przy mnie.

— Panie, nowy towar przywieźliśmy, może kupisz sobie jakiegoś czarnucha? — dodał z szerokim uśmiechem na twarzy.

Musiałem się opanować, aby nie walnąć go po głowie moją heką. Nie odpowiedziałem na tę wkurzającą mnie propozycję, handlarza. Patrzyłem tylko, jak prowadzą ich na placyk i po kolei wyciągają na rampę, szykując do sprzedaży. Nasze dziewczyny schowawszy się za moimi plecami komentowały urodę, co poniekąd niewolników. Ich szepty dochodziły do mnie. Na widok półnagich i dobrze zbudowanych mężczyzn, zachowywały się niczym podniecone dzierlatki. Nie zważałem na ich zachowanie, tylko myślałem do czego doprowadzi ta obecna sytuacja. Dziewczyny nadal szczebiotały skupiając się teraz na jednym z chłopaków, który stał w grupie sprzedawanych Egipcjan. Był to rostry chłopak o pięknej urodzie z niewielkim młodzieńczym loczkiem na głowie. Sprawiał wrażenie niepasującego do tej całej gromadki z powodu swojego wyglądu, gdyż robił wrażenie pochodzącego z średnio zamożnej rodziny. Jednak tacy, byli rzadkością, gdyż potrafili się wykupić z rąk poborców, wręczając im dodatkową zapłatę. Chyba, że trafili tu w podobny sposób, jak rodzina byłego wezyra, sprzedani za nadużycia względem władcy. Tego, jednak w tej chwili nie wiedziałem i nawet zbytnio mnie to nie obchodziło, kim był ten chłopak. Dla mnie ważne było jego cierpienie, jak cierpienie wielu z nim sprzedawanych. Był jednym z nich.

— Panie, może go kupisz? — zagałała, Ned.

— A co chcesz, mieć drugiego męża? — zapytałem żartobliwie.

— No wiesz panie, bo nie ja, bo wiesz, ona

— W końcu powiedz, o co ci chodzi?

— No bo panie, nasza Akme, on się jej, no tego..

— Czego?

— Panie on się jej spodobał — teraz powiedziała to już otwarcie i z wielkim przekonaniem.

— Jak to się spodobał, przecież widzi go po raz pierwszy w swoim życiu, nie zna go i nawet nie wie, kim jest? Może to jakiś zbir?

— Nie wygląda na takiego — odpaliła na poczekaniu.

— Wygląd nie świadczy o człowieku — skwitowałem jej odpowiedź.

— No tak panie, ale ona już go chyba kocha?

— Tak na poczekaniu?

— Tak bywa z nami kobietami — odparła Ned — używając swojego ostatecznego argumentu.

Kup go dla niej, panie. Ona naprawdę będzie ci wdzięczna.

Chciałem się trochę poprzekomarzać z Ned, więc zapytałem znowu.

— A co ja, będę z nim robił?

— Panie, przecież mówiłeś nam, żeby jeszcze nam się ktoś przydał w gospodarce. Teraz mamy jeszcze te dwie krowy i wołu. Będzie wiele pracy.

— Przecież wy dacie sobie z tym radę? — zapytałem podchwytliwie.

— No może tak, a może i nie? — Jeśli zaczniesz leczyć ludzi, to i w tym, ktoś będzie ci musiał pomagać?

— Do pomocy mam Neferi, przecież wiesz.

— No, ale, że tego, jak nie będzie, albo ... Tu dziewczyna zaczęła się jękać, nie mogąc znaleźć już innych argumentów, aby mnie przekonać.

W tym czasie, kiedy Ned dyskutowała ze mną, handlarz rozpoczął licytację. Było już dwóch chętnych do jego nabycia. Byli to bogaci mieszczanie z Memfis i pewnie przybyli tu na bazar ze swoimi żonami, także na jakieś zakupy. To właśnie ich żony nalegały na zakup tego chłopaka. Nie trudno było się domyślić do czego był im potrzebny.

— „Pewnie najbardziej byłby im przydatny, kiedy ich mężowie byłiby zbyt zajęci swoimi sprawami?”

Handlarz darł się dalej, chcąc uzyskać lepszą zapłatę. Ci dwaj, przebijali się nawzajem z ceną, ale przy niewielkich dopłatach, co pewnie denerwowało sprzedającego. Niewolnik nie wyglądał na jakiegoś zaprawionego w robocie, a raczej nadawał się tylko, jako pomoc domowa. Może kiedyś bardziej zmężnieje, ale do tego potrzeba trochę czasu.

— Akme, czy to prawda, co mówi Ned.

— Tak, panie — odparła nieśmiało dziewczyna.

— I co z nim zrobisz? — zapytałem.

— No ja panie... ja panie... tego, teraz ..., zaczęła się jękać, aż w końcu rozplakała się na dobre, kiedy usłyszała głośne słowa handlarza:

— Sprzedany!

Żal mi się zrobiło, Akme. To ja doprowadziłem ją do płaczu, zbyt długim przeciąganiem naszej rozmowy. Było mi jakoś przykro z tego powodu. Przeprosiłem obie dziewczyny i chociaż handlarz wykrzyczał już swoje „sprzedany”, dla mnie nie był to jeszcze koniec licytacji. Podszedłem do sprzedającego i powiedziałem mu tylko, że to jeszcze nie koniec sprzedaży. Ten, zanim kupujący go dworzanin podszedł po niewolnika, głośno zawołał:

— Pomyliłem się! Jeszcze nie jest sprzedany, kto da więcej?

— Ja — odparłem.

Tamten, pierwszy nabywca, nie miał ze mną żadnych szans i mógł się bać mojego gniewu. Wiedział, kim jestem dla Menesa i szybko zniknął w tłumie.

— Ile dajesz panie? — zapytał handlarz.

— Tyle, co on.

— Jak to panie? — mówiłeś, że więcej.

— Oczywiście, że więcej. Skoro tamten zrezygnował z kupna, to ja daję

więcej, jak ten pierwszy, czyli tyle samo, jak ten, co odszedł.

Czy to więcej, czy nie?

— No niby tak, panie, ale ...

— Nie ma żadnego, ale i tak sporo na nim zarobiłeś. Ciekawe, co na twój zysk powiedzą poborcy faraona, może któregoś ci przedstawić? — powiedziałem do handlarza.

— No już dobrze wielki panie, daj tyle, co tamten wytargował.

Zapłaciłem złotem za chłopaka i handlarz nakazał go uwolnić z pęt. Chłopiec podszedł teraz do nas i kłaniając się nisko zaczął dziękować za to, że go kupiłem. Tragiczna była ta scenka.

— Tu masz swoją wybawczynię, wskazałem ręką na Akme. To za jej przyczyną i teraz ona jest twoją panią. Będziesz jej wiernym sługą i będziesz jej oddanym niewolnikiem do końca swoich dni.

Ten słysząc, co mówię na klęczkach przesunął się w jej stronę, bił kolejne pokłony, pewnie myśląc, że ta, jest moją żoną. Nie wtrącałem się do tego dziwnego powitania. Pewnie za chwilę zrozumie, że Akme, także nosi na sobie piętno niewolnicy.

— Jak cię zwą chłopie?

— Panie, jestem Amenet, syn Kufara — odpowiedział, nie wstając jeszcze z klęczek.

— To wracamy do domu — powiedziałem do mojej gromadki.

Akme podbiegła do mnie i całując mnie w rękę, powtarzała w kółko: dzięki, panie, dzięki ...

— Możesz dziękować, ale już bez tego całowania. Zrobiłem to dla ciebie, abyś była szczęśliwa pod moim dachem, czego tobie i jemu życzę. Myślę, że i on wkrótce zostanie moim przyjacielem, kiedy to wszystko zrozumie.

Mając teraz pod swoim dachem trzech mężczyzn postanowiłem rozpocząć realizację moich planów. Niedaleko świątynnych murów, na ziemi darowanej mi w ostatnim czasie przez władcę, moi chłopcy zaczęli budować lecznicę — mój własny dom życia. Powstawał on w miejscu starej lecznicy, jaka kiedyś tam stała, dla potrzeb budowy tamy. Ta poprzednia była jednak tylko zwykłym namiotem, a moja miała być zrobiona z cegły i akacjowego drzewa. Aby budowa postępowała w miarę szybko, zrezygnowałem z woźnicy w swoim rydwanie i sam przyuczyłem się u Akara, sztuki powożenia. Akme dowoziła chłopakom jedzenie na budowę, a Ned i Nitakaris pichciły w kuchni i zajmowały się domem. Akme zajęła się też naszą drobniejszą trzódką. Oporządzanie wołu, krów i koni były domeną chłopaków. Akme, często korzystała z pomocy osiołków, dowożąc jedzenie i wodę na budowę naszej lecznicy, a także i dla mnie, kiedy przebywałem na placu budowy świątyni. Amenet zamieszkał w izbie z Akme, (jak o to prosiła dziewczyna). Jak mi później mówił, że jest najszczęśliwszym mężczyzną

w Kemecie, mając u swojego boku, tak wspinała kobietę.

Wykonując swoje prace i pomagając sobie wzajemnie, nasza więź była coraz silniejsza. Tworzyła z nas, kiedyś obcych sobie ludzi, jedną wielką rodzinę.



Nebtawi i wyjazd Neferi

Mijały kolejne dni, a ja wciąż poświęcałem się budowie i temu, co się wokół niej działo. Po ukończeniu tamy ściągnąłem Orypisa, angażując go teraz przy budowie świątyni. Ten doświadczony w budowlach kapłan na równi z Kazemem biegał po budowie rozwiązując, co trudniejsze problemy z nią związane. Za sprawą Menesa uzyskałem dla niego wielki pas zastępcy budowniczego świątyni i obecnie miałem obok siebie, już dwóch zastępców. Co prawda nie przyspieszyło to samych robót, ale wiele problemów technicznych przestało istnieć. Robót przybywało i my z Kazemem, nie byliśmy już w stanie wszystkiego ogarnąć, a Orypis doskonale wywiązywał się z powierzanych mu zadań. Wiedziałem, że nasza obecna znajomość zaowocuje kiedyś większą więzią, bo taka była wola naszych bogów.

Nadchodził czas kolejnego terminu mojej świątynnej służby. Już i poprzedni z woli Menesa został mi darowany ze względu na budowę świątyni. Ta była najważniejsza. Faktycznie cały swój czas poświęcałem tej sprawie. Podobnie było z Kazemem i Orypisem. Z podróży po Krainie Jęczmienia wrócił arcykapłan Nebtawi i mogłem po raz pierwszy poznać tego człowieka.

Wiedząc o jego powrocie, któregoś dnia poszedłem do starej świątyni, aby się z nim spotkać. On sam mieszkał w domu kapłanów, obok niej i nie miał zamiaru się przeprowadzać do nowego klasztoru. W nim przygotowano dla niego kilka izb, ale on uparcie obstawał przy swoim, gdyż jak mówił, że nie przesadza się starych drzew. Sędziwy wiekiem, około siedmiu dziesiątek wylewów naszej świętej rzeki, był bardzo mądrym i rozważnym arcykapłanem, a o tym przekonałem się, już przy pierwszym naszym spotkaniu. Pomimo swojej starości, jego umysł nadal pracował, jak u młodego człowieka, tylko o wielkim doświadczeniu.

Powitał mnie bardzo serdecznie i przyjaźnie, czego wcześniej się nie spodziewałem.

— Witaj, Taito — padło już od progu zanim ja, zwróciłem się do niego.

Jako podwładny jemu w naszej świątynnej hierarchii, a także starszemu wiekiem, uklęknąłem i pokłonem do posadzki oddałem mu cześć.

— Witaj wielki arcykapłanie, wita cię niegodny twój sługa.

— Nie bądź taki skromny kapłanie i chociaż nie widziałem cię jeszcze, ale już słyszałem o tobie wiele dobrego. Moi kapłani bardzo cię chwala, a wielki Menes, (co wiem) jest tobą zachwycony.

— Może i tak arcykapłanie, ale jak wiesz panie, że łaska władców bywa zmienną?

— Widzę, że mądrością nie grzeszysz i pewnie jesteś bardzo mądrym i doświadczonym człowiekiem, pomimo tak młodego wieku? Ja, pewnie już za

niedługo odejdę na zachód, a chciałbym, aby wiarę w naszych bogów przekazywał naszemu ludowi ktoś taki, jak ty. Pewnie i Menes tak myśli? — dodał.

— Nie wiem panie, ja jestem tylko skromnym medykiem i budowniczym, a to, co powstało i powstaje, nie jest tylko moim udziałem.

— Widzę, że twoja skromność jest większa niż myślałem, a ja, to wysoko sobie cenię.

Na znak grzeczności ponownie pokłoniłem się arcykapłanowi. Pewnie podobało się to temu starym człowiekowi, bo zobaczyłem uśmiech zadowolenia na jego twarzy.

— Choć Taito, usiądziemy tam na ławie obok sadzawki i porozmawiamy, jak kapłan z kapłanem.

Mały spacer i obydwoj usiedzieliśmy pod figowym drzewem, obok wodnego oka i mogliśmy podziwiać pływające w nim, ryby.

— Opowiedz mi coś o sobie, Taito? — zagadał Nebtawi.

Opowiadałem: o sobie, bliskich, nauce, świątyni w Enettentore i wielu innych sprawach, aż do czasów budowy tamy i świątyni włącznie. Arcykapłan słuchał i słuchał, co chwilę potakując głową. Kiedy skończyłem odezwał się w te słowa:

— Wielu kapłanów poznałem w swoim życiu, wielu uabu i hemu — neczer wyświęciłem, ale ty bijesz ich wszystkich na głowę swoją wiedzą i mądrością. Gdyby Menes nie chciał twojego awansu na arcykapłana, byłby najgłępszym faraonem na tej ziemi.

Nie odzywałem się, słuchając dalszej jego wypowiedzi.

— Z twojej opowieści wywnioskowałem, że jesteś także wielkim medykiem, nie tylko budowniczym. Być może medycyna jest twoim oczkiem w głowie, ale jedno i drugie idzie w parze. Pewnie nie jednym, jeszcze nas zaskoczysz? Powiedziałem ci, że mój czas dobiega końca i może już za niedługo stanę przed obliczem Ozyrysa, ale zrobię wszystko, by rola wielkiego arcykapłana przypadła właśnie, tobie.

— Dziękuję ci o panie za łaskawość, ale chciałbym, aby rada starszych kapłanów sama o tym zdecydowała.

— Rada to ja, a ja, to ona — odparł starzec.

— Panie, będzie tak, jaka będzie wasza decyzja.

— Wiesz, co mi się w tobie podoba?

— Nie wiem, panie.

— To, że nie pchasz się na tę posadę, jak czyni to wielu innych. Tacy, też już stali przed moim obliczem. Zaręczam ci jednak, że żaden z nich, nie dostąpi tej władzy.

— Nie wiem, co powiedzieć łaskawy panie.

— Nie mów nic, Taito — odparł arcykapłan — na to wszystko przyjdzie

z czasem i okaż cierpliwość, a i pewnie tej ci nie brakuje?

— Nie brakuje.

Aby zmienić temat, zagadałem o domu dla kapłanów.

— Panie i dla ciebie przygotowaliśmy izby w nowym klasztorze.

— To już nie dla mnie. Powiedziałem ci, że wkrótce odejdę do Ozyrysa, zanim ukończysz budowę świątyni, a ty po mnie, przejmiesz urząd arcykapłana.

Powiedział to z taką stanowczością, że nie chciałem zaprzeczać jego słowom.

Nebtawi pytał mnie także o szczegóły tej budowy, a także i tamy, która już spełniała swoje zadanie. Na pożegnanie Nebtawi powiedział mi jeszcze coś, co bardzo mnie zdziwiło i dało wiele do myślenia.

— Taito, jesteś jeszcze młodym człowiekiem, więc muszę cię jeszcze dobrze poznać, aby wyjawić przed tobą wielką tajemnicę naszej świątyni zanim zostaniesz moim następcą. To ważne dla nas kapłanów, ale także i dla tego ludu nad którym sprawujemy opiekę. Oni są jak dzieci pozbawione rodziców, jak ślepcy w zaułkach czasu. Jeśli nie podamy im ręki staną się łupem innych i zginą.

— Tak panie, twoje słowa są święte, wola twoja jest święta i niechaj się stanie, jako powiedziałeś — potwierdziłem jego wypowiedź.

Kiedy skończyliśmy, pożegnałem arcykapłana i poszedłem jeszcze zlustrować plac budowy, a potem do Menesa.

Często chodziłem pieszo i pewnie, jakiś nadgorliwy urzędnik musiał o tym wspomnieć Menesowi, że takie poruszanie się w ludzkiej ciżbie uwłacza godności wielkiego budowniczego. Przy tej wizycie, Menes, niby mimochodem zapytał mnie o darowany mi rydwan.

— Panie, stoi u mnie pod dachem i nie chcę, aby niszczył się podczas jazdy. Korzystam z niego tylko w ważniejszych sprawach.

— Cały Taita — odparł, Menes — zaraz wiedziałem, że to prawda. Cieszy mnie to, że szanujesz moje podarki, lecz nie po to ci go ofiarowałem, aby ten stał na twoim placu i osły w twojej obórcie się na niego gapily.

— Wybacz, panie — pokłoniłem się władcy. Twoja wola jest świętą i już od jutra będę podróżował tym wspaniałym wozem.

Tak też uczyniłem. Podróżowałem teraz rydwanem i stałem w nim, jak wielki tego świata, odgrywając w nim rolę, wielkiego urzędnika. Jakoś przykro mi było teraz patrzeć z góry na tych biedaków, co innego było chodzić pomiędzy nimi?

Menes, podczas wizyty nawet nie wspominał o darowanej mi niewolnicy, a ja także w jego obecności milczałem o tej dziewczynie.

Wspomniałem mu jedynie o spotkaniu z arcykapłanem, ale przemilczałem sprawę mojego następstwa.



W ostatnim czasie u Neferi byłem tylko kilka razy. Ona także mnie odwiedzała, ale nasze kontakty, jakby trochę ostygły. Pomiedzy nami zapanował, jakiś dziwny partnerski rozejm. Ja obawiałem się powtórki tego, co stało się wtedy, a ona pewnie tego, że utraci mnie na dobre. Co jakiś czas przypominała mi o wyjeździe do Enettentore, ale ten wciąż się odwlekał. Miejsce wyjazdu, także stało pod znakiem zapytania. Była również mowa o Abdżu, (Abydos) ale i to nie było pewne.

Podczas wizyt Neferi w moim domu, nakazałem moim niewolnikom zachowywać się tak, jakby nimi byli w rzeczywistości. Pomimo, że znałem ją od dawna, zacząłem się obawiać, (może bezpodstawnie) że może mnie szantażować, aby dopiąć swojego celu. Jednak dziewczyna, hamowała swoje zapędy i uspokoiła się nieco, co było mi na rękę. Kochałem ją, ale w granicach spełniania swojej przysięgi. Kapłanka nie wyglądała zbyt dobrze, a wszelkie moje próby przebadania jej, spęły na niczym. Bałem się o stan jej zdrowia. Widziałem, że coś przede mną ukrywa, ale nie chciałem naruszać jej tajemnicy.

— „Pewnie, jeśli się zdecyduje, to sama mi o tym powie?”

Nie zgłębiałem już tego problemu, ten odszedł, gdzieś w moją przeszłość, owiany tajemnicą, jak niektóre lata mojego dzieciństwa.

W końcu Neferi przyszła mi oznajmić o mającym nastąpić wyjeździe. Była bardzo wzruszona i zapłakana. Musiałem ją pocieszać, że ten czas pobytu w Abdżu szybko minie i wróci do Ineb — Hedż. Z polecenia arcykapłanki, właśnie Abdżu, stało się celem jej wyjazdu. Obecnie po śmierci Falak, Neferi została sama. Nie wiem, jak znosiła taką samotność, bo ta chyba nie była w jej naturze?

Arcykapłanka wyznaczyła datę wyjazdu na jutrzejszy dzień po naszym spotkaniu. Miała popłynąć w górę Nilu feluką, jaka przywiozła kilka młodych kapłanek — uabu, wyznaczonych do pomocy w świątyni Hathor w naszym mieście. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na pożegnanie. Mnie także ogarniał, jakiś smutek związany z tym rozstaniem, jednak nic nie mogliśmy poradzić. Każde

z nas, spełniało swoją służbę według nakazu władcy, lub przełożonych.

Tego wieczoru zjedliśmy wspólny posiłek i rozmawiali do późnej nocy. Potem odwiozłem Neferi swoim rydwanem do jej domu. Następnego dnia zabrałem kapłankę, oraz jej bagaże i pojechaliśmy do portu. Tam czekała już na nią feluka, będąca własnością świątyni Hathor z Abdżu. Feluka była pięknie zdobiona, a żagiel został wyszyty ornamentami. Na jego środku widniała postać samej wielkiej bogini Hathor.

W porcie stała wielka gromada gapiów podziwiająca tę niewielką, ale wspianą łódź. Ta odплыnęła majestatycznie na żaglu znikając po czasie za meandrem Nilu. Patrzyłem za odchodzącą kapłanką, miłością z lat mojej młodości. Poniekąd znowu zostałem sam, pełen obaw o jej zdrowie i życie. Mój smutek mogli rozproszyć jedynie moi przyjaciele.



Skarbiec i jego tajemnice

Po pożegnaniu Neferi pojechałem wprost na plac budowy. Tam oczekiwali już na mnie Kazem i Orypis. Rozpoczęte prace przy sanktuarium miały teraz wkroczyć w etap budowy podziemi o których wcześniej nie wspominałem. Nawet na planszy nie zostały pokazane, a Menes wiedział o nich tylko z naszych informacji. Zbyt wielu dworzan oglądało plany świątyni, a wiedząc o ich gadulstwie nie mogłem pozwolić na ujawnienie tajemnicy tej części budowy. Tajemnica musiała także dotyczyć tych, którzy będą tworzyć te podziemia i ich zabezpieczenia. Poprzednicy budujący takie miejsca mieli na tylko jeden sposób na milczenie ludzi z tym związanych. Trzymali w izolacji pracujących tam niewolników i rzemieślników, aby po zakończeniu robót pozbawić ich życia i pogrzać w pustynnych piaskach, lub nakarmić nimi krokodyle. Nie byłem zwolennikiem zabijania ludzi. Musiałem wymyślić coś nowego i skutecznego, co by zadowoliło radę starszych kapłanów, a także samego Menesa.

— „Tylko, co?”

Sam miałem z tym problem. Do swoich planów mogłem jedynie wtajemniczyć zaufanych sobie ludzi: Kazema, Orypisa, a także arcykapłana Nebtawi’ego. Ten ostatni faktycznie zadecyduje o losie tych, którzy poznają tajemnice świątyni. Pod względem prowadzenia budowy nasz arcykapłan był daleko za nami. Nawet Menes musiał być poza pierwszą grupą wtajemniczonych. Władca mógł tylko wiedzieć o ogólnych sprawach, lecz nie o szczegółach, a tu chodziło o zabezpieczenia. Poprosiłem swoich zastępców na rozmowę.

— Jesteście moimi powiernikami i to was wybrałem na swoich zastępców — rozpocząłem swoją mowę — tylko arcykapłan, wy i ja, będziemy wiedzieli o tym, co powstanie pod świątynnym sanktuarium. Nie chodzi mi o budowę skarbcu, a raczej o jego zabezpieczenie. O skarbcu i tak pewnie dowie się wielu, ale reszta, musi zostać tajemnicą. To jest od dawna zaplanowane, ale do tej pory nie wspominałem o tej sprawie. Jak wiecie każda świątynia skrywa swoje tajemnice, a i ta będzie je miała.

Święte teksty, dary wiernych, władców i inne skarby muszą zostać ukryte przed złodziejami i tymi, którzy będą chcieli zbezczeszczyć dobra wielkiego Ptaha i nas kapłanów. Domyślacie się pewnie, że mówię o świątynnym skarbcu.

Do tej pory wykonanie takich miejsc kończyło się przelaniem krwi tych, którzy budowali takie podziemia, albo zbyt dużo wiedzieli na ich temat. Nie chcę powtarzać tych poprzednich okrucieństw, a rozwiązać problem w inny sposób i to bezkrwawy. Myślę, że wy pomożecie mi w tej sprawie i wspólnie ustalimy, jak i co uczynić, aby było dobrze dla wszystkich. Mam już pewien plan, ale chciałbym, abyście go ocenili i ewentualnie podali inne.

Najtrudniejszą sprawą jest to, aby ludzie tam pracujący, dochowali tajemnicy do końca swoich dni. Zamyślam urządzić im, co jakiś czas małe przedstawienia, a te główne zostanie zakończone przysięgą złożoną na Ozyrysa, Anubisa i wielkiego Seta. Każdy z nas boi się gniewu bogów i ich klątwy. Wiara naszego narodu jest wielka i widzę w tym jedyną możliwość załatwienia sprawy w ten bezkrwawy sposób.

— Przypuszczam do czego zmierzasz, Taito — odezwał się Orypis — to ciekawe, co mówisz, ale czy będzie skuteczne?

— Co do samej budowy, jeśli skarbiec zabezpieczymy labiryntem, to ludzie i tak mogą się zorientować, gdzie który chodnik prowadzi. Labirynty są już nam znane, a czego ty Kazemie obawiałbyś się wchodząc do podziemi?

To pytanie mogło dać nam dobrą odpowiedź.

— Ja bałbym się niezbyt długiego i prostego chodnika — odparł Kazem.

— Dlaczego?

— Bo taki może kryć w sobie więcej pułapek, niż typowy labirynt.

— Być może masz rację Kazemie? Wszystko zależy od pułapek i przekonania wchodzącego o grożącym mu niebezpieczeństwie, ale to tylko jeden z elementów dochowania tajemnicy. Największą bronią jest ludzki strach wynikający często z niewiedzy. Myślę, że do tych szczególnych robót trzeba przygotować dwie, a najlepiej trzy grupy składające się z ludzi o wielu zawodach związanych z tymi robotami. Wielu niewolników było kiedyś rzemieślnikami i niektóre narzędzia nadal nie są im obce. Tych trzeba wybrać spośród wielu tu pracujących przy świątynnych murach. Największą liczbę w każdej grupie muszą jednak stanowić kamieniarze. Kucie chodników w białej skale wcale nie jest łatwe i nie jest też lekką pracą. Na początek nie będzie potrzeba ich wielu, gdyż podziemne chodniki nie są szeroką drogą do Ineb — Hedż, a te muszą być wąskie i będą utrudniały pracę nawet kilku tam pracującym. Częste zmiany ludzi w samej grupie, czyli krótsza praca i wypoczynek, mogą przyspieszyć tempo robót. Grupy będą się zmieniać, dla przykładu, co dziesięć dni. Każdej z nich przygotujemy jakąś niespodziankę, aby utrzymać ich w przekonaniu o klątwach i zemstach naszych bogów. Pewnie sami bogowie, nie będą nam mieli za złe, że przy okazji zabezpieczymy ich skarby przed złodziejami? Powiedzmy, że w jednej grupie będą dwie dziesiątki pracujących. Po tygodniu jednego z nich zabierzemy i wyślemy dla przykładu do pracy na drugi kraniec Kemetu. Nowo wchodząca grupa zobaczy na ziemi ludzki szkielet to, co mogą pomyśleć sobie ci pozostali przysięgający wcześniej, ludzie? Przekonamy ich, że ten biedak naruszył tajemnicę i bogowie ukarali go okrutną śmiercią. Szkieletów na pustyni jest pod dostatkiem, a kapłani Necherchor z Sermenesem przygotowują je odpowiednio, już do pokazania. Im bardziej będzie to strasznie wyglądało, tym lepiej. Nie wiem, który by z nich, nie uwierzył? Można tym sposobem, co jakiś czas po jednym, albo i nawet kilku

przenosić w inne miejsca tak, aby reszta nie zauważyła, co się z nimi stało. Temu może sprzyjać praca w nocy, bo lżej się wtedy pracuje niż w skwarze dnia i pod jej osłoną może dziać się wiele. Wtedy też można zabrać jednego, lub kilku, a strach padnie na pozostałych i będą milczeć. Na początku i tak, nie będzie wiele do ukrycia. Im szybciej to zrobimy, to z czasem będą bardziej przekonani o prawdzie karania ich przez bogów. Główną przysięgę złożą w domu życia, a tam przecież nie trudno spotkać tych, o jakich mówiłem. Nasi bracia dobrze grają swoje role przy obrządkach pogrzebowych, a i sami, nie muszą wiedzieć, czego będzie dotyczyć przysięga tamtych. Przysięga milczenia, pod karą przekleństwa będzie skuteczna, nawet bardzo skuteczna. Wiadomo, że skarby w podziemiach zostaną umieszczone po zakończeniu robót, więc ostatnie opracowane przez nas pułapki uruchomimy na samym końcu. Jeśli nawet znajdzie się, ktoś odważny, to nie opłaci się mu wejście do tych komór. Nawet do nich nie dojdzie i to zostawiam Orypisowi do przemyślenia znając jego pomysłowość. Pustego skarbcza nikt nie będzie ruszał, a jeśli będą dwie, a może trzy komory? Tu dałem chłopakom kolejny powód do myślenia. Muszę jeszcze dodać, że miejsce, gdzie będą prowadzone roboty musi być pilnie strzeżone, a i ci jego strażnicy, także złożą przysięgę i pewnie także niejeden z nich wyjedzie, gdzieś na krańce Kemetu nie wiedząc, dlaczego? Z Menesem i Akarem załatwię stałe straże pilnujące terenu w dzień i w nocy.

— Jak się wam podoba ten pomysł?

Obydwaj moi przyjaciele, byli za wprowadzeniem go do realizacji. Ten plan, jednak musiałem jeszcze uzgodnić z samym arcykapłanem, a jak się potem okazało i on był mi przychylny. Zanim ruszyła budowa podziemi, (według moich wskazówek) wyodrębniono z pracujących trzy grupy robotników, które miały zająć się budową skarbcza, a z początku wykuwaniem chodnika i komór. Kapłani z domu życia przygotowali dla nich odpowiednie widowisko i po jego zakończeniu, każdy składał przysięgę przed naszymi bogami.

Ludzie bali się stać przed Ozyrysem i Anubisem w których osobiście wcielili się Necherchor i Sermenes. Sala umarłych, gdzie składali przysięgę potęgowała tę niesamowitą scenerię. W praktyce nikt z nich w swoim życiu, nie widział tego miejsca i strach przed wejściem do podziemi dodatkowo zwiększał ich strach. Za naszych przodków salę wyposażono w kanały przenoszące głos i potęgujące jego siłę i te efekty zostały przez nas wykorzystane. Wcale nie było lepiej ze strażą wyznaczoną do pilnowania budowy skarbcza. W codzienności odważni wojownicy, tu widać było ich niepewność i bojaźliwość. Zwykły ludzki strach brał górę nad odwagą i rozsądkiem. Gdyby Ozyrys tupnął nogą, pewnie wszyscy by zwiali, gdzie pieprz rośnie. Czuli się trochę pewniej widząc mnie stojącego za ich plecami, ale też nie do końca. Takie przygotowania przyniosły większy efekt, niż się tego spodziewałem. Robotnicy i straż rozgadała jeszcze o tym, co widzieli w sali umarłych, więc strach przeniósł się na szerokie grono budujących świątynię.

Nikt nie odważył się naruszać tego miejsca i do końca budowy mieliśmy spokój z ciekawskimi. W późniejszym czasie, wywieźliśmy kilkunastu kamieniarzy i trzech ludzi ze straży Akara, do Krainy Jęczmienia. Tam pracowali przy uprawie pól, a tu, (dla reszty) ślad po nich zagał. W wykutych komorach, lub chodniku kolejne grupy ponoć znajdowały ich szkielety. Oczywiście tamci prowadzili normalne życie, tylko z daleka od Ineb — Hedż, ale to już było naszą tajemnicą. Samo wykucie przejść nie kończyło budowy tej tajemnej części świątyni. Teraz trzeba było zabudować kilka, lub kilkanaście pułapek na tych, co odważniejszych złodziejasków. Z trzech grup budowniczych pozostawiliśmy tylko jedną, a resztę ludzi rozwieszono po wszystkich stronach Kemetu, przypominając im o złożonej wcześniej przysiędze. Ta nadal wywoływała w nich trwogę.

Pułapkami zajmował się wyznaczony już wcześniej, Orypis. Ostatnia pułapka była moim pomysłem i była dopełnieniem całości przeszkód, jakie mógł ktoś niepowołany napotkać na drodze do komór skarbcza. Sprawa polegała na zalaniu komór, a także i chodnika wodą, kiedy zaszłaby taka konieczność. Musiałem też opracować plan szybkiego ich osuszenia, ale z tym akurat nie było problemem ze względu na spadek terenu, (położonego za świątynią) w kierunku Nilu. Do zalania podziemi mogłem wykorzystać kanał nawadniający, przechodzący w jej pobliżu. W skale wykuto niewielki ganek, aż do ściany chodnika głównego, znajdującego się tuż przed komorami i zalano go wodą ze wspomnianego kanału. Jako przegrodę wodną wstawiono bardzo cienką kamienną płytę, która wyglądem nie różniła się od jego kamiennych ścian. Przed płytą ustawiliśmy złoty posąg, który miał być zachętą dla złodziei, aby ten, został ich łupem. Zabranie posążka z piedestału powodowało uderzenie w płytę dużego kamiennego młota w formie wahadła, a zawieszzonego tuż pod sufitem. System dźwigni wykonanych z hebanu, zapewniał niezawodne działanie mechanizmu. Młot kruszył płytę powodując napływ wody do podziemi. Z tego zabezpieczenia każdy mógł wyjść cało pod warunkiem, że zrezygnował z dalszego wejścia do komór skarbcza. Wykuto również kanał osuszający w kierunku Nilu. Ten był niezbyt długi i sięgał, aż do pierwszego znaczącego nachylenia terenu. Otwór zasypaliśmy piaskiem tak, aby siła wypływającej wody usunęła piasek ze swojej drogi. Przy wlocie do korytarza, umieściliśmy rodzaj pidła działającego na zasadzie przeciwwagi. Pidło zamaskowano, a ciężar podnoszący przegrodę był niezbyt wielkim posągiem, Horusa.

Działanie mechanizmów sprawdziliśmy wcześniej na sucho, jeszcze bez wody. Po pomyślnym zakończeniu prób zalano kanał dopływowy i uzbroiliśmy tylko tę jedną pułapkę, gdyż skarbiec był jeszcze pusty. Jedyne wejście do podziemi zabezpieczono kamieniem z tekstem klątwy o nienaruszalności tego miejsca. Co do pozostałych pułapek w korytarzu, to Orypis wykazał się wielką pomysłowością. Nakazałem mu, aby nie pozbawiały życia kradnącego, a jedynie

unieszkodliwiały powodując, co najwyżej kalectwo, a te, miało być największą dla niego karą. Czego tam nie było? Włócznie wbijające się w nogi. Młoty mogące połamać kości, gwoździe kaleczące stopy, po nadeptaniu na wykonaną z nich kratę, a także szkielety, wysuwające się ze ściany, (te ustawiono na początku chodnika). Było też i cuchnące i lekko trujące powietrze wychodzące z otworów w ścianie, kiedy zabierano posążki wykonane ze szlachetnego kamienia, czy srebra. Orypis przeszedł samego siebie w tej roli. Osobiście pilnował wykonania pułapek, a tu dodam, że każdą z pułapek wykonywali inni ludzie, a nawet ich części robili kowale i kamieniarze pochodzący spoza Memfis. Te przywoził zaprzysiężony nam Samech i kilku jego ludzi. Nikt oprócz nas nie wiedział do czego mają służyć.

Postanowiliśmy też, aby któregoś dnia wykonać próbę wodną mechanizmu zalania skarbcza. Na chętnego odbezpieczenia pułapki zgłosił się Kazem, tu dodam, że był dobrym pływakiem. Tego dnia, wszyscy budujący świątynię, otrzymali dzień wolny od pracy, a taki w swej łaskawości ogłosił sam Menes, pod pozorem kolejnej rocznicy zjednoczenia Kemetu. Władca wiedział o próbie, ale przekonałem go, aby ze względu na dochowanie tajemnicy nie uczestniczył w niej bezpośrednio. Później, pokazałem mu tylko niektóre z pułapek Orypisa.

Kiedy byliśmy już przygotowani, Kazem rozebrawszy się do biodrowej przepaski wszedł do podziemi. Po dłuższej chwili, usłyszeliśmy szum napływającej wody. Na fali płynął nasz przyjaciel, machając coś rękami i krzycząc głośno. Wyszedł schodkami u wejścia, a te po chwili zostały całkowicie zalane.

— Coś tak wymachiwał rękoma? — zapytałem przyjaciela.

— Chciałem wam powiedzieć, że pułapka zadziałała bez problemu, zresztą to widać.

Poziom wody zrównał się z poziomem wody w kanale. Poprosiłem jeszcze Kazema, aby sprawdził zalanie kolejnych wnęk. Ten zanurkował i po długiej chwili pokazał się znowu, prychając wodą. Potem wykrztusił z siebie, że wszystko jest w porządku i jest tam, czym oddychać.

Teraz nadszedł czas, na osuszenie podziemi. Wraz z Kazemem poszliśmy najpierw do wlotu, aby wstawić nową przegrodę na swoje miejsce, by ta zatrzymała dopływ wody. Przy pomocy zewnętrznie działających dźwigni, podnieśliśmy młot i opuścili nowy kamień blokujący. Tu dodam, że te urządzenia nie były widoczne dla niewtajemniczonych, bo umieściliśmy je w postumencie jednego z posągów. Tym posągiem była bogini Hathor. Obawiałem się trochę, że kawałki rozbitego kamienia mogą blokować wprowadzenie kolejnego. Obawy były bezpodstawne, bo woda uderzywszy w nie z całą siłą, wypłukała je i te wpadły do korytarza. Myśląc trochę do przodu i dla takiej ewentualności znalazłem rozwiązanie. W stropie chodnika, co jakiś odcinek wykuto wnęki, których strop znajdował się o pół włóczni ponad poziomem kanału. Woda w chodniku tworzyła pod tymi stropami poduszki z powietrza. Płynąc od

wodą, można było z nich korzystać i bez problemu pokonywało się całą długość chodnika. Takich wnęk nie przewidziałem w komorach skarbcza, gdyż one same, a raczej ich spągi, (posadzki) znajdowały się na wysokości stropowych wnęk korytarza i nie groziło im zalanie. Do nich z korytarza prowadziły kamienne schodki. Te były tylko jedne, gdyż u góry był niewielki korytarzyk, z którego prowadziły już wejścia, do każdej z komór. Ten odcinek pomiędzy ostatnią wnęką, a korytarzykiem był dłuższy i nie pozwalał na przepłynięcie nawet najlepszemu pływakowi.

Po sprawdzeniu wnęk stropowych przez Kazema udaliśmy się do wylotu kanału odwadniającego. Orypis podniósł przegrodę. Szum wody w kanale osuszającym i po chwili masa piasku i wody wystrzeliła spod ziemi, rozlewając się szeroko po terenie. I to urządzenie, zadziało bez zarzutu. Woda wysychała błyskawicznie na suchej i spalonej od słońca ziemi. W trójkę, ponownie zasypaliśmy wylot kanału osuszającego. Palmowymi gałęziami usunęliśmy, co wyraźniejsze ślady wypływu wody.

Wróciliśmy do wejścia, woda zesłała całkowicie i tylko jej resztki ociekały jeszcze ze ścian. Weszliśmy do środka, trzymając w rękach zapalone, a przygotowane wcześniej pochodnie. Mnie najbardziej ciekawiły komory skarbcza. Trzeba było sprawdzić, jak woda daleko sięgnęła po zalaniu podziemi? Jak przypuszczałem zatrzymała się na ostatnim schodku korytarzyka prowadzącego do komór.

— Możemy świętować? — powiedziałem głośno do chłopaków.

Echo moich słów rozniosło się po podziemiach. Teraz zrobiło się nam jakoś raźniej i weselej. Wychodząc, żartowaliśmy jeszcze z naszych pułapek, a raczej z tych momentów, kiedy one powstawały, a teraz mieliśmy wiele powodów do radości, że zadziałały, jak to sobie zaplanowaliśmy.

Nie upłynęło pięć wschodów Ra i Menes sam zaszczycił swoją obecnością całą budowę, nie omijając podziemi. Tu jednak, jego świta wraz z przybocznym straży musiała pozostać na górze z wiadomych względów. Menes nie krył zadowolenia, co okazał później w swojej łaskawości wręczając nam za pośrednictwem skarbnika ładnie wypchane sakiewki, pełne złotego kruszcu. Orypis, też został właścicielem nowego wspaniałego rydwanu. W końcu należało mu się, za to wszystko. Będąc później arcykapłanem w tej świątyni, tylko od czasu, do czasu odwiedzałem to miejsce wraz z nim i jednym z rady starszych hemu — neczer. Co prawda świątynia rozkwitała coraz bardziej, stając się znaną na cały Kemet, ale ten skarbiec nadal był pusty. Był tylko fałszywką o której mówiono, że kryje wielkie skarby, te jednak ukryłem w innym miejscu, gdzie nikt by się nie spodziewał, a i ich ilość rosła z każdym rokiem. Niestety sam nie mogłem decydować o ich wykorzystaniu, takie było świątynne prawo. Wraz z murami świątyni, rosła także i nasza sława budowniczych i nie tylko.



szara codzienność

Zanim ukończyliśmy budowę skarbcza, moje chłopaki ukończyły budowę lecznicy. Mogłem znowu wrócić do swojej medycznej praktyki. Bardzo mnie to cieszyło, bo już wychodziłem z wprawy w krojenia ludzkiego ciała w czym się specjalizowałem. Musiałem teraz pogodzić obowiązki budowniczego z obowiązkami medyka. Postanowiłem przyjmować chorych wieczorami po zakończeniu prac na budowie. Kolejka przed moją lecznicą z dnia na dzień była coraz dłuższa. Kroilem, leczyłem i stawałem się i tu w Memfis, coraz bardziej uznawanym i szanowanym medykiem. Musiałem korzystać z pomocy moich dziewczyn, (niewolnic) bo sam nie dawałem już sobie rady. Te wykonywały za mnie, co pomniejsze roboty: zakładały opatrunki, przygotowywały leki, znieczulały chorych przed zabiegiem i wykonywały wiele innych drobniejszych robót.

Menesa do tej pory nie interesowała moja druga profesja, bo korzystał z usług nadwornego medyka, a jednego z naszych kapłanów. Może i dobrze, bo i tak moje kontakty z nim były prawie codzienne i wiele swojego czasu poświęcałem budowie świątyni. Cały okres, od wylewu do wylewu, to była budowa świątyni. Ned czasami biadoliła, że ta budowa mnie wykończy, ale nie brakowało mi do tej pory sił. Jak i w Enettentore zacząłem odwiedzać dom życia prowadzony przez kapłanki Hathor, a to stało się z przyczyną Neferi. Ta jeszcze przed wyjazdem, opowiedziała arcykapłance o porodach z użyciem noża, co w Ineb — Hedż nie było praktykowane. Wiele kobiet umierało nie mogąc urodzić dziecka, kiedy to ustawiało się nóżkami do wyjścia z łona maki. Były i inne przyczyny, znane mi już poprzednich praktyk. Niektóre były do przewyciężenia, kiedy uświadamiałem kobiety o częstych kąpielach, a szczególnie w czasie brzemienności.

Od czasu, do czasu, kapłanki przychodziły po mnie nawet w nocy, a czasem i na plac budowy, prosząc o pomoc w trudniejszych przypadkach. Nie wszystkie kończyły się pomyślnie. Czasem zbyt późne wezwanie kończyło się tragicznie, bo nie mogłem już pomóc. Wtedy żal ścisnął moje serce, kiedy widziałem te młode kobiety, które odeszły do krainy Ozyrysa. Dzieci z reguły podążały w ślady matek i tylko nieliczne uchodziły z życiem. Kiedy byłem wzywany, wsiałem do rydwanu i pędziłem do rodzącej. Zawsze miałem przy sobie skrzynkę medyka ze swoimi narzędziami i podstawowymi lekami. Jeśli byłem w domu zabierałem ze sobą jedną z dziewczyn do pomocy: Ned, albo Nitakaris, a także i sprytna Akme z czasem poszła w ślady swoich przyjaciółek. Niewolnice coraz bardziej wprawiały się w tej sztuce i stawały się moimi nierozłącznymi pomocnicami, kiedy tylko zachodziła potrzeba udzielenia komuś pomocy.

Moja lecznica, chociaż stojąca obecnie, jakby poza granicami starego miasta

i tak stała się jakimś centrum, gdzie gromadziło się sporo ludzi, nawet tych zdrowych. Może nie sama lecznica, a placyk przed nią położony. Można było już zauważyć, że centrum Ineb — Hadż, jakby zmieniło swoje położenie, przenosząc się bliżej budowanej świątyni.

Jeśli chodzi o chorych, to dolegliwości, jakie ich trapiły były podobne do tych z którymi spotykałem się w swoim rodzinnym mieście. Wrzody, choroby wewnętrzności, urazy, to był podstawowy problem, jaki ich gnębił, a te pierwsze bywały niekończącą się plagą. Brud, muchy, robaki były podstawową, tego przyczyną. Nie pomagało mówienie o tym, aby ciało myć, jak najczęściej. Dopiero, przypalanie ciała, zostawiające blizny na „chet” takiego nieszczęśnika, powodowało zapamiętywanie moich rad. Było też, jak poprzednio, bogaci płacili, a za te ich datki kupowałem leki dla biednych. Po czasie, także i Kazem zaczął mi pomagać i uczyć się w sztuce medycznej. Był pojętnym uczniem i już po kolejnym wylewie Nilu zaczął kroić ludzkie ciała. Jego wybranki, (były niewolnice), były teraz, jeszcze bardziej dumne ze swojego małżonka, co przekładało się ich większą miłość, a ta owocowała kolejnymi dzieciakami pod strzechą domu Kazema. Pomagałem im w pierwszych porodach. Potem Kazem, już sam zajmował się tymi sprawami. Tu jeszcze dopowiem, że tradycyjnie byłem mile widzianym gościem w ich domu.

Nie zaniedbywałem też leczenia matki Akara. Ta wiekowa już kobieta powoli gasła na moich oczach. Coraz więcej chorób męczyło jej „chet” i nie tylko Akar bał się o nią, ale było nieuniknione, że i tak wkrótce odejdzie na zachód. Matce pomagałem lekami, a jemu zaleciłem poślubienie kobiety, aby nie został sam, kiedy matka odejdzie na zawsze. Nie słuchał tego, co mu mówiłem i nadal wiódł życie kawalera. Dopiero śmierć matki, przyczyniła się do zmiany jego poglądów. Przeceniał swoje siły przebywania w samotności. Co prawda były dwie niewolnice matki, ale te w jego oczach nie nadawały się na żony. Obawiał się Menesa, że ten pozbawi go stanowiska dowódcy straży, kiedy dowie się o jego układach z niewolnicami. Bał się też rozmowy z władcą, aby ten uwolnił kobiety, by przynajmniej jedna z nich została jego żoną. Według mnie, obydwie nadawały się do tej roli i to pod każdym względem, ale decyzja nie należała do mnie. Być może Akar bał się także drwin ze strony swoich gwardzistów, że będzie obcował z niewolnicami. Oferowałem mu pomoc w tej sprawie, w pałacu, ale nie przyjął, więc nie nalegałem. W końcu był dorosłym człowiekiem i nie byle kim na dworze władcy.

Kiedy jego matka odeszła z tego świata, sam wybrał sobie kobietę na żonę i ta stała się oczkiem w jego głowie. Świata poza nią nie widział i spełniał wszystkie jej zachcianki. Ta, kaprysiła niczym krnąbrne dziecko, nie dając mężowi spokoju.

Przez jej zazdrość Akar musiał dokonać niespodziewanego wyboru, który

ani jemu, ani mnie się nie podobał. W tajemnicy przyznał się, że popełnił błąd przy wyborze swojej życiowej partnerki, ale było już za późno na biadolenie. Jego wybranka nakazała mu sprzedać obydwie niewolnice, (pewnie z zazdrości, jak już wspomniałem?) obawiając się kobiecej konkurencji. Ona sama kupiła dwie inne, dużo starsze wiekiem, co niezbyt podobało się Akarowi, ale milczał. Może milczał dlatego, że ojciec Muszir, (Dająca Rady) jak zwała się żona Akara, była córką jednego z najbogatszych dworzaków faraona. Co do jej imienia, to te, pasowało do niej jak ulał. Akar, jako dowódca królewskiej gwardii był przyzwyczajony do wydawania poleceń i rozkazów. W domu jego funkcja spadała do podrzędnego gwardzisty, który musiał słuchać i sam wykonywać polecenia swojej żony. Był zbyt uległy, a może i źle pojmował rolę kobiety w domu? Niewiasty w moich czasach praktycznie nie miały nic do gadania. W naszej społeczności rola kobiety kończyła się na zostaniu dobrą żoną i matką, czyli stopień wyżej od niewolnicy. Taki układ i we mnie budził respekt, ale taki był mój świat.

Jako pierwszy dowiedziałem się o sprzedaży dziewczyn, więc nie zwlekając, namówiłem Kazema, aby je odkupił i przyjął pod swój dach do pomocy przy dzieciach. Znał obie dziewczyny, a te na dodatek były kiedyś przyjaciółkami jego żon, więc było wiele radości, że tak szczęśliwie zakończyła się sprawa dla obydwu.

Nie minął rok, jak obydwie wyszły za mąż za niewolników z jakimi na swój koszt, wyswatał je Kazem. Były szczęśliwe, że mogły sobie wybrać swoich mężów. Teraz podwórko przy jego domu wprost roiło się od dzieci, a szczęście sprzyjało tam, wszystkim.

Czasem tylko Akar wspominał stare dobre czasy i usługujące jemu i matce, młode i piękne niewolnice. Żał mi go było, ale cóż ...?



Tragiczna historia Nudhar

Woda w Nilu upływała, jak każdego dnia przynosząc czasem radość, a czasem smutek. Nawet się nie spostrzegłem, kiedy Neferi wróciła do stolicy. Znowu zaskoczyła mnie na placu budowy i nasze powitanie było bardzo czułe. Dni rozłąki zrobiły swoje. Neferi, wyszczupiała i jej twarz zmieniła się na poważniejszą. Robiła wrażenie kobiety po porodzie. Kiedyś chętna do pokazywania swoich piersi, teraz skrywała je przed moim wzrokiem. Nie wnikałem w jej postępowanie i nie poruszałem tego tematu. Postanowiłem jednak, aby doprowadzić ją do lepszej kondycji, często zapraszając na domowe posiłki do naszego domu. Przychodziła chętnie i opowiadała mi czasem o tym, jak spędzała czas w świątyni, przekazując wiedzę dziewczynom, uabu.

Kiedyś opowiedziała nam historię dziewczyny o imieniu Nudhar (Złoto).

— Jest to smutna i straszna historia, Taito. Historia, jakich wiele w naszej krainie.

Tak rozpoczęła soją opowieść, Neferi.

— Nudhar, była moją uczennicą i pobierała u mnie nauki, odkąd tylko zjawiłam się w tamtejszej świątyni. Miała zostać jedną z wielu świętych dziewic w służbie Hathor. Kiedy przyjęto ją w poczet nowo przyjętych, było za nią niespełna osiem wylewów naszej świętej rzeki. Była ładną i grzeczną dziewczynką o długich ślicznych włosach i zawsze uśmiechniętej buzi. Ja poznałam ją po moim przyjeździe i kiedy była już o pięć wylewów starsza. Jej rodzice będący rolnikami postanowili, że dziecko będzie się uczyć u Hathor, by zostać uabu, a później i hemu — neczer. Było to prawie nierealne, aby biedni, jak klasztorne myszy rodzice, nie mieli czym opłacać jej nauki. Tu dodam, że Nudhar miała jeszcze pięć siostr i czterech braci. Jej rodzice utrzymywali także dziadków i samotną, schorowaną siostrę jej matki. Bieda wylewała się z ich chatki drzwiami i oknami. Byłam raz u nich i widziałam, jak żyją.

Droga do uabu była daleka, a na zapłatę nie było ich stać. Pozornym szczęściem obdarzył dziewczynkę, brat jej ojca, któremu poszcęściło się w życiu i jakimś przypadkiem został bankierem. Postanowił łożyć na Nudhar i tak też uczynił. Nie było to jednak za darmo. Dziewczynka systematycznie odwiedzała dom wujka, co kilka dni i nikt nawet nie wiedział, co kryje się za kaprysem ofiarodawcy. Ten, był człowiekiem bardzo bogatym i samotnym zarazem. Wuj, ponoć nie lubił kobiet, a i te, nie lubiły jego. Oficjalnie mówił, że dziewczynka przychodziła do niego, aby z wzajemności za świadczone jej dobra, gotować mu obiady i sprzątać dom. Dostawała też za te przysługi, dodatkowe wynagrodzenie. Pozornie, wszystko było w jak najlepszym porządku. Wszystko do czasu póki, jak się mówi, oliwa nie wylała się z dzbanu. To, co się działo w domu wuja

dziewczynki, dowiedziałyśmy się dopiero na krótko przed moim powrotem do Ineb — Hedż.

— Jak słyszę, to niedawne wydarzenie? — odpowiedziałem swoją uwagę.

— Tak, dopiero co, a ja mam ją wciąż przed oczami — odparła Neferi.

To się stało na dwie dziesiątki wschodów Ra przed moim wyjazdem. Był wieczór i byłam już po naukach z dziewczynami i Nudhar, jak zwykle poszła do wujka sprzątać dom i przygotować mu posiłki. Przygotowywałyśmy nasz wspólny posiłek, kiedy do sali jadalnej wbiegła Nudhar. W prawej ręce trzymała duży zakrwawiony nóż, a w lewej, o zgrozo! Ludzką głowę. Była to głowa mężczyzny z młodzieńczym loczkiem po jednej stronie. Nigdy nie zapomnę tego straszego widoku. Chociaż dla ciebie Taito, takie widoki nie są nowością, ale ja, nie będę tego opisywać w szczegółach. Dziewczyny zaczęły krzyczeć i wszystkie wybiegły z sali. Ja, jej opiekunka, musiałam zostać. Nogi ugięły się podemną i zaczęłam się cała trząść. Nudhar stanawszy na środku izby, nadal trzymała za loczek tę zakrwawioną głowę i krzyczała: zabiłam tę bestię! Zabiłam tę bestię! Była w jakimś szoku i strach mnie ogarniał, aby się do niej zbliżyć, no i ta zakrwawiona głowa. Wyobrażasz to sobie?

Milczeniem potwierdziłem jej pytanie.

— Z daleka mówiłam do niej, aby się uspokoiła i podeszła do mnie. To jednak nie przyniosło żadnego skutku. Wręcz przeciwnie, moje słowa jeszcze bardziej musiały ją drażnić, bo krzyczała coraz głośniej. Postanowiłam nie zwracać na nią uwagi. Izba była pusta i byłam z nią i tą obciętą głową, sam na sam. Usiadłam na zydelku i odwróciłam się do niej plecami. To zadziało. Po chwili umilkła i usłyszałam, jakiś głuchy odgłos uderzenia, czegoś o posadzkę. To Nudhar rzuciła głowę i podeszła do mnie. Odwróciłam się pełna obawy, aby i mnie nie zaatakowała. Ta położyła nóż na stole i usiadła na drugim zydelku blisko tak, że mogła się do mnie przytulić, tak też zrobiła. Poczułam lepką krew na swojej szyi, gdyż ta, objęła mnie rękami. Jej ciałem wstrząsały drgawki i głośny płacz przeszedł w szloch. Moja narzuta po chwili była mokra od jej łez. Płakała, płakała, że nie mogłam jej uspokoić. Głaskałam ją po głowie a ta, coraz bardziej wtulała się w moje ramiona. Wiedziałam, że dopiero mogę ją o coś pytać, kiedy się uspokoi. To trwało jeszcze bardzo długo. Niektóre, co odważniejsze dziewczyny wróciły i zerknęły spoza zasłony w drzwiach. Kiedy jednak zobaczyły ponownie głowę, niektóre zaczęły wymiotować, a niektóre upadać na ziemię. Ich „ka” chwilowo opuszczały ich ciała. Słyszałam te ich odgłosy, to było straszne Taito.

W końcu Nudhar uspokoiła się i zabrała ręce z mojej szyi. Ja wciąż odczuwałam krew tego człowieka na sobie. Pewnie i ja bym poszła w ślady tych dziewczyn, gdybym była na ich miejscu. Praktyka w twojej lecznicy zrobiła swoje i jakoś, chociaż z wielkim trudem znosiłam to wszystko. Nadal głaskałam główkę dziewczynki i popatrzyłam w jej oczy. To zabolowało mnie bardziej, niż jakkolwiek

zadana mi wcześniej rana. Była tak smutna, że nie potrafię ci tego opisać. Zapytałam ją w końcu, co się stało? Ta z początku, nie potrafiła wykrztusić z siebie żadnego słowa, potem jękając się i z długimi przerwami, zaczęła opowiadać swoją nieciekawą historię, od czasu, kiedy znalazła się w świątyni Hathor.

Kiedy wuj postanowił uczyć ją na swój koszt, była bardzo szczęśliwa i widziała już swoją wspaniałą przyszłość. Zaproponował jej także, sprzątnięcie i gotowanie w swoim domu. Dziewczynka nie widziała w tym nic nadzwyczajnego, jeśli chodzi o pracę w domu swojego krewnego. Wiele dziewcząt w jej wieku, podobnie usługiwało różnym bogaczom, zarabiając na siebie, lub rodzinę. Na początku, nic nadzwyczajnego się nie działo i wuj był zadowolony z jej pracy. Jednak, któregoś dnia nakazał jej, aby się rozebrała. Nie wiedziała, dlaczego? Wuj ponoć włożył rękę pod jej szendit i jak mi powiedziała, patrzył na nią, jak kot patrzy na mysz. Później powtarzało się to, za każdym pobytem Nudhar w domu wuja. Gdy dziewczynka zaczęła się bronić, przed takim traktowaniem, ten powiedział jej, że przestanie łożyć na jej naukę. Bała się mówić o tym rodzicom, gdyż to, co uzyskiwała za swoją dodatkową pracę, przekazywała rodzinie. Utracenie wszystkiego, mogło ją kosztować wyrzuceniem z domu, a i sprawa nauki u Hathor, byłaby wtedy nierealna. Gdybym ja wiedziała o tej sprawie, nie pozwoliłabym na takie jej traktowanie i zabrała ją do siebie, pod swoją opiekę.

Tym czasem, wuj posunął się jeszcze dalej. Zażądał od niej spełniania tego, czego pragnie mężczyzna od kobiety. Ona była jeszcze wtedy dzieckiem i nie rozumiała tego, co on robi. Ból, upokorzenie i wstyd stał się dla niej normalnością. Dzień za dniem, trymestr za trymestrem i rok za rokiem, stawał się dla niej koszmarem. Wuj, żądał coraz więcej, zaczął ją nawet bić, kiedy był niezadowolony z miłości, jaką miała mu dawać. Bił po pośladkach tak, aby nikt tego nie zauważył. Dziewczyna milczała i gryzła to w sobie. Było coraz gorzej. W mojej grupce zawsze cicha, uczynna i zamknięta w sobie, spełniała sumienie, każde moje polecenie. Jako pierwszą, typowałam ją do rangi uabu w służbie Hathor. Stało się inaczej.

Dziewczyna przez pół nocy, opowiadała mi o swoich problemach z wujem. Szczegół po szczególe, poznawałam jej życie, a te było dla niej, jednym i wielkim koszmarem. W końcu, nie wytrzymała. Kiedy po jednym z posiłków, zakończonych kolejnym upokorzeniem i biciem dziewczyny, wuj zasnął, ta wzięła nóż i wbijała go w pierś i brzuch mężczyzny, aż ten przestał się ruszać. Każdy cios mu zadawany był odwetem, za każdy dzień jej poniżenia. Z ciała tego człowieka, pozostała tylko krwawa miazga. Głowę zostawiła na koniec. Obcięła ją i niczym trofeum, zaniosiła do klasztoru. Resztę już znasz.

Na tym, jednak nie zakończyła się jej historia. Rankiem do klasztoru przyszła straż z setnikiem i zabrali ją przed oblicze wezyra. Wyprowadzono ją, pomimo mojego sprzeciwu i zapewnień. Wezyr, do czasu osądzenia, nakazał

uwięzić ją w starym podziemnym zbiorniku na wodę, jak to zwykle czyni się z przestępcami. Strażnicy nie sprawdzili dziewczyny, zanim została wtrącona do tego lochu. Miała pod narzutą na piersiach, jeszcze jeden nóż. Kiedy rano przyniesiono jej posiłek, znaleziono ją martwą w kałuży krwi. Wezyr, nakazał porzucić jej ciało na skraju pustyni. Nie mogłam do tego dopuścić. To, co usłyszałam od tej biedaczki, powtórzyłam arcykapłance. Ta wzruszona historią dziewczyny, poleciała do wezyra i wyprosiła na nim wydanie jej ciała, na rzecz klasztoru. Wezyr najpierw nie chciał przystać na prośby kapłanki, ale kilka sztuk złota zmieniło jego zdanie. „Pewnie Menes miałby powód na zmianę tego człowieka na tym stanowisku?” — tu Neferi uśmiechnęła się, jakby z wymuszenia. — Kiedy odpływałam do Ineb — Hedż, znajomi arcykapłanki, kapłani Seta, przygotowywali ciało dziewczyny do pochówku. Tyle wiem, że sarkofag miano umieścić gdzieś w krypcie, pod świątynią bogini, której miała zostać służką. Nie obchodziło mnie to, co stało się z ciałem jej wuja. To jego, powinno by się wywieść na pusztynię i porzucić hienom na pożarcie. Pewnie został pochowany z wielką czcią, należną dobrze sytuowanym mieszkańcom Kemetu? Bo któż, przejmowałby się losem tej biednej wiejskiej dziewczyny. Ona miała zaledwie trzynaście wylewów Nilu za sobą.

Tymi słowami, Neferi zakończyła tę smutną opowieść. Wtulona w moje ramiona przysłuchiwała z cicha, pewnie przypominając sobie te niedawne wydarzenia? Jej opowieści przysłuchiwali się także, moi niewolnicy. Dziewczyny, nie wytrzymały i grube, jak grochy łyzy, zaczęły spływać po ich twarzach.

— Tak, smutna to historia, Neferi, nie pierwsza i nie ostatnia — odpowiedziałem jeszcze.

Głaskałem jej głowę tuląc do siebie. W moje ślady poszedł Dar, Neheb i Amenet, każdy przytulając swoją wybrankę.

— „Kobiety, bardziej niż my, przeżywają takie wydarzenia” — pomyślałem.



„Rodzinne” tajemnice

Ten wieczór, a raczej smutna opowieść Neferi na zawsze utkwiła w mojej pamięci, ale także przyczyniła się w pewnym stopniu, do zmian w naszych układach rodzinnych, o ile tak mogłem określić swój kontakt z niewolnikami.

Kiedy Dar, odwiózł Neferi do jej domu, postanowiłem porozmawiać z nimi, na temat układów w naszej gromadce. Dar i Ned wiedzieli już to oficjalnie, ale reszta tylko z ich niepełnego przekazu. Postanowiłem osobiście przekazać wszystkim, jakie relacje będą nas obowiązywać, a raczej łączyć. Poprosiłem ich do swojej izby. Rozsiedli się na przyniesionych ze sobą zydelkach: Ned i Dar, Nitakaris, Necheb, oraz Akme z Amenetem. Nie wiedziałem, jak zacząć, więc zacząłem zwyczajnie, po swojemu.

— Jak każdy z was wie, nie przypadkiem znaleźliście się w moich progach. Nie mam tu, w Ineb — Hedż żadnej rodziny, ani przyjaciół, oprócz Neferi. Ta jest bliską mi osobą, którą znam jeszcze z lat mojej młodości. Ona kiedyś ocaliła moje życie, a tego, nie da się zapomnieć. Była przy mnie w chwilach dobrych i złych, pomagała mi, kiedy tylko prosiłem o pomoc. Może któreś z was pomyśleć, że taka bliskość mężczyzny i kobiety prowadzi do obcowania ze sobą, ale nic bardziej mylnego. Ślubowałem celibat i ta przysięga jest dla mnie świętością, jakkolwiek będziecie o mnie myśleć.

Was kupiłem, lecz brzydzę się kupowaniem ludzi, ale nie wami, bo nie jesteście bydlęciem. Takie są jednak czasy. Szczególnie nie cierpię tych, co ich sprzedają. Także samo kupowanie, jest mi wstrętne i gdyby zależało to ode mnie, wszystkich niewolników bym uwolnił. Bogowie postanowili złączyć nasz los i dlatego pewnie jesteście teraz, razem. Wiecie jednak, że o ile to możliwe, to pomagam komu tylko mogę, nie oczekując jego wzajemności. Będę dążył do tego, aby każde z was było kiedyś wolnym człowiekiem. To, nie przyjdzie samo i potrzeba będzie wiele mojego, a także i waszego wysiłku, aby tak się stało. Do tej pory nie mówiłem wam na jakich zasadach prowadzona jest lecznica, jaką i wy, w wielkim trudzie wybudowaliście. Nie jest ona dla mnie, a dla tych biednych. Wy już nie znacie głodu i macie dach nad głową. Ja nie uznaję was, jako swoich niewolników, a jesteście dla mnie przyjaciółmi i rodziną. Chciałbym być i waszym przyjacielem, jeśli na to się zgodzicie?

— Panie, co ty do nas mówisz? Przecież za takie słowa możesz stracić, głowę — odezwała się, Nitakaris.

— Wiem o tym, wspomniała dziewczyno i nie tylko przez, to. Dlatego też, jeśli mnie zaakceptujecie, jako swojego przyjaciela, musicie postępować tak, jak wam za chwilę, to powiem. Ned i Dar już o tym wiedzą, ale teraz i was będzie to dotyczyć.

— Panie chcemy być twoją rodziną i przyjaciółmi, tak wiele ci zawdzięczamy — odezwał się, Amenet.

— Czy wszyscy jesteście zgodni?

— Tak, panie! — usłyszałem kolejne odpowiedzi moich niewolników.

— Skoro tak uważacie, to bardzo wam dziękuję i odtąd nie będę dla was panem, a przyjacielem. Będziemy sobie mówić po imieniu. Tu, właśnie ta prośba o której wspominałem już kiedyś na początku naszego spotkania. Kiedy zjawi się ktoś obcy, to w jego oczach nadal musicie zostać niewolnikami i zachowywać się tak, jak zachowują się niewolnicy. To dla waszego i mojego dobra. Nie muszę wam tłumaczyć, dlaczego? Jeśli nie wiecie z kim macie do czynienia, to w jego obecności, nadal jesteście moimi niewolnikami. Nawet Neferi nie powinna jeszcze o tym wiedzieć, sam jej o tym powiem, kiedy nadejdzie czas. Może się tylko domyśla, ale nie zna całej prawdy. Czyli tylko dla siebie jesteście najbliższą rodziną. Kazem z Orypsem myślą, że jestem bardzo łaskawym dla was panem. To, co wam teraz powiedziałem, niechaj będzie naszą tajemnicą, tylko naszą.

— Tak, panie, skoro taka twoja wola, niechaj tak się stanie — odezwała się milcząca do tej pory, Akme.

— Muszę cię skarcić, Akme. Wiesz, za co? — zapytałem dziewczynę, uśmiechając się do niej.

— Nie wiem, panie?

— Za te, „Panie”!

— Nie gniewaj się p..., Taito — poprawiła się teraz, Akme.

— Jesteśmy sami, więc pora zacząć wprowadzać te nasze nowe układy. Wiecie, co by mnie czekało, gdyby ktoś się o tym dowiedział? Pewnie dla mnie Nil, albo głowa pod miecz, a was, ponownie by sprzedano na targowisku i nie wiem, czy byłoby wam dobrze u nowego pana? Skoro mam was teraz obok siebie, to chciałbym wam powiedzieć, co i jak będziemy robić, a pracy jest wiele.

O budowie świątyni nawet nie wspominam, bo to zajmuje mi całe dnie, sami wiecie. Ma to swoją wadę, ale i zalety. Menes jest łaskawym władcą i docenia mój wysiłek, a to, co dostaję i tak w znacznej większości przeznaczam na leczenie ludzi i pomoc biedakom. Bogacze płacąc mi za przywrócenie zdrowia nie wiedząc o tym, że łożą na na tych drugich. Lecznica jest znana i wielu jest tych, co ją odwiedzają. Smutne jest to, że w niej są dwie izby i dwoje drzwi. Jedna izba i drzwi jest dla tych, co mają, a druga, dla tych, co nie mają. Ci pierwsi brzydzą się tymi drugimi. Cokolwiek o tym myślicie ja nie widzę innego rozwiązania, aby tym drugim poprawić życie. Kazem pomaga mi w pracy i już wie, jak to wszystko jest zorganizowane. Będzie milczał, gdyż wiele dla niego zrobiłem, a i on sam jest bardzo uczciwym człowiekiem. On także wyrósł z prostego ludu i wie, co to bieda. Neferi już mi tam pomaga gdyż, jako kapłanka, jest biegła w sztuce przyjmowania porodów. Co prawda niewiele wie o tych układach, ale powoli ją przekonuję do

większych wyrzeczeń dla biednych i zmierza to w dobrym kierunku. Wy także jesteście dla mnie podporą w wielu innych większych, czy mniejszych sprawach. Bardzo wam za to dziękuję. Wkrótce i wy będziecie biegłe w kobiecych problemach i już teraz mogę powiedzieć, że jestem z was dumny — z tymi słowami zwróciłem się do dziewczyn.

I wam dziękuję chłopaki, moi przyjaciele, bo nie raz pokazaliście, jak wiele wnosicie w pomoc dla tych ludzi. To wy wybudowaliście naszą lecznicę i wasza pomoc jest wielka w wielu sprawach. Może i więcej pomagacie, niż ja. Ja tylko leczę, a wy pracujecie ciężko na nasz dom i lecznicę. Chwała wam za to.

To jednak nie koniec waszego wysiłku. Będziemy musieli nieco rozbudować nasz domek, bo mam pewne plany, ale o nich za chwilę.

Wracając jeszcze do tego, co wam przed chwilą powiedziałem na zewnątrz, rozpowiadajcie, że jesteście traktowani, jak każdy inny niewolnik. Mówcie, że Taita jestem panem takim sobie, no może tylko niekiedy, łaskawym. Mówcie, że i kary chłosty nie są wam obce, ale nie chcecie o nich mówić.

— Rozumiemy cię, Taito — odezwała się Ned. Nie ma lepszego domu i lepszego w nim pana, jakim ty jesteś dla nas.

— Nie chwal mnie Ned, bo nie robię tego dla siebie.

— Dlatego jesteś ponad innych — dodała Nitakaris.

— Lepiej tego nie rozgłaszaj, bo za to mogę być niższy wzrostem, bo skrócony o głowę — dodałem, żartując z wypowiedzi dziewczyny.

Wszyscy roześmieli się z tego żartu, a ja zmieniłem temat.

Wspominając o dobudowie kilku izb, pewnie domyślacie się, co miałem na myśli. Od kiedy ruszyła nasza lecznica w mojej głowie pojawiła się myśl o zwiększeniu ilości pomocników w tych wszystkich pracach. Sami wiecie, jak wiele już robimy i jakie każdego wieczoru, odczuwamy zmęczenie. Zbyt wiele tej pracy, jak na nas. Pomyślałem o zakupie dwóch kolejnych par niewolników, bo Menes raczej nie podaruje mi już nikogo, jak to zrobił z tobą, Akme. To nieładne słowa z mojej strony, ale nie wiem, jak, inaczej powiedzieć. Skoro będzie nas więcej, to chciałbym rozbudować nasz domek o dwie, lub trzy izby więcej. Tu prosba do Was: Darze, Nechebie i Amenecie. Skończyliście budowę lecznicy, a ja niewdzięcznik znowu was przymuszam do kolejnej budowy.

Za domem jest spory placyk i ten specjalnie jest przeznaczony do rozbudowy każdego z naszych domków. Tak, przewidziałem to w swoich planach, a teraz zrealizujemy rozbudowę domu, jako pierwsi. Na razie potrzebne będzie sporo cegieł i od tego zacznijcie. Rano i wieczorem zwierzaki, a potem zobaczymy. Wóz mamy i wołu, a także i osiołki, więc i transport mamy bez problemu. Dziewczyny oczywiście, jak do tej pory: gotowanie, zakupy, karmienie naszego dobytku, oraz prace w lecznicy na zmianę. Chciałbym, aby każda z was potrafiła, jak najlepiej pomagać chorym i poznawała kolejne sekrety leczenia. Kiedyś powiedziałem, że

i ja będę pomagał w pracach domowych. Nie jestem jednak w stanie tego robić, bardzo was za to przepraszam. ale sami widzicie, jak wiele się zmieniło i zmienia w naszym życiu. Zawsze lubiłem pomagać rodzicom, ale teraz inne czasy.

— Nie martw się Taito, jakoś wspólnie damy sobie radę — wtrąciła, Ned.

— Dziękuję ci za dobre chęci — odparłem — pewnie i tak będzie, jak mówisz.

Chcąc zakończyć swoją wypowiedź, zapytałem jeszcze:

— Czy jeszcze macie do mnie jakieś pytania?

Po minach stwierdziłem, że wszystko dla nich, jest jasne.

— No to moi przyjaciele wracajcie do siebie na nocny wypoczynek, bo ja jestem u siebie, a byłbym zapomniał — zwróciłem się do chłopaków, jutro pokażę wam, gdzie i co macie budować.

Wszyscy powychodzili z mojej izby, ja zostałem sam. Jakoś dziwnie się poczułem.

— „Wciąż sam, czy dobrze zrobiłem wybierając celibat?” — znowu, plątało się w moich myślach.

Akurat teraz, jak nigdy dotąd zapragnąłem kobiety w moim łóżku.

— „Być może przyczyną tego był widok tych niewolniczych par, wychodzących do swoich izb i obejmujących się w miłosnych uściskach? Pewnie czekają na kolejne upojne noce, a co mnie pozostało? Nawet nie wspomnienie, bo nie znam tego uczucia. Co chciałem, to mam. Czy moje życie było warte, aż takiego poświęcenia?”

Dobrze, że szybko zasnąłem i nawet bez wieczornego posiłku. Dziewczyny pewnie widząc mnie śpiącego, nie budziły widząc moje zmęczenie.

Wczesnym rankiem obudziła mnie radosnym krzykiem, Akme.

— Taito, mamy małego osiołka. Arwa urodziła śliczne i zdrowe oślątko, Azibo został ojcem. To chłopczyk. Musimy nadać mu jakieś imię!

— No dobrze, uspokój się dziewczyno. Na wszystko przyjdzie czas.

Kiedy Akme ochłonęła nieco, poszedłem do obórki zobaczyć nasz nowy nabytek. Azibo wpatrywał się w swojego syna, a ten stał na swoich chwiejących się jeszcze nóżkach pod brzuchem matki i ssał jej mleko, głośno przy tym mlaskając.

— Śliczny Taito, prawda? — dodała towarzysząca mi do tej pory, Akme.

Ja, bym go nazwała Szady (Śpiewak), bo koncertuje tym swoim ia..., ia..., jak tylko pojawił się na tym świecie.

— Tak śliczny, ale i duży, jak na takiego oślego noworodka — pomyślałem głośno — na dodatek, to nasz pierwszy w tej obórcie.

— Teraz zostawmy tych szczęśliwych rodziców w spokoju i niechaj nacieszą się swoim szczęściem — zagadałem do dziewczyny.



Sąd

Przy okazji, Akme pomogła mi z zaprzęgnięciem koni do rydwanu. Wyprowadziłem wóz przed dom i po porannym posiłku wybrałem się na teren budowy. Tam czekali już na mnie: Kazem i Orypis.

— Panie, zobacz, jak rosną świątynne mury — zagadał Orypis.

Tego nie mogłem zanegować. Ściany okalające dziedziniec były już na ukończeniu. Główna część świątyni czyli sanktuarium wraz z przyległymi pomieszczeniami dla kapłanów, była także daleko posunięta w budowie.

— Wiem, że mogę na was polegać — zwróciłem się do chłopaków. Jest bardzo dobrze, ale jeszcze mnóstwo pracy nas czeka. Myślę, że po ukończeniu murów dziedzińca będzie można część tam pracujących przerzucić do budowy sanktuarium. Kamieniarzy bym zostawił, aby zaczęli wykuwać kamienne posągi naszych bóstw. Te ustawimy we wnękach murów dziedzińca, jak to zaplanowaliśmy.

— Tak zamierzamy, panie — dodał Kazem.

— Widzę, że jesteśmy zgodni — odparłem.

— Panie, jakie posągi i w jakiej kolejności tam ustawimy?

— Kazemie i ty o to pytasz? Nie byłeś w pałacu Menesa i nie widziałeś projektu?

— A tak, zapomniałem, wybacz.

— Wiem, budowa zaprzęta wasze umysły, ale to nic takiego, kiedy myślimy o wielu sprawach.

Zabrałem chłopaków i zaczęliśmy obchodzić powoli cały plac budowy, przyglądając się poszczególnym jej fragmentom i krzającą się przy nich, ludziom. W pewnej chwili podbiegł do nas jeden z rzemieślników, głośno wołając:

— Panie, pomóż! Panie, pomóż!

Kazem zasłonił mnie swoim ciałem, pewnie obawiając się jakiegoś ataku ze strony tego biedaka.

— Zostaw go, Kazemie — powiedziałem do niego.

— Czego pragniesz, człowieku? — zapytałem.

Ten, upadł przed nami na twarz, dalej głośno prosząc o pomoc.

— Wstań i spokojnie powiedz nam, o co ci chodzi?

— Panie, tu w nasze grupie pracuje, a raczej udaje, że pracuje taki zły człowiek. Biję każdego, kto stanie na jego drodze. Nawet ma jakieś układy z gwardzistą, bo ten zawsze jest po jego stronie. Zobacz panie te ślady na moich plecach i nogach, jakie mi zostawił, kopiąc mnie, kiedy wywróciłem się pod ciężarem niesionego kamienia. On mnie zabije, jeśli się dowie, że na niego naskarżyłem. Teraz go tu nie ma, lecz kiedy wróci, to pewnie ten strażnik mu

powie, co uczyniłem, a ten zakatuje mnie, na jego oczach.

— A co będzie jeśli nie spełnię twojej prośby? — zapytałem wieśniaka.

— Panie, to lepiej byłoby dla mnie, abym zginął z twojej ręki.

Ponownie upadł przed nami na twarz.

— Wstań, nic złego cię nie spotka. Powiedz mi jeszcze, czy tylko ciebie prześladowuje ten człowiek, czy takich jak ty jest więcej?

— Wielu nas, panie.

— Co z tym gwardzistą, czy on też was bije?

— Nie panie, on tylko patrzy i śmieje się z nas.

— Który, to z żołnierzy, wskaż mi go ręką?

— Panie, bardzo się boję.

— Pokaż — powiedziałem bardziej stanowczo do kamieniarza.

— To ten panie, co stoi tam, pod ścianą. Ten drugi jeszcze nie wrócił, ale pewnie będzie tu za jakąś chwilę — odparł kamieniarz.

— Jak tylko wróci, to pokażesz go tym gwardzistom — wskazałem na dwóch stojących obok mnie, żołnierzy.

Kazem i Orypis przysłuchiwali się tej naszej rozmowie.

— Co o tym myślicie? — zapytałem moich klasztornych braci.

— To należy pod osąd naszej rady — odparł krótko Orypis.

— Tak, masz rację i dlatego wieczorem spotkamy się tu znowu.

— Ty na wieczór zwołasz wszystkich tych, którzy doznali krzywdy od tego człowieka. Teraz możesz odejść i nie obawiaj się, bo za chwilę wydam inne polecenia — zwróciłem się ponownie do tego biedaka.

— Gwardzisto, gdzie wasz dowódca? — zapytałem, jednego z tych zbrojnych, których wcześniej wskazałem kamieniarzowi.

— Zaraz przywołam, panie — obaj pokłonili mi się obaj na znak szacunku. Gwardzista zniknął, gdzieś za murem i po chwili wrócił, ze swoim dowódcą.

— Witaj panie, czego pragniesz?

Teraz setnik kłaniał się nam w pas. Wy tłumaczyłem zbrojnemu, do czego doszło i jak zamierzam rozwiązać tę sprawę.

— Wsadzisz tego drania za kraty, jak tylko tutaj się pojawi. Wskaże ci go ten kamieniarz, a i swojego człowieka nakazesz uwięzić za ten uczynek — nakazałem setnikowi.

— Jak sobie życzysz, panie.

— To nie wszystko. Wieczorem przyprowadzisz ich tu obydwu, a przy okazji, jak będziesz w koszarach, poproś w moim imieniu swojego dowódcę straży, Akara, aby także wieczorem przyszedł tu do nas.

— Dobrze, panie.

Setnik, wydał jakieś polecenia tym dwom gwardzistom, a także przywołał dwóch następnych. Po dłuższej chwili czterech zbrojnych, odprowadzało już

więźniów w kierunku pałacowych koszar, bo i ten drugi, główny złoczyńca pojawił się na świątynnym dziedzińcu. Na ten widok przez tłum przeszedł szmer zadowolenia.

— Dzisiaj wieczorem, kto ma coś do powiedzenia w tej sprawie, niechaj się wypowie. Zawołałem jeszcze głośno w kierunku tłumu. Usłyszałem ciche głosy podziękowania.

— To mamy sprawę na wieczór, a na teraz mamy inne problemy — zagadałem do Orypisa i Kazema.

— Tak, panie — odparł Kazem.

Dalej wędrowaliśmy wzdłuż murów, a raczej po ich szczycie, sprawdzając kolejno ułożone warstwy skalnych bloków. Kamieniarze drążyli rowek na ich wierzchu, aby później nalać do niego, wody. Ta wskazywała nam na pochylenie każdej ze ścian.

Było późne popołudnie, kiedy zakończyliśmy cały ten obchód. Do naszego stałego miejsca, skąd obserwowaliśmy całą budowę, podjechała też Ned, przywożąc nam popołudniowy posiłek. Ten, chociaż skromny smakował, jak najlepsze dania na królewskim stole. Po posiłku do wieczora dyskutowaliśmy jeszcze długo na temat różnych spraw związanych z budową. Nawet nie odpoczęliśmy, kiedy na świątynnym dziedzińcu zaczął gromadzić się tłum. Robotnicy, niewolnicy i nawet ludzie z miasta zapełnili cały ten plac. Każdy z nich oczekiwał wydania wyroku w sprawie tych, co złamali nasze wewnętrzne prawo. Nie było istotne, czy dotyczyło ono ludzi wolnych, czy niewolników. Sprawiedliwości, miało stać się zadość. Miało być tak, jak określał to nasz papirus na którym spisano wszystkie warunki budowy przed jej rozpoczęciem.

Zanim przyprowadzono więźniów, nakazałem Kazemowi przywołać przedstawicieli, po jednym z każdego z zawodów wykonywanych tu przez wolnych ludzi. Do zgromadzenia nie chciałem wybierać niewolników, gdyż nie byłoby to dobrze widziane. Ci ostatni, jak wiadomo, nie mieli prawa głosu. I tak wiedziałem, że ludzie wolni mieli dosyć tamtych i sami osądzą winnych. Tu panowało inne prawo, prawo budujących świątynię. Przedstawicieli tych zawodów, było wielu. Wybranym, nakazałem zajęcie miejsca obok naszego namiotu, który teraz stał się centrum całej rozprawy.

W końcu, doczekaliśmy się nadejścia Akara z gwardzistami. Żołnierze prowadzili winnych na postronkach, był ten robotnik i oskarżany gwardzista. Tłum na ich widok zaczął rzucać w nich kamieniami, jajami i jakimiś innymi zgniłymi owocami. Gestem ręki nakazałem zaniechanie takiego ich traktowania i o dziwo zebrani tu ludzie, uspokoili się. Gwardziści przyprowadzili winnych przed nasz trybunał i uderzywszy drzewcem włóczni pod kolanami, zmusili ich do klęczenia. Potem grotami włóczni, nakłonili ich do oddania nam pokłonów, aż do prochu ziemi. Pewnie dla nich, (skazańców) nie było to przyjemne. Upokorzono ich, nie

tylko względem nas, kapłanów, ale także i członków trybunału, którzy reprezentowali całe zgromadzenie budowniczych. Akurat obaj zasłużyli sobie na takie traktowanie. Klęcząc, musieli wysłuchać wszystkich tych, którym wyrządzili krzywdę. Co prawda, gwardzista nie uczestniczył w tym procederze bezpośrednio, ale tolerował zachowanie tego drugiego. Z wielką uwagą, wysłuchiwalismy kolejnych pokrzywdzonych, a było ich wielu. Wśród nich był i ten, który odważył się o tym powiedzieć i wezwać naszej pomocy. Potem wysłuchalismy oskarżonych. Ten, który bił, nie miał nic do powiedzenia, gwardzista poprosił o łaskę.

Zgromadzenie budowniczych jednoznacznie stwierdziło ich winę. Ten wyrok, podlegał jeszcze osądowi naszej trójki, więc kolejne trzy nasze głosy, potwierdziły ich winę. Teraz należało ustalić wielkość kary. W porozumieniu z Kazemem i Orypisem, postanowiłem zabrać głos i zaproponowałem nasze rozwiązanie, poddając je akceptacji tłumu. Zacząłem od gwardzisty. Ten akurat nie był naszym człowiekiem i podlegał prawom gwardii, więc oddałem go do dyspozycji Akara, prosząc o publiczne określenie jego kary.

Akar nie mając wyjścia musiał podjąć decyzję i to na poczekaniu.

— Wysłuchalismy was pokrzywdzonych — zaczął Akar — będąc bezpośrednim przełożonym winnego żołnierza, skazuję go za jego czyny na dziesięć batów, a także na zesłanie do jednego z oddziałów, strzegących porządku w rejonie granic Górnego Kemetu. Baty zostaną wymierzone na tym dziedzińcu, przed wami, przez jego dowódcę — setnika.

Skazany gwardzista na kolanach dziękował jeszcze Akarowi za łaskawość. Wiedział, że mogła go spotkać jeszcze większa kara, kara Nilu.

— Co do drugiego ... — teraz ja zabrałem głos — wiecie, że nie potrafię do was przemawiać, jak czyni to nasz wielki władca. To on postawił mnie na tym urzędzie i jego wolę wypełniam, starając się, aby nie naruszano naszych praw, jakie ustanowiliśmy rozpoczynając budowę tej świątyni. Ten człowiek naruszył ich wiele. Wielu z was opowiedziało nam, jakich przewinień dokonał. Nie usłyszałem też żadnych słów pokory z ust tego człowieka, ani prośby o litość.

Na te słowa w tłumie rozległ się szmer pogardy i nie jeden wyciągał zaciśniętą pięść w stronę skazańca.

— Zemsta nie jest dobrym rozwiązaniem i takiej nie powinno być. Będzie tylko wasza sprawiedliwość, jakiej się domagacie. Moglibyśmy skazać go na największą karę, a jaka to jest, każdy wie. To, co wam proponuję, może nie spodobać się wielu z was. Powiem jednak, że śmierć w sumie nie jest największą dla niego karą, gorszą, będzie ciężka praca. Teraz czekają go jeszcze dwie i pół dziesiątki batów, które wymierzą mu wasi przedstawiciele. Po nich, zostanie wysłany do kamieniołomów, aby tam w pocie czoła, urabiać kamienie dla potrzeb świątyni. Będzie pod specjalnym nadzorem ludzi Akara, (o suchym chlebie i wodzie) aż zrozumie krzywdy, jakie wam wyrządził. Tyle miałem wam do

powiedzenia, a jego los składam w wasze ręce. Od was będzie teraz zależeć, jaką karę poniesie. Proszę wszystkich tylko o jedno, nie splamcie sobie rąk krwią tego człowieka, bo nie jest to godne każdego z was.

Poprosiłem teraz o głosowanie wśród wybranych na moją propozycję, wypadło jednomyślnie. Przedstawiciele rzemieślników byli zadowoleni. Część tłumu zaczęła krzyżeć, jedni z zadowolenia, a inni będąc przeciwni. Niektórzy gwizdali, co nie wskazywało, jakie mają o tym zdanie. Na twarzach niewolników także zauważyłem zadowolenie, co chwilę później potwierdził, Orypis.

— Było dobrze — wyszeptał z boku. Ogólnie, (oprócz skazańców) wszyscy są zadowoleni, a będą jeszcze bardziej, kiedy na ich oczach ci dwaj, dostaną cięgi.

Strażnicy poprowadzili obydwu do wielkiego pnia palmy, jaka rosła na skraju świątynnego dziedzińca, a nie została wycięta, mając w przyszłości stanowić naturalną jego ozdobę. Przywiązano ich przodem do siebie i teraz każdy z biorących udział w radzie, podchodził do skazańca i uderzał go batem, jeden raz po plecach. Wyrok na gwardziście wykonał setnik wskazany przez Akara. Ten bez szemrania zdarł z żołnierza odzienie na plecach i wymierzył mu dziesięć mocnych batów. Ten nawet nie jęknął tylko, kiedy go rozwiązano, osunął się na ziemię. Kiedy wyrok batów został wykonany, gwardziści zabrali obydwu na wóz i zawieźli z powrotem do koszar. Stamtąd, każdy z nich miał wyruszyć w dalszą podróż w głąb Kemetu do odbycia dalszej kary.

Jeden z przedstawicieli zgromadzenia podszedł do nas i podziękował w imieniu wszystkich za poważne potraktowanie sprawy i wydanie propozycji sprawiedliwego wyroku. Kiedy ludzie się rozeszli, wróciłem do domu. Nie byłem zadowolony z siebie, nawet nie wiedziałem, dlaczego? Byłem jakiś zdruzgotany i wątpiący w to wszystko, co dzisiaj zrobiłem. Nawet nie miałem ochoty na jedzenie. Pewnie, gdyby nie Ned, poszedłbym spać z pustym żołądkiem. Ta swoim uśmiechem rozwiała wszystkie moje smutki i przywróciła do równowagi.

— „Wspaniała dziewczyna” — pomyślałem, który to już raz?

Posiedziałem jeszcze na tarasie ze swoimi przyjaciółmi do czasu, kiedy Ra zniknął za horyzontem. Zajadając słodkie daktyle i figi opowiadałem im o dzisiejszym sądzie. Przyznali rację, że winnym należała się taka kara i postąpiliśmy słusznie.



Choroba

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Męczyły mnie jakieś koszmary. Widziałem twarz tego pokrzywdzonego biedaka w kałuży krwi, widziałem twarze tych osądzonych i złorzeczących mi za taki wyrok. Widziałem Neferi, stojąca nade mną z sztyletem i grożącą mi jego ostrzem, jeśli nie pokocham ją, jak mężczyzna kocha kobietę. Był i sokół krążący nad naszym podwórkiem i Azibo ciągnący coś, lub kogoś za sobą. Ten ostatni koszmar był najgorszy, ale nie wiedziałem, o co w nich chodzi? Ponoć majaczyłem i rzucałem się we śnie, jak później powiedziała mi Nitakaris. To ona usłyszała moje jęki i jako pierwsza przybiegła do mojej izby. Widząc mnie we śnie, miotającego się w różne strony usiadła na skraju posłania i przytuliła moją głowę do siebie. Nawet nie wiedziałem, że tak właśnie było. Kiedy moje „ka” wróciło do chet dopiero wtedy zauważyłem, że obok wezgłowia stoi Neferi. W ręce trzymała nóż, ale nie po to, aby mnie zabić, ale przecinała nim lniane płótno do zrobienia z niego kompresu na głowę. Nawet nie wiedziałem, kiedy moje „ka”, znowu powędrowało do innej krainy. Poczułem, że moje „chet” jest rozpalone, niczym pustynny piasek od promieni słońca. Wiedziałem, że to jakaś choroba, lub zatrucie. Tylko jaka, lub jakie?

— „Nawet logicznie myśleć nie mogę” — przewinęło mi się przez głowę w chwili świadomości.

Jedynie, co odczuwałem, to jakiś dziwny ból brzucha, jakby trzewia wywracały mi się na drugą stronę.

— Leż spokojnie — prawie szeptem powiedziała do mnie, Neferi.

— Co się stało, skąd się tu wzięłaś? — zapytałem zdziwiony jej obecnością.

— Akme po mnie przyszła, więc dałam ci już zioła na żołądek. Nie wiem, co zjadłeś, ale z twojego brzucha dochodziły takie odgłosy, jak u hipopotama po sutym śniadaniu, przed wypróżnieniem — dopowiedziała jeszcze pół żartem, Neferi.

— Nic takiego nie jadłem, tylko to samo, co wszyscy w tym domu, a im nic nie jest?

— A co jadłeś wcześniej?

— Nawet nie pamiętam, wiem tylko, że południowy posiłek jadłem na placu budowy, a co to było, to pewnie wie, Ned.

— No mało istotne, teraz dostałeś odtrutkę i to powinno ci pomóc — powiedziała stanowczo.

W czasie tej naszej dyskusji wszedł, Akar.

— Witaj Taito, Menes Cię wzywa — odparł krótko.

— Już wstaję i idę z tobą Akarze.

Zanim Neferi zdążyła mnie powstrzymać stanąłem na nogach, ale trwałem

w tej pozycji tylko jedną chwilę, bo w drugiej przywitałem się z podłogą mojej izby. Wywaliłem się jak długi, uderzając głową w stojący obok zydelek.

— Mówiłam ci, leż spokojnie — zwymyślała mnie, dziewczyna.

— A ty, nie widzisz bawole w jakim on jest stanie? Nawet na nogach nie umie ustać. Powiedz władcy, że jest chory, bardzo chory. Przyjdzie, jak wstanie ze swojego łoża, baranie jeden — dodała jeszcze obraźliwie, Neferi. No i pomóż mi go położyć na pościeli. Czego stoisz, rusz się!

Dobrze, że Akar był wyrozumiałym i spokojnym człowiekiem, bo przyjął to, jak kobiecy żart, myśląc oczywiście o bawole i baranie.

— Wiesz Taito, powiem mu, że jesteś bardzo chory i jak tylko wyzdrowiejesz, natychmiast pokażesz się w pałacu.

Skinałem głowę.

Neferi, jakby jeszcze miała tego mało i chciała się na kimś wyżyć na odchodnym powiedziała jeszcze do gwardzisty:

— Zmiataj mi stąd i nie pokazuj się tu, kiedy Taita cierpi.

Akar nie zwracał już nawet uwagi na jej słowa, tylko odwrócił się na pięcie i zniknął za zasłoną u wejścia.

Neferi usiadła obok mnie i płótnem zaczęła wycierać moje czoło i mokry od potu, tors. Pomimo rozpalonego ciała, było mi zimno i co chwilę wstrząsały mną dreszcze. Po wytarciu, Neferi nakryła mnie matą i czekała, aż przejdą mi te drgawki. Te, jednak nie ustawały, a ja byłem coraz słabszy. Dopiero, kiedy Akme przyniosła mi kolejny wywar z kurczaka, doznałem pewnej ulgi. Neferi karmiła mnie osobiście, jak matka swoje dziecko. Nawet nie pozwoliła tego robić naszej, Ned. Dreszcze powoli ustawały i poczułem się odrobinę lepiej. Jednak w moim brzuchu, nadal odbywała się jakaś bitwa moich wnętrzności, jakby dwa stada krokodyli tłukły się między sobą. Nic mnie jednak nie ruszało, ani przodem ani tyłem i było tylko, to paskudne burczenie w brzuchu.

— Jaka to pora dnia? — zapytałem kapłankę.

— To już wieczór.

— Tak długo leżałem?

— Tak wieczór, ale drugiego dnia od kiedy cię połamało — dodała.

— To niemożliwe?! — zaprotestowałem.

— A jednak, teraz już powinno być lepiej, bo widzę to po twojej minie. Wczoraj myślałam, że umierasz. Napędziłeś mi strachu. Już raz miałam z tobą problemy, pamiętasz jeszcze?

Nie odpowiedziałem, chociaż pamiętałem wiele szczegółów z tego naszego pierwszego spotkania.

— Może ci opowiedzieć?

— Nie, nie trzeba, pamiętam, bo takich chwil się nie zapomina.

Neferi pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

— Teraz ci lepiej, mój medyku? — zapytała wyzywająco.

— Może i lepiej, ale nadal jestem słaby.

— A gdybym postawiła cię na nogi moim sposobem? — zapytała z kokieterią.

— Może lepiej nie, bo po tej twojej kuracji, byłbym jeszcze słabszy.

— No tak, jesteś słabeuszem.

— Ale mnie prowokujesz — odpowiedziałem z lekka podenerwowany.

— Teraz i tak nie ma z ciebie żadnego pożytku. Nawet lew by się pochorował, jakby cię pożarł, a cóż dopiero ja — zażartowała po swoim.

— Ty mnie chcesz pożreć, taka lwica z ciebie? Nawet porządnie gryźć nie potrafisz, bo nie masz zębów i jesteś, jak stara baba — odpowiedziałem, bez namysłu.

I dograłem się. Neferii walnęła mnie otwartą ręką po mojej łysinie, aż zahuczało mi w uszach.

— Ned, Ned, tu mnie biją! — zawołałem głośno.

— Co? Co?

Na te moje wezwanie dziewczyna wpadła do izby i stanęła zdziwiona. Na moje głowie widniało, a raczej czerwieniło się jeszcze pięć palców ręki kapłanki, jaką oberwałem od Neferi.

— Faktycznie to nic, żartujemy sobie — powiedziałem do zdziwionej, Ned.

Ta popatrzyła w stronę naszego gościa, nie kryjąc swojej złości.

— Już w porządku Ned, to były tylko żarty — powtórzyłem ponownie.

Ned odwróciwszy się na pięcie, wyszła z pokoju.

— A ty mi odpowiesz za tę zniewagę, zwróciłem się teraz do Neferi.

— Może znowu chcesz mnie bić, a może i tu?

Podniosła odzienie i pochylając się nieco do przodu, ukazała gołe pośladki i nie tylko.

— Neferi! Ty mnie chcesz wykończyć, dziewczyno?

— Nie, ja chcę cię uzdrowić. Na każdego mężczyznę działa takie lekarstwo — dodała z uśmiechem.

— Wiem, że masz swoje sposoby leczenia, ale wolałbym, abyś ich nie stosowała na mnie.

— Dzidzius nie chce, buzi, buzi? — zapytała znowu kokieteryjnie.

— „Ta dziewczyna się już nie zmieni? — pomyślałem — Pewnie będzie lepiej, jak nie będę odpowiadał”.

Ja, jedno słowo, ona dwa, ja dwa, ona cztery. Już się nie odzywałem.

— Coś tak posmutniał, źle ci ze mną?

— Nie, tylko ile razy mam ci przypominać, kim jestem?

— Już dobrze głuptasie, przecież nic ci nie robię.

Usiadła obok mnie i położyła moją głowę na swoich udach. Znowu zaczęła

mnie głaskać tak, że szybko zasnąłem nie wiedząc nawet kiedy? To był głęboki i zdrowy sen. Kiedy obudziłem się, (kolejnego dnia), czułem się wyśmienicie.

Neferi nie było w izbie, ale słyszałem jej głos dochodzący z kuchni.

— Idę zobaczyć, czy jeszcze śpi? — mówiła do Ned.

Przymknąłem oczy i udawałem śpiącego. Neferi po wejściu do izby, widząc mnie z zamkniętymi oczami, chciała wyjść.

— A ty, gdzie? — zapytałem, zaskoczona moim zachowaniem, dziewczynę.

— No nareszcie, zaspany kapłaniku. Dostyc już tego wylegiwania się, bo Menes czeka na ciebie.

Teraz dopiero dotarło do mnie, że miałem się stawić u niego kilka dni temu. Miałem nadzieję, że ten, nie wkurzy się na mnie, pewnie Akar powiedział mu o mojej chorobie? Kiedy wstałem, dziewczyny zabrały mnie na taras i tam zjadłem swój poranny posiłek. Ten, do reszty postawił mnie na nogi. Nie wiem, co to była za choroba, albo trucizna, ale żeby powalić mnie z nóg?

— „Ale czasem i tak bywa” — pomyślałem.

W towarzystwie Neferi, rydwanem udałem się w stronę jej domu, a potem do pałacu. Przed domem podziękowałem jej za wspaniałą opiekę i dostałem na odchodnym solidnego buziaka.



Skarb świątyni

Po tym rozstaniu, udałem się przed oblicze władcy. Ten czekał już na mnie, a raczej na wiadomości z placu budowy. Niestety, nie wiedziałem wiele na temat postępu prac i lawirowałem, opowiadając mu, wszystko bardzo ogólnie. Ważne było tylko, że budowa posuwała się do przodu.

— Słyszałem ostatnio o twoich niedomaganiach, Taito, czy to prawda?

— Tak panie, kazałem Akarowi przekazać ci o mojej niedyspozycji i pewnie wiesz to od niego?

— Aaaa tak, tak — odparł Menes, zastanawiając się, jakby nad odpowiedzią — i jak się teraz czujesz?

— Dobrze, panie. Już mogę pracować i spełniać twoje polecenia.

— To mnie cieszy — odparł Menes — brakowało mi tu ciebie, chociaż były to, tylko trzy wschody Ra.

— Tak panie, oto jestem, aby nadal ci służyć.

Pokłoniłem się głęboko. Menes był łasy na takie słowa i ukłony. Na twarzy nie ukrywał swojego zadowolenia. Akurat dzisiaj, jego myśli były jakieś rozproszone, być może, że z powodu na wpół nagich tancerek pływających po sali tronowej. Kilku dworzan stojących pod ścianą, także gapiło się na nie, niczym koty na przysłowiową sperkę.

— Która ci się podoba? — zapytał władca, przerywając nasze budowlane pogawędki.

— Wszystkie piękne, panie.

— No nie myśl, że jeszcze jakąś ode mnie dzisiaj dostaniesz? — zarechotał, Menes.

— Twoja wola, panie.

— Albo, może dam ci jakąś? — odparł, zmieniając swoje zdanie — a może i nie? Sam nie wiem, Taito.

— Panie, może takie poważne decyzje zostaw na inny dzień — wymigałem się z jego rozważań.

— No tak, zbyt wiele tego, „może” — odparł już bardziej logicznie.

— Panie, mogę już odejść? — zapytałem.

— Znowu cię ciągnie do tej twojej kąpielnicy?

— Nie panie, ale widzę, że jesteś dobrze poinformowany, co do mojej osoby. Powiem tylko, że Neferi w wolnych chwilach pomaga mi w leczeniu ludzi, a znamy się już od dawna.

— No tak, no tak, — powtórzył sam do siebie, Menes.

Widziałem, że dalsza rozmowa nie ma sensu i ponownie poprosiłem o możliwość opuszczenia sali tronowej. Menes skinął tylko głową. Po chwili pałac

i jego sprawy, były już daleko poza mną. Wsiadłem do rydwanu i pojechałem wprost do arcykapłana Nebtawi'ego. Ten wzywał mnie do siebie w sprawach świątynnych tajemnic, jakie teraz chciał mi przekazać. Pewnie wyczuwał, że wkrótce odejdzie z tego świata. Ponoć, jakaś choroba trawiła jego „chet”, jednak nie pozwolił mi się zbadać. Wtedy, widziałem go po raz ostatni.

Czekał na mnie na schodach starej świątyni rozglądając się wokół, jakby chciał wszystkich i wszystko zapamiętać przed wyruszeniem w daleką drogę. Powitałem tego seniora głębokim ukłonem, oczekując na jego skinienie i zaproszenie do rozmowy. Nie trwało to długo. Po chwili zaprosił mnie do ogródka starego domu kapłanów i tam w cieniu palmy zaczął mi opowiadać, a raczej przekazywać to, co musiałbym wiedzieć o starej świątyni, jej kapłanach i tajemnicach. Według niego, najważniejszą sprawą, był świątynny skarbiec. Nigdy tam nie byłem i nie wiedziałem tego, co skrywa. Nawet nie wiedziałem, gdzie się znajduje i jak można do niego wejść. Nebtawi, zapowiedział, że po naszej rozmowie udamy się do niego i ujawni mi wszelkie tajemnice z tym miejscem związane. Dowiedziałem się też wielkiej prawdy o sobie. Arcykapłan, osobiście prosił Menesa, abym po jego śmierci został kolejnym arcykapłanem Ptaha w jego nowej świątyni. Ponoć Menes, potwierdził prośbę Nebtawi'ego, stwierdzając przy okazji, że już od dawna przewidział dla mnie to miejsce. Dla mnie był to zaszczyt do jakiego dążyłem przez całe swoje życie. Byłem jeszcze młodym człowiekiem i do tej pory nikt w takim wieku nie słyszał o takim awansie. Jedynie będąc kimś wielkim, mogłem pomagać wielu. Wielkim dla mnie wezwaniem, było nadal zostać skromnym człowiekiem i poświęcać się nauce. Bałem się, że wiele czasu będę musiał wtedy poświęcać na inne sprawy, to było jednak nieuniknione. Będę także musiał, być większym politykiem, aby unikać problemów z kapłanami, czy dworem Menesa, a także nim samym. Przepowiednia Ka — Ma — Zu, ojca, a także moje wizje, miały się wkrótce spełnić. To było niesamowite i jakieś nierealne.

— „Ja młody hemu — neczer, byłem już trzecim prorokiem, jestem wielkim budowniczym, a teraz miałbym zostać arcykapłanem? Ja, mały człowieczek z małego miasteczka, arcykapłanem?” — w głowie mi się nie mieściło, a jednak?

Siedziałem zamyślony nad słowami starego arcykapłana, co ten szybko zauważył i zapytał, jakby wiedząc o czym myślę.

— Boisz się tego zaszczytu, prawda?

— Tak, boję się czcigodny arcykapłanie, bo to wielka odpowiedzialność.

— Tak, bardzo wielka, mój synu — potwierdził Nebtawi.

Powiem ci tylko, że do tej pory nie spotkałem żadnego człowieka, hemu — neczer, czy proroka, który lepiej od ciebie mógłby sprawować tę funkcję. Twoja wiedza jest wielka, a i wiele potrafisz, więc dasz sobie radę, bez żadnego problemu. Myślę, że i Menes ci pomoże, bo jest rozważnym władcą. Ma oczywiście swoje

kaprysy, jak każdy człowiek, ale już poznałeś jego możliwości, więc będzie to dla ciebie ułatwieniem. Wracając jeszcze do początku naszej rozmowy, to wszystkich kapłanów i uabu pewnie już poznałeś? Przy wejściu do skarbcza czekają już nas dwaj kapłani z rady starszych. Czekają na nas trzeci prorok o imieniu, Kahotep, oraz hemu — neczer Awi, którzy wraz ze mną są upoważnieni do otwarcia drzwi, do tych naszych świątynnych tajemnic. Kiedyś, wraz z nimi przeniesiesz to wszystko do nowej świątyni. Nie jest tego zbyt wiele i zostawiam tobie pod rozwagę, jak dochować tajemnicy. Tylko rada starszych kapłanów jest wtajemniczona w sprawę skarbu świątyni, ale dostępu do niego nie mają. Skarby trzymamy na złe czasy dla naszego Kemetu. Nigdy nie wiadomo, kiedy nastaną i my kapłani musimy nad tym czuwać.

I u nas także zaczyna się źle dziać. Niektórzy kapłani stają się pazerni i zamiast służyć świątyni, sami zagarniają dobra ofiarowane bogom. Widzisz wielu kapłanów wynoszących się nad innych, strojnych złotem i kosztownościami, czy takimi mieli być? Może jestem starym człowiekiem, ale widzę, jak zło wkracza w mury naszych świątyń. Będziesz miał wiele do zrobienia i wielu będziesz miał przeciwników, jeśli pójdziesz drogą uczciwości. Twoja droga arcykapłana, nie będzie usłana kwiatami lotosu. Będzie trud i pot, który wsiąknie w naszą świętą ziemię, niczym woda Nilu, wsiąka w piaski pustyni. Wiem, kim jesteś i jak wiele dobra czynisz. Uważaj na siebie, bo zło czai się wokół ciebie. Jeden nieopatrzny krok z twojej strony i zginiesz w tym bagnie ludzkiej zazdrości.

— Wiem, panie — przerwałem wywód, arcykapłana. Taki los mi jest pisany i z tego powodu kiedyś odejdę. Dopóki jednak tu jestem, będę czynił to, co nakazuje mi moje serce. Chcę, aby zapamiętano mnie dobrze, a i moje „ka” zaznało kiedyś wiecznego szczęścia.

— Dobrze mówisz, chłopcze. Teraz opowiem ci o naszych kapłanach, jakimi są ludźmi i czego możesz się po każdym spodziewać. Takie wiadomości pomogą ci w rządzeniu całym naszym zgromadzeniem.

Teraz Nebtawi zaczął mi opowiadać o każdym z naszych świątynnych braci, nie wyłączając z tego Orypisa, Kazema i wszystkich uabu. Starłem się to wszystko zapamiętać, jak proponował mi to arcykapłan, a jego opowieść trwała dosyć długo. Na zakończenie naszej rozmowy postanowiłem zapytać go jeszcze o zdrowie. Ten, gestem ręki zaprzeczył i skwitował słowami, że to starość mu tak dokucza i nie potrzebuje żadnej mojej pomocy.

Kolejnym naszym celem było zobaczenie świątynnego skarbcza. Nie wiedziałem, gdzie znajduje się wejście do niego.

Nebtawi wolnym krokiem, podpierając się swoją heką, poprowadził mnie do sanktuarium Ptaha w starej świątyni. Nie zauważyłem niczego, co by mogło wskazywać, że tam, ukryte jest jakieś wejście. Niestety, myliłem się.

W sanktuarium czekali już na nas, obydwaj wspomniani przez Nebtawi'ego,

kapłani. Kiedy weszliśmy do środka i oddawali pokłon bóstwu, ten zaryglował od środka drzwi na wielki skobel. Kiedy skończyliśmy, Nebtawi poszedł przodem, kierując się na tyły sanktuarium za posąg, gdzie stała arka wielkiego Ptaha. Ta, przypominała pięknie zdobione łoże w formie skrzyni na równie wspaniałych rzeźbionych nogach. Każda z nóg stała, jakby zagłębiona w kielichu kwiatu przypominającego kwiat lilii. Nebtawi złapał najpierw za prawy kwiat i przekręcił go, jakieś pół obrotu w prawą stronę. Potem złapał lewy i także go przekręcił, także w prawą stronę, również pół obrotu.

— Jak widzisz Taito, oba w prawą stronę i tylko pół obrotu. Nie wolno ci zmieniać żadnej kolejności. Cokolwiek zrobisz źle, nie wyjdiesz z tego żywy. Wszyscy stoimy na zapadni. Tam pod nami jest studnia o głębokości piętnastu długości włóczni. Z niej, nie wyjdiesz żywy.

— No, nieźle — dodałem cicho.

Kiedy Nebtawi obrócił drugi kwiat, coś wewnątrz podstawy arki zgrzytnęło i tylna jej ściana zaczęła się uchylać w kierunku środka, odsłaniając jakiś ciemny korytarz. Przy wejściu na ścianie zauważyłem kilka pochodni. Skrzesałem ogień i zapaliłem po jednej dla każdego.

— Ta pochodnia jest moja, odparł i wskazał jedną z nich, Nebtawi.

Nie wiedziałem, że ma to jakieś znaczenie, kto jaką weźmie, a jego wypowiedź wziąłem, jako wieloletnie przyzwyczajenie starca do tego przedmiotu.

— Uważaj pod nogi — dodał jeszcze arcykapłan — teraz będziemy schodzili do krypt pod świątynią. Schody i ganki są śliskie, bo Nil sięga tu swoją wodą.

Krok za krokiem schodziliśmy w dół, nieznacznie posuwając się do przodu w kierunku centrum świątyni. Podziemny ganek nie był zbyt zdobny w rysunki, lecz było w nim więcej naszych znaków pisma. Cyfry były osobno, po jednej, więc nie było wiadomo, co mogą oznaczać. Reszta tekstu nie miała pozornie żadnego sensu.

Pierwszym znakiem z lewej strony korytarza, była cyfra trzy. Nebtawi tłumaczył mi, że idąc i czytając, co trzeci znak, odczytuję tekst, gdzie się porusza. Prawa strona, także zawierała cyfry i znaki, ale prowadzące do pułapek. Kolejne cyfry pomiędzy znakami, oznaczały zmianę w kolejności odczytywanych symboli pisma. Jeśli była cyfra trzy, to należało teraz odczytać, co trzeci symbol, jeśli pięć to, co piąty. Podobnie zakodowano wejścia do ganków na rozgałęzieniach. Zły wybór chodnika, kończył się śmiercią. Znak po znaku, kapłani tłumaczyli mi, jak i co mam robić. Byłem teraz czwartą osobą, która poznawała tajemnicę skarbcza naszej starej świątyni.

Krok, po kroku, posuwaliśmy się w głąb podziemi. Rozglądałem się wokół, podziwiając wkład pracy, jaki onegdaj włożono w wykonanie tej podziemnej budowli. Nasza, pod nową świątynią, nie była taka skomplikowana, ale nie mniej

funkcjonalna, jak ta stara. Gdyby nie konieczność rychłego dostępu do niego, pewnie nowy by nie powstał, a korzystalibyśmy jeszcze z tego.

— „Jeśli bóstwo zostanie przeniesione do nowej świątyni, także i to miejsce nie będzie tak strzeżone, jak do tej pory?” — tak myślałem, na początku.

W końcu dotarliśmy do drzwi skarbcza. Nebtawi i kapłani wyjęli z sakiewek, jakieś dziwne okrągłe pieczęcie, a były trzy. W kolejności od najmłodszego rangą kapłana, wkładali je do rowków obok drzwi. Zaczynał Awi, po nim pieczęć włożył, Kahotep, a na końcu, Nebtawi. Po włożeniu obrócono je tak, aby znaki przedstawiające bogów, pokrywały się z ich odpowiednikami wktutymi w ścianie. Teraz obracanie, jako pierwszy rozpoczął Nebtawi, po nim Kahotep, a na końcu Awi. Kiedy ostatni ze znaków znalazł się na swoim miejscu w ścianie coś zgrzytnęło i za naszymi plecami otwarły się drzwi. Myślałem, że to już wejście do skarbcza i o mało z ciekawości nie wszedłem tam, pierwszy. Nebtawi zagroził mi ręką drogę tłumacząc, że to pułapka w formie dodatkowego pomieszczenia. Można tam wejść, ale stamtąd już się nie wychodzi. Kapłani w tej samej kolejności, jak uprzednio, obrócili ponownie pieczęcie o dwa i pół obrotu w prawą stronę i tym razem przed nami otwarły się drugie drzwi. Mechanizm otwierając te drugie, zamknął jednocześnie te poprzednie. Nebtawi ponownie pohamował mnie ręką, wskazując kamienną płytę w posadzce, prawie nie odróżniającą się, od reszty pozostałych.

— Jeśli chcesz tam wejść i wyjść cały, musisz ją przekroczyć, no chyba, że chcesz zobaczyć dno kolejnej studni, o ile spadniesz tam w całości. Na dodatek ten kamyczek nad głową polecą za tobą, aby rozjaśnić ci w głowie mroki tego miejsca. Tu pokazał spory kamienny blok, nad naszymi głowami, a raczej nad zamaskowanym otworem do studni. Każdy z nas pokona ten odcinek, samodzielnie — dopowiedział jeszcze Nebtawi.

— Sporo tych niespodzianek — zagadałem do arcykapłana.

— To jeszcze nie wszystkie. Kiedy teraz wejdziemy do wnętrza, nie radzę ci brać w ręce tego, co tam zobaczysz. Niektóre złożone tam skarby, także działają, jak pułapki, bo i nimi są. Potem opowiem ci, jak je odbezpieczyć. To będzie ci potrzebne na czas przeniesienia tego wszystkiego do nowej świątyni.

Po przekroczeniu progu stanąłem w miejscu i poczekałem aż kapłani zapalą pochodnie, jakie tam umieszczono, (od swoich, którymi przyświecali sobie idąc w to miejsce). Myślałem, że blask złota, jakie tu złożono, oślepi moje oczy. Widok, jaki zobaczyłem zdziwił mnie bardzo. To, co przekazywano mi ogólnie na temat wielkich świątynnych skarbów, było jedną wielką bajką. Ponoć, zbierane latami dary na rzecz Ptaha, były tak niewielkie, że o mało, co nie roześmiałem się z tego powodu. Powaga nakazywała mi, milczeć. Pewnie dalej bym tak myślał, gdyby nie Nebtawi.

— Widzisz, ile tego mamy chłopcze?

— Tak, panie i dziwi mnie to? Także zastanawiam się, ile roztrwoniono z tego skarbu?

— Słuszne są te twoje rozmyślenia. Tak mogło być, ale tak nie jest. Wszyscy strażnicy byli uczciwymi ludźmi i skarb pozostał nienaruszony. Od czasu, do czasu dokładamy do niego kolejne dary i skarbiec powoli się zapełnia.

— Jakoś tego nie widać? — odpowiedziałem, może zbyt ironicznie.

Kapłan widząc moją postawę, podszedł teraz do jednego z pustych uchwyty na pochodnie, a zamocowanych na ścianie. Włożył tam swoją pochodnię, a potem obrócił ją w koło. Teraz zrozumiałem, że ta „jego” była nie tylko pochodnią, ale i kluczem do głównego już, skarbcza. Znowu usłyszałem zgrzyt, gdzieś w głębi skalnego bloku i przed nami kawał ściany wysunął się w naszym kierunku, odsłaniając z obu boków, jakieś wejścia.

— Wchodzimy tym lewym — nakazał Nebtawi.

— A gdybym wszedł tym drugim? — zapytałem z ciekawionym.

— Pewnie na tamtej ścianie, zostałyby po tobie taka duża, czerwona i tłusta plama.

Weszliśmy do środka tej kolejnej sali. Kapłani zapalili tu, kolejne pochodnie.

Tu, dopiero był ten prawdziwy skarbiec, może jeszcze nie taki, o jakim kiedyś pomyślałem, ale kosztowności było tam sporo. Niektóre musiały być bardzo stare, ale wszystkie cenne z powodu samego kruszcu z jakiego je wykonano. Były i te proste i te kunsztownie zdobione, a także upiękkszane szlachetnym kamieniem. Tego ostatniego, (w pucharach) także nie brakowało.

— Tu już możesz wziąć do ręki wszystko to, co tutaj się znajduje, zwrócił się do mnie Nebtawi.

Podniosłem jeden z pucharów napełnionych kamieniami. Był w nim szlifowany onyks: czarny, biały i zielony, a nawet i czerwony. Patrzyłem przez dłuższą chwilę na to, co trzymam w ręku i rozmyślałem:

— „Ilu te kamyki mogłyby przywrócić wolność, albo napełnić ich puste garnki?”

Rozejrzałem się wokół, niby było tego sporo?

— „Gdyby nawet, ktoś to rozdał, na jak długo by tego nie wystarczyło? Czy te skarby są faktycznie skarbami naszej ziemi? Tylko pozornie. Tworzą świat ułudy i jakiegoś niepotrzebnego rozumowania pojęcia, czym są skarby? Bogaci obwieszają się tym z własnej woli, nawet nie wiedząc, że prawdziwym skarbem są ludzie, właśnie ci wzgardzeni przez nich biedacy i niewolnicy. Gdyby nie ich praca, kim byliby oni? Takimi samymi biedakami, jak tamci. Może nawet jeszcze gorszymi, bo brzydzą się pracą, a bez niej nie przetrwaliby nawet kilku dni”.

— Coś się tak zamyślił chłopcze? — przerwał mi Nebtawi.

— Panie rozmyślałam nad tym, co trzymam w ręku.

— I do czego doszedłeś, młody kapłanie?

Opowiedziałem mu, na temat moich przemyśleń.

— To, co mi powiedziałeś przed chwilą, tylko potwierdza słuszność mojego wyboru twojej osoby na stanowisko arcykapłana. Nim, nie może być człowiek zachłanny i widzący wszędzie i we wszystkim góry złota i pięknych kamieni. Wiem, że ty zadbasz o to, aby ten skarb był pilnie strzeżony i powiększał się z każdym wylewem Nilu. Pamiętaj o dochowaniu tajemnicy tego miejsca i tego, co się tutaj znajduje. Teraz będziesz jednym z nas, wybrańców i tobie przekażę moją pieczęć i „pochodnię otwarcia”, bo bez niej nie wejdiesz do tego pomieszczenia. Ta, jest tylko jedna i zawsze należy do arcykapłana. Kiedy ja odejdę, znajdziesz ją

Nebtawi poprosił obydwu kapłanów, aby wyszli na ganek poza pierwszą komorę. Potem szeptem powiedział mi, gdzie znajdę ten przedmiot. Po mojej śmierci zabierzesz i moją pieczęć, lecz i ty znajdź swojego następcę, kapłana i człowieka godnego zaufania. Jemu powierz tajemnicę tego miejsca. Władca może tu wejść, ale tylko za naszą wspólną zgodą. Jeśli jeden z was się nie zgodzi, to tak, jakby wszyscy nie wyrazili zgody. Menes wie o tym postanowieniu rady starszych kapłanów. Do tej pory nie mieliśmy z nim żadnego problemu odnośnie skarbu. Wręcz przeciwnie, te złote naszyjniki i bransolety, jakie tam widzisz, to jego dar dla Ptaha z okazji objęcia przez niego władzy nad oboma krainami.

Odłożyłem puchar na swoje miejsce i rozejrzałem się jeszcze dookoła. Pod nieobecność kapłanów, Nebtawi pokazał mi jeszcze jedną skrywaną ciekawostkę, o której mieli wiedzieć tylko arcykapłani. Starzec podszedł teraz pod przeciwległą ścianę na której umocowana była tylko jedna pochodnia. Przekręcił ją i spod niej ze ściany, wyciągnął niewielką, wykutą w kamieniu głowę Seta. W tylnej części głowy widniał otwór w który, coś wciśnięto (uprzednio owijając w lniane płótno). Nebtawi wyjął zawiniątko i na ręce rozłożył materiał. Wewnątrz błyszczał czerwony rubin wielkości piąstki dziecka.

— Niesamowity! — nie mogłem się powstrzymać przed takim komentarzem — jeszcze nie widziałem tak wielkiego. Piękny i wielki.

— Pewnie największy na tej ziemi, bo o większym nie słyszałem.

— A wiesz, jak inaczej zwany jest ten kamień? — zapytał arcykapłan.

— Tak, zwą go kroplą krwi bogini wilgoci — Tenfud, matki Geba. Jak wiadomo, jej mężem był bóg powietrza — Szu.

Można powiedzieć, że ten kamień jest kroplą krwi, matki ziemi.

— Tak powiedziałeś prawdę. Widzę, że twoja wiedza jest wszechstronna i głęboka. Znowu powtórzę że sam potwierdzasz nieomylność mojej decyzji, proponując cię Menesowi, jako kandydata na moje miejsce.

— Dziękuję ci, panie — pokłoniłem się arcykapłanowi — bogowie i władca, dokonają wyboru, jeśli mam zostać arcykapłanem, to z godnością przyjmę na siebie

jego obowiązki.

— To dobrze, Taito.

Nebtawi spakował kamień i wsunął do kamiennej głowy, a tę, do ściany. Przekręcił pochodnię i próbował teraz wyjąć głowę, ponownie. Ta trwała na swoim miejscu, co świadczyło o sprawności tego zabezpieczenia. Arcykapłan nakazał mi teraz zgasić wszystkie pochodnie w skarbcu i kolejne na naszej drodze, kiedy opuszczaliśmy podziemne sale i chodniki. Wychodząc, uruchamiałem też kolejne zabezpieczenia, zapoznając się z ich działaniem i budową. Nebtawi i kapłani wyjaśniali mi po kolei, co i jak działa. W końcu, znaleźliśmy się w sanktuarium poza barką wielkiego Ptaha. Kiedy kapłani zamykali wejście, Nebtawi zniknął gdzieś w przedniej części sanktuarium, aby po chwili powrócić już bez pochodni i pieczęci. Wiedziałem już, gdzie je ukrywa, ale ci dwaj, nie znali jego tajemnicy. Poznanie jej, skończyłoby się dla nich śmiercią. W obecności naszego bóstwa, Nebtawi nakazał mi złożyć przysięgę o tajemnicy świątynnego skarbu.

— Pochodni i pieczęci straż, jak oka w głowie i bądź gotów oddać za nie, swoje życie. Nawet władca nie może wejść w ich posiadanie.

To były jego ostatnie słowa, jakie usłyszałem od tego skromnego i pokornego sługi naszego boga.

W mojej głowie rodził się kolejny plan zabezpieczenia tych wszystkich kosztowności. To miejsce było o wiele bardziej bezpieczne, jak te nowe, pod budowaną świątynią. W nowej zamierzałem dobudować jeszcze kilka pułapek i tak pewnie się stanie, ale te miały być, tylko dla zmyłki.

Wychodząc ze starej świątyni już wpadłem na nowy pomysł. Zamierzałem rozpuścić plotkę, że skarb został już przeniesiony w nowe miejsce i pewnie każdy w to uwierzy. To miejsce znane jest tylko kilku wtajemniczonym osobom i tak pozostanie nadal.

— „Jeśli zostanę arcykapłanem, (a na to się zanosilo) zostawię w starej świątyni kilku kapłanów, którzy nie zdając sobie z tego sprawy, będą strażnikami tego miejsca. Stara świątynia musi pozostać. Pewnie za mojej kadencji jej ściany jeszcze przetrwają, a dla moich następców, będzie to nowe wezwanie” — pomyślałem.

O pomyśle w sprawie skarbcu, nie wspomniałem nawet Orypisowi i Kazemowi. Co do zmian dotyczących pozostawienia skarbu w starym miejscu, powiedziałem tylko, obydwu wtajemniczonym kapłanom, (posiadaczom pieczęci) ale dopiero po śmierci arcykapłana, Nebtawi’ego



Zaraza

Po spotkaniu z arcykapłanem pojechałem wprost na budowę. Tam ogólnie niewiele się zmieniło. W zabudowie była kolejna warstwa kamieni na murze. Kazem i Orypis objeżdżali rydwanem teren budowy, a ja dołączyłem do nich, swoim. Po krótkiej wymianie informacji oddałem swój pojazd w ręce Kazema, aby ten dokończył sprawdzanie kolejnych jej odcinków. Przesiadłem się o rydwanu Orypisa i poprosiłem go o wyjazd na teren kamieniołomu. Tam zaglądaaliśmy tylko, co jakiś czas, gdyż nie było stamtąd żadnych skarg i kamienne bloki przywożono do nas regularnie. Nad całością tych prac czuwali ludzie Ihaba i on sam, a praca odbywała się bez zarzutu. Podziwiałem trud tych ludzi, żmudnie wykuwających ze skalnego monolitu te duże kamienne bloki. Jedni wykuwali, inni obrabiali, a jeszcze inni ładowali na wozy i transportowali w stronę świątyni. Przypominali zapracowane mrówki znoszące budulec do swojego mrowiska. Nasz przyjazd, jak zwykle wzbudzał pewną sensację i ludzie na krótką chwilę przerywali swoje roboty, aby się nam pokłonić. Zsiadłem z rydwanu i poszedłem do nich, aby się czegoś dowiedzieć o ich traktowaniu. Tamci widząc moje nadejście, nadal klęczeli z pochylonymi głowami. Dopiero moje polecenie zmieniało ich postawę. Pytałem o wszystko. Były jakieś drobne uchybienia, ale ogólnie było dobrze. Wody i jedzenia było pod dostatkiem, a i czas na wypoczynek robił swoje. Grupy się zmieniały i prace postępowały bez przeszkód. Po ostatnich wydarzeniach nie było skarg na strażników, a także i relacje pomiędzy robotnikami poprawiły się znacznie. Kiedy wróciłem do rydwanu, Orypis zagadał do mnie:

— Twoja budowa przebiega bardzo sprawnie, Taito. Chyba nawet lepiej, jak ta moja poprzednia?

— To także dzięki tobie, Oryspisie i nie tylko, bo nie jesteśmy tu sami. Każdy, ma tu jakiś wkład w to wszystko i pewnie kiedyś nasz władca to doceni?

— Oby tak było, Taito? — odparł Orypis.

— Ja ci mówię, że tak będzie.

— Obyś miał rację? — dopowiedział.

— Wiesz, mam pomysł — zagadałem do niego, chcąc przerwać tę jałową gadkę — może popływamy?

— Czemu by nie — odparł.

— No to już, jedziemy.

Orypis skierował rydwan w stronę tamy. Tam po zakończonych robotach związanych z produkcją cegły pozostał wielki dół. Ten napełnił się z czasem wodą i stał się miejscem spotkań mieszkańców Ineb — Hedż, chcących zażyć wodnych kąpiel. Dla nas, kapłanów, Orypis wydzielił w nim drewnianymi palami osobne miejsce tak, aby nie stykało się z terenem dla pozostałych. Nie chodziło tu o jakieś

wywyższanie się ponad innych, ale bardziej o nasz celibat. Woda była tam ciepła i bardzo czysta. Zdjąwszy swoje szendit wskoczyliśmy do wody, tylko w samych biodrowych przepaskach. Pływaliśmy od jednego krańca zbiornika, do drugiego, śmiejąc się i prychając na boki. Oprócz nas, nie było tam nikogo. Widocznie inni kapłani byli dzisiaj zbyt zajęci, aby zaznać chłodnej kąpieli?

— „Być może przyjdą tu innego dnia, lub o innej porze?” — pomyślałem.

— Widzę Taito, że humor i zdrowie już ci wróciło po tej chorobie?

— A tak, czuję się o niebo lepiej ale, co przeszedłem, to przeszedłem.

— Wiesz w pałacu mówi się o jakiejś nieznannej chorobie, która wtedy może i ciebie ona dotknęła, a ponoć i sam Nebtawi ma jakieś problemy i jest z nim kiepsko?

— Tak, widziałem się z nim, zanim przyjechałem do ciebie. Nie skarżył się na bóle brzucha i myślę, że jego „chet” opanowała inna choroba? Ta, w połączeniu ze starością, może być dla niego początkiem końca. Próbowałem go zbadać, ale nie wyraził zgody.

— Nasi medycy próbują leczyć tę pierwszą chorobę, ale jakoś bez skutku. Z tego co mówią chorzy mają podobne objawy, jakie i ty miałeś.

— Jeśli tak, to z nią, nie ma problemu — powiedziałem Orypisowi.

Wtedy nie wiedziałem, że się mylę, a moja radość pozbycia się tej dolegliwości nie trwała zbyt długo. Minęło zaledwie kilka dni i ponownie, coś zaczęło się dziać z moimi wnętrznościami. Tym razem było gorzej, bo nawet nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Nawrót dolegliwości nastąpił szybko i nawet się nie spostrzegłem, kiedy wywróciłem się na klepisko przy piecu w naszej kuchni. Nawet nie wiem, co się ze mną działo? Kiedy oprzytomniałem, byłem już w swoim łóżu, oblany potem i jakimś dziwnym niesmakiem w ustach. Nie potrafiłem patrzeć na jedzenie, kiedy dziewczyny przynosiły mi je do łóżka. Nawet czułem wstręt do mojego ulubionego, gotowanego kurczaka. Jako medyk stwierdziłem, że nie jest ze mną dobrze. Neferi na zmianę z dziewczynami czuwała u mojego łóża dzień i noc. Ile było tych nocy i dni? Nie miałem pojęcia, gdyż moje „ka” wędrowało, gdzieś w zaświaty aby, co jakiś czas, wracać do ciała.

To był jeden wielki koszmar. Bałem się tylko, żeby Neferi i moi domownicy nie odebrali ode mnie tej choroby. Jednak o dziwo nic takiego ich nie spotkało. W chwilach świadomości prosiłem Neferi, aby przygotowywała mi mikstury z ziół i minerałów, według moich wskazań. Medykamenty wypróbowywałem na sobie, odczuwając zmiany w swoim „chet”. Ilość składników ulegała zmianie w zależności od moich wskazówek i potrzeb. Powoli dochodziliśmy do składu mikstury, jaki zaczynał już oddziaływać na mój organizm. Brakowało w nim jeszcze, jakiegoś składnika, który całkowicie zlikwidowałby tę dolegliwość. Było lepiej, ale nie całkiem i do końca. W końcu

znalazłem i ten, a były to dwa składniki, a nie jeden.

Pierwszy był jakimś dziwnym korzeniem, którzy przywozili do nas kupcy o żółtej skórce i skośnych oczach, gdzieś zza morza. Korzeń, swoim kształtem przypominał człowieka. Mówiono o nim, że ten korzeń zrodził się z piorunu.

— „Nie wiem, jak to możliwe?”

Wierzyłem im na słowo, chociaż nie całkiem do końca. Ten składnik doskonale wzmacniał mój organizm, lecz wciąż pozostawał problem, żołądkowy. Brzuch bolał, ale teraz już mniej. W wywarze zwiększyłem ilość zioła zwanego piołunem, a także dodałem (więcej) szyszek chmielowych i rumianku. W jego skład wchodziła także melisa, mięta, nasiona lnu i kminku oraz niewielka ilość utartego w proszek, białego kamienia. Wywar był bardzo gorzki i gęsty, że trudno było go przełknąć. Korzeń żółtych ludzi, rozgniałem i wraz z proszkiem białego kamienia dodawałem do ostudzonej już mikstury. Teraz efekt działania mikstury, był już bardzo widoczny. Po dwóch dniach od spożycia tej nalewki, bóle zaczęły szybko ustępować i apetyt wracał. Efektem końcowym dolegliwości było częste bieganie do wygodki i bardzo silne osłabienie ciała. Człowiek po tej chorobie wyglądał, jak zmarły po pierwszym dniu leżenia w domu umarłych. Gdyby nie mikstura i wzmacniający moje „chet”, „korzeń z piorunu”, (jak i ja go zwałem) leżałbym plackiem jeszcze wiele dni i kto wie, jakby się to i dla mnie skończyło.

W pałacu panował strach, przed nieznaną chorobą, jaka i mnie trawiła. Już kilkunastu dworzan za jej przyczyną przeniosło się do krainy Ozyrysa. Hemu — Ka, mieli pełne ręce roboty i zatrudniali do pomocy wszystkich uabu, jacy tylko byli w ich zasięgu. Potworny ból brzucha towarzyszył człowiekowi przez cały czas choroby. Słabszych i cierpiących na inne dolegliwości, często doprowadzało to do śmierci. Błady strach padł na samego Menesa, bo i ten zaczął obawiać się o swoje zdrowie. Z tego, co do mnie dotarło, przeniósł się na jakiś czas do Thynis. Kiedy powrócił, (może za wcześniej) w pałacu nie było lepiej. Wiedział także o moim problemie i przypuszczał pewnie, że i mnie czeka śmierć?

Z lekiem zjawiłem się w ostatniej chwili. Medycy dokazywali wszystkiego, aby pomóc chorym, ale ich wysiłki były daremne. Co jakiś czas, jeden po drugim, słudzy faraona umierali dotknięci zarazą. Nie pomogły kary i pogróżki dla tych, którzy ich leczyli. Choroba była silniejsza od ich umiejętności. Kiedy tylko mogłem stanąć już na nogi, Dar zawiózł mnie wraz z Neferi do pałacu władcy. Pierwsze, co usłyszałem z ust Menesa:

— Ratuju, Taito! Już wiem, że znalazłeś jakiś medykament na to świństwo?

— Tak panie, sam na siebie go wypróbowałem i oto stoję przed tobą, jako człowiek zdrowy, no może jeszcze trochę osłabiony, ale wyzbyłem się już choroby z mojego „chet”.

— Czyń, aby było dobrze, a i dla mnie przygotuj odpowiednią miksturę.

— Oczywiście panie, jak sobie życzysz.

Kazałem sprowadzić na dwór wszystkich odpowiedzialnych za zdrowie dworzan i Menesa. Wysłałem ich wszystkich na targowisko, aby zakupili zioła i minerały, jakie zapisałem im na papirusie. Każdy miał kupić inne. Były tego spore ilości zważywszy na wielu potrzebujących. Choroba szerzyła się także w mieście i na jego prowincjach. Poprosiłem Menesa, aby wstrzymał prace przy budowie świątyni, co jednak przyszło mu z wielkim oporem. Musiałem go przekonać, że jeśli tego nie zrobi, to za jakiś czas nie znajdzie ludzi do budowy świątyni, bo większość podąży na zachód do krainy Anubisa. Wtedy dopiero, usłuchał.

Wszystkie zakupione składniki do mikstury nakazałem zawieźć do mojej lecznicy. Tam na dziedzińcu w kilku wielkich kotłach gotowaliśmy składniki, a potem gotowe już mieszanki wlewali do wielkich dzbanów. Do ostudzonych wywarów dodawaliśmy rozgniecione korzenie i proszek z białego kamienia, zgodnie z procedurą o jakiej wspomniałem poprzednio. W tej niecodziennej produkcji pomagali mi moi przyjaciele: Neferi, Kazem i Orypis. Ja raczej doglądałem jej przebiegu, bo nogi ugiwały się jeszcze pode mną i brakowało mi sił, aby to wszystko przygotowywać. Aby mi się nie wysilał, osobiście dbała o to, Neferi. Gdy nazbyt angażowałem się w jakieś roboty, ta prawie siłą sadzała mnie na zydelku upominając surowo, czego nie wolno mi teraz robić. Nie chciałem, aby inni kapłani poznali sposób przygotowania tej mikstury. Postanowiłem wykorzystać tę okazję i za akceptacją Menesa rozdawałem ją za darmo wśród wszystkich chorych. Jemu samemu powiedziałem, że jego autorytet, jako władcy wzrośnie, kiedy będzie leczył poddanych na swój koszt. Menes, jak zwykle łasy na pochlebstwa ludu posłuchał mojej propozycji i lek wędrował po całym Ineb — Hedż, przywracając ludziom zdrowie. Wszędzie było o nim głośno i przed lecznicą ustawiały się długie kolejki, aby zaczerpnąć wywaru. Wymusiłem też na władcy, by nie karał medyków za ich niepowodzenia. Niestety, podczas mojej słabości kilku z nich, już zostało skazanych na Nil. Kilku zawdzięczało mi życie, ale nie chciałem ich podziękowań, bo i tak pewnie by tego, nie docenili?



Śmierć starego arcykapłana

Zanim mikstura została upowszechniona z powodu tej choroby zmarł także arcykapłan, Nebtawi. Kiedy widziałem go po raz ostatni żadnym grymasem na twarzy nie zdradził swojego cierpienia. Sam przekonałem się, jakie są to bóle i jak znosi je nasze chet.

Odszedł wielki arcykapłan Ptacha i powiernik Menesa. Ogłoszono żałobę w całym Kemecie. Zwykle, jak to bywa, najgłośniejsze jest zawsze w miejscu, które dotyczy tej osoby. Im dalej, tym mniej o nim mówiono. Mieszkańcy Ineb — Hedż będącego obecną stolicą państwa, przeżywali jego odejście w wielkim żalu.

Bezpośrednio po jego śmierci zostałem wezwany do pałacu władcy i to była przełomowa w moim życiu, chwila. Wizyta zaczęła się niepozornie, a później, przeszła w poważną rozmowę. Rozmowę o mojej przyszłości. Menes informując mnie o śmierci arcykapłana, nakazał mi zajęcie się jego pochówkiem. Ten, miał być godnym jego dostojństwa.

Na moje polecenie ciało przeniesiono do domu zmarłych i tam złożono na jednym ze stołów, gdzie miały trwać przygotowania do ostatniej jego wędrówki. Wolą Menesa było, abym wyznaczył kapłanów do tych prac.

— Taito, co proponowałbyś, jeśli chodzi o miejsce, gdzie by mógł spocząć Nebtawi?

— Panie, nie widzę godniejszego miejsca dla tego wielkiego człowieka i arcykapłana, jakim byłaby Sokara. Tam wielki Sokaris, bóstwo nekropoli zapewni mu wielki spokój, po wsze czasy. Jeśli taka będzie twoja wola, panie. Jeśli wyrazisz zgodę, natychmiast skieruję tam kamieniarzy, którzy przygotowują miejsce dla jego doczesnych szczątków. Skieruję tam także i Orypisa, aby osobiście nadzorował tę budowę, gdyż ufam jemu i wiem, że bez zarzutu wypełni moje polecenie.

— A myślałeś może o podziemiach świątyni, aby tam ...-? Nie dokończył.

— Tak panie, ale świątynia nie jest miejscem spoczynku dla zwykłych śmiertelników i nie ujmujemy godności temu wielkiemu człowiekowi, powierzając go Sokarisowi.

— Może masz rację, kapłanie — odparł Menes — wołaj Orypisa i niechaj wszyscy czynią swoją powinność.

— Tak panie, zaraz wracam.

Oddaliłem się sprzed oblicza władcy i wydałem nakaz jednemu z uabu, aby sprowadził mojego zastępcę. Kiedy ten się pojawił, oznajmiłem mu wolę faraona i wróciłem ponownie do sali tronowej. Menes chodził wokół, pstrykając nerwowo palcami. Skinieniem ręki odprawił z niej wszystkich dworzan, zostawiając tylko mnie, trzeciego proroka — Kahotepa i kapłana Awi.

— Ta rozmowa będzie dotyczyła tylko nas i ani jedno słowo, nie może wyjść poza tę salę. Zrozumieliście! — dodał z naciskiem.

— Tak, panie.

— Taito, odpraw także moją przyboczną straż i niech wraz z urzędnikami opuszczą wszystkie pomieszczenia w pobliżu sali tronowej. Tam nie powinno być nikogo, zrozumiałeś kapłanie!

— Tak, panie idę wypełnić twoje polecenie.

Kiedy uporałem się ze strażami i urzędnikami wróciłem ponownie przed oblicze faraona.

Nakazując pozostanie tej naszej trójki, domyśliłem się do czego zmierza? Jakby na potwierdzenie moich myśli, Menes, tak zaczął swoją mowę:

— Sprawa dotyczy skarbu wielkiego Ptaha i tego, co jest z nim związane, to musi pozostać w tajemnicy. Ostatnie słowa, jakie usłyszałem od odchodzącego już do krainy naszych przodków, wielkiego arcykapłana, Nebtawi'ego dotyczyły ciebie, Taito. Dotyczyły także i was kapłani, wielcy strażnicy skarbu świętego przybytku naszego bóstwa. Nebtawi pragnął, abyś ty, Taito panował na tym arcykapłańskim stanowisku, kiedy jego nie będzie już pośród nas. Jak wiesz, decyzja należy także do mnie. Może tylko do mnie — dopowiedział to, podkreślając tym samym swoje znaczenie.

— Tak panie, twoja wola jest święta, a my twoi słudzy, ją spełnimy. Kiedy coś postanowić i nakażesz, tak będzie o wielki — zagadałem do Menesa.

Ten kontynuował swoją wypowiedź:

— Powiem, że nie musiałem się zbytnio nad tym zastanawiać, bo i ja jestem za wywyższeniem cię do godności arcykapłana.

Na te słowa nogi ugięły się pode mną i zrobiło mi się jakoś dziwnie. Spełniała się przepowiednia o jakiej dawno już wiedziałem, a teraz słowa faraona potwierdziły jej zgodność. Twoje ostatnie czyny i uleczenie ludzi z mojego otoczenia, a także moich pozostałych poddanych, przesądziły o tej decyzji. Ty będziesz teraz odpowiedzialny za skarby naszej świątyni, a należące do wielkiego Ptaha. Myślę, że te będą bezpieczne w moim królewskim skarbcu, do czasu, kiedy wrota świątyni zostaną otwarte dla ludu. Potem skarby muszą się znaleźć w jej podziemiach.

— Wybacz, panie — odparłem Menesowi. Po stokroć wybacz, co teraz chciałbym ci przekazać o wielki. Nie każ mojej śmiałości, a wysłuchaj mojej rady w tej sprawie. Potem zadecyduj, co zrobić ze skarbem i ze mną.

To była trudna dla mnie chwila. Mogłem zyskać wiele, ale stracić wiele, także i swoją głowę. Utrata dostojęstwa byłaby tylko drobiazgiem wobec tego, co mogło mnie teraz spotkać. Wtedy pierwszy raz odczułem bardzo mocno strach przed władcą. Bałem się, jak nigdy dotąd.

— Mów Taito, mam do ciebie zaufanie.

— Panie, zanim odszedł nasz czcigodny sługa wielkiego Ptaha, arcykapłan Nebtawi, zostałem wezwany przed jego oblicze. Ujawnił przede mną tajemnice wielkiego skarbcza świątyni. Wierz mi o wielki, że nie ma lepszego miejsca, aby nadal były tam przechowywane. Obecnie tylko trzy osoby wiedzą o wejściu do niego, a o wszystkich zabezpieczeniach i pułapkach, tylko ja. Jeśli, któregokolwiek dnia, wołą twoją Panie, będzie zobaczyć to wszystko, to zawsze jestem gotów na twoje wezwanie. W mojej głowie zrodził się także pomysł, aby skarb, pomimo otwarcia nowej świątyni pozostał na swoim miejscu.

Tu opowiedziałem Menesowi, jakbym widział całą tę sprawę, wraz z fałszywymi pogłoskami na temat przewiezienia skarbu w nowe miejsce.

— To ciekawe, co mówisz, Taito i nawet rozsądniejsze, niż ja to sobie wymyśliłem. Szkoda byłoby twojej głowy na zatracenie. Te ostatnie dodał żartem, uśmiechając się przy tym znacząco.

— Panie, to nie wszystko, mam jeszcze coś do powiedzenia.

— Na co czekasz, mów?!

— Już mówię, łaskawy. Jak wiesz Nebtawi odszedł i w chwili obecnej tylko ja i obecni tu dwaj kapłani mamy pieczęcie do skarbcza. Nikt z nas nie zna chwili, kiedy może znaleźć się przed obliczem Ozyrysa, więc byłoby dobrze, aby mieć czwartego kapłana w zanadrzu. Moglibyśmy go wtajemniczyć we wszystkie tajemnice skarbcza, ale pieczęć otrzymaliby dopiero z chwilą śmierci jednego z nas. Tylko ty o władco i my trzej wiedzielibyśmy, kto pełniłby funkcję, dodatkowego strażnika.

— O kim myślisz, Taito? — zapytał zaciekawiony faraon.

— Panie, on jeszcze o tym nie wie, ale zamyślam coś odnośnie Orypisa. Tu jednak proszę cię o wielki o trochę czasu, abym dokładnie mógł przemyśleć swoją propozycję.

— Masz moją zgodę, ale zanim święte balsamy arcykapłana pokryją twoje ciało, to chciałbym poznać tę decyzję.

Nie wspominałem władcy o pochodni, gdyż ten przedmiot był tajemnicą, dotyczącą nawet jego.

— Tak, będziesz wiedział o wielki, co postanowiłem.

— Myślę, że to dobry wybór, Taito, (dotyczący Orypisa) ale masz rację, że trzeba być pewnym.

— Co do was, moi bracia kapłani, także mam pewne zadanie — zwróciłem się do Kahotepa i Awi'ego — kiedy nadejdzie pora, w pozornej tajemnicy przewiezicie to wszystko, co niby ma znaleźć się w nowej świątyni. Oprócz nas, nikt nie wie ile jest tych kosztowności i nikt nie może wiedzieć z jakiego miejsca w starej świątyni je wyniesiono. Twoje wozy, o wielki, pod osłoną nocy i w asyście kilku zbrojnych Akara, wywiozą zalakowane skrzynie, napełnione kamieniem. Wy bracia, oraz dwóch wyznaczonych do niesienia, będziecie towarzyszyć skarbowi

w ich pozornej wędrowce do skarbcza w nowej świątyni. Ze starego sanktuarium wyniosą je dwaj wyznaczeni do tego kapłani, a i ci nie będą wiedzieć skąd się tam wzięły. Tych dwóch wybiorę osobiście. Oni, wraz z gwardzistami muszą złożyć przysięgę o dochowaniu tajemnicy. Napełnieniem i zalakowaniem skrzyń w sanktuarium zajmiemy się osobiście w trójkę. Kiedy skrzynie znajdą się na miejscu, złożycie je w nowym sanktuarium przed posągiem bóstwa. Tam będę na was czekał i drzwi do świętego miejsca nie będą wtedy zalakowane, zapieczętujemy je dopiero po wyjściu. Kiedy ci dwaj kapłani odejdą, my usuniemy kamienie ze skrzyń. Rankiem każemy usunąć także i skrzynie, sanktuarium będzie puste i z tego wynikać będzie, że kosztowności zostały już ukryte w podziemiach nowego skarbcza. Pewnie rozejdzie się wiadomość o przeniesieniu skarbcza, (bo i po co, budowano by ten drugi, nowy?) więc nikt nie wpadnie na to, że nic się nie zmieniło? Wszystko musi przebiegać zgodnie z planem, jak postanowiłem i oczywiście za twoim przyzwoleniem, o wielki.

Menes przysłuchiwał się mojej wypowiedzi, a potem tylko znacząco pokiwał głową na znak zgody.

— Tak czyn, Taito, jak powiedziałeś — potwierdził — od dawna podziwiam twój spryt i przebiegłość szakala, a taką, mało kto posiada.

— Panie, wszystko będzie według twojej woli. Dziękuję także tobie i nieżyjącemu już arcykapłanowi za ten zaszczyt, jaki mnie spotkał z waszej łaski. Zrobię wszystko, abym stał się godnym piastowania tego wysokiego urzędu.

— Dopóki Nebtawi nie spocznie w swoim grobowcu, przemilczymy sprawę wyboru nowego arcykapłana. Dla ciebie Taito mam jeszcze jedną zaszczytną funkcję, jaką będziesz pełnił u mojego boku — zwrócił się do mnie Menes — czy domyślasz się, jaką?

— Nie, panie?

— Znając twoją bystrość, to powiedziałbym, że teraz kłamiesz.

Musiałem zaprzeczyć, chociaż domyślałem się, że Menesowi chodzi o rolę medyka — no i skłamałem.

— Nie wiem o wielki, o czym myślisz?

— Już ty dobrze wiesz, ale nie będę tego przeciągał. Od tej pory zostajesz głównym medykiem na moim dworze. Wyznaczysz także kapłankę, która zajmie się kobietami z mojego haremu i pałacu. Pewnie znasz nie jedną i biegłą w sztuce odbierania porodów?

— Tak panie, już mogę powiedzieć ci o Neferi, kapłance Hathor. Ta dziewczyna ma wielką praktykę w tych sprawach i nie tylko. Pomaga mi od wielu lat w leczeniu chorych.

— Zaraz wiedziałem o kim wspomnisz, ale to dobrze — odparł Menes — możesz jej przekazać, że od dzisiaj otrzymuje złoty pas medyka w leczeniu niewiast na moim dworze. Niechaj jutro zjawi się przed moim obliczem, abym

mógł osobiście przyjrzeć się tej kapłance. Pewnie będzie musiała dobrać sobie, jakąś kobiecą pomoc w tych sprawach, ale pozostawiam tę sprawę, jej decyzji. Teraz wracajmy do swoich zajęć — dodał jeszcze.

— Panie, znasz już tę kapłankę i jak żądasz, ta pojawi się jutro w twoim pałacu — dodałem na odchodnym.

Pokłoniłem się wraz z kapłanami przed obliczem naszego władcy i wyszliśmy z sali tronowej. Obaj gratulowali mi kolejnego zaszczytu, ale jaki to zaszczyt? Kolejne obowiązki i służba. Nie mogłem tego głośno mówić przed tymi dwoma, bo gdyby moje słowa dotarły do faraona, ten mógłby to uznać za zniewagę względem swojej boskiej osoby.

Pożegnałem się z Kahotepem i Awi'm i udałem się do domu zmarłych. Spośród kilku wprawnych w sztuce balsamowania, wybrałem dwóch do przygotowania ciała Nebtawi'ego. Necherchor i Sermenes otrzymali tę zaszczytną funkcję obcowania z ciałem zmarłego. Wiedziałem, że zrobią to z należytą czcią, a także i dobrze pod względem sztuki medycznej. Przed domem umarłych, swoje usługi proponowało też kilku rzemieślników (dłubaczy), jak zwaliśmy tych, co przygotowywali skrzynie do pochówku, zwane u nas drewnianymi sarkofagami. Jeden z dłubaczy o imieniu Meti, (jak mój skryba), zatrudniał do pomocy starego kapłana Setha, który dawno porzucił świątynną służbę i za odpowiednią opłatą ozdobił skrzynie malowidłami i modlitwami. Odkąd zrezygnował ze swojej funkcji, bardzo często widywano go chwiejącego się na nogach, albo śpiącego przed znanymi w okolicy karczmami. Ponoć niektórzy mówili o nim, że ma jakieś kontakty z Sokarisem i czasem nocami włóczy się po nekropoliach, jakby szukał tam, Anubisa. Ludzie się go bali i unikali, jak zarazy. Nikt mu nie zazdrościł, bo ponoć spoczywała na nim klątwa Setha za porzucenie służby. Pomimo takiego zachowania, do tej pory nie spotkała go żadna kara ze strony bogów, a nawet i kapłanów. Ci ostatni nie lubili takich, co porzucają swoją służbę i łamią przysięgę złożoną bóstwu.

Sarkofagi w wykonaniu tego nieszczęśnika, były to prawdziwe cudenka, tym lepsze, im więcej mu za nie zapłacono. Menes też nie żałował pieniędzy i dłubacz wraz z kapłanem zabrali się do pracy. Ode mnie, (z polecenia Menesa) otrzymali tylko część zapłaty, resztę miałem przekazać, kiedy ukończą swoje dzieło i dostarczą skrzynię kapłanom do domu umarłych.

Od dłubaczy, udałem się do świątyni Hathor, aby zamówić płaczki i strojenie grobowca, kiedy zostanie ukończony, a przed złożeniem w nim sarkofagu. Z tym także nie było problemu, gdyż kapłanki znały mnie od dawna i chętnie pomagały, jak ja, im. Kiedy wszystko załatwiłem, poszedłem do siebie i zacząłem przygotowywać zwoje modlitewne z tekstami księgi umarłych, podkreślając w nich imię zmarłego i wielkość jego życiowych dokonań. Te zwoje były niejako naszym podziękowaniem za wszystko to, co nas dobrego spotkało ze strony tego wielkiego

człowieka. Jego imię wymieniałem wielokrotnie, aby Ozyrys nie miał żadnych wątpliwości, o kogo chodzi. Moje dziewczyny i chłopcy przyglądali się, jak znak po znaku, zacząłem zapełniać rulony papiirusu. Przy okazji opowiadałem im, co oznaczają poszczególne symbole i znaki. Ned znała tylko nieliczne, ale powoli uczyła się przy mnie czytania i pisania. Także i pozostali moi domownicy wyrazili chęć nauki i poznania tej sztuki, dostępnej tylko nielicznym. Dlatego też w wolnych chwilach uczyłem ich pisania na glinianych tabliczkach. Papiirus był zbyt drogim materiałem, aby mógł służyć przy nauczaniu, tym bardziej, że już nie zajmowałem się jego produkcją, jak kiedyś.

Przygotowanie ciała arcykapłana do ostatniej jego drogi, trwały prawie pół jednego trymestru. Wszystko przygotowywano wolno i dokładnie, aby zapewnić „ka” zmarłego, jak najwspanialszą podróż po krainie Ozyrysa i Anubisa. Nikt z żyjących nie miał wątpliwości, że zmarły arcykapłan dostąpi tam wielkich łask ze strony naszych bogów. Te nasze poczynania musiały dopełnić reszty wszystkich ceremonii pogrzebowych.

W tym czasie, kiedy przygotowywano się do pogrzebu arcykapłana, choroba została opanowana i ludzie mogli wrócić na plac budowy, świątyni. Prace ruszyły i warstwa, po warstwie, mury wznosiły się ku niebu. Montowano drewniany strop sanktuarium i pobliskich izb kapłanów. Rozpoczęto także wykuwanie kamiennych postumentów pod posągi naszych bóstw. Te wstawiano we wnęki w murze, jakie do tego celu wcześniej przygotowano. Podziwiałem naszych kamieniarzy, kiedy z kamiennych brył zestawiano elementy posągów. Te ustawione do pionu, obrabiano z rusztowań wykonanych z długich drewnianych drągów, powiązanych sznurami. Na białych kamieniach wyrysowywano wstępnie kształty postaci czarnymi węglkami z ognisk. Potem wykuwano delikatnie kształty posągu, nadając im odpowiedni kształt twarzy, rąk, nóg i innych części ciała każdego bóstwa. Te prace odbywały się wolniej, ale świadczyły już o zbliżającym się nieuchronnie, końcu budowy. Według mojego rozeznania, prace zostaną ukończone za jakiś jeden, lub góra dwa wylewy Nilu. Menes czasami pytał mnie o ten termin, więc mówiłem mu, że ten przyjęty jest możliwy, jeśli tylko znowu, jakaś choroba, lub wielki wylew naszej świętej rzeki nie pokrzyżują naszych planów. To bardzo cieszyło władcę i kiedy był w dobrym humorze potrafił być łaskawym dla nas, budujących. Od czasu, do czasu, trafiała się nam sakiewka pełna złotego kruszcu. Na ten ostatni musiałem znaleźć sobie jakiś schowek w mojej izbie. Taki, wymyśliłem pod moim legowiskiem, zabezpieczając i maskując go bardzo dokładnie. Nawet moi przyjaciele go nie znaleźli, dopóki im nie pokazałem, gdzie się znajduje. Ufałem im wszystkim, a oni mnie. Z kolei i oni doznawali moich łask, a ich sakiewki znacznie urosły od czasu, kiedy ich kupiłem. Wtedy nie mieli nic i sami byli towarem. Teraz żyli w miłości i poszanowaniu, jakiego nigdzie nie mogli by spotkać. Ich zawsze uśmiechnięte buzie były dla mnie miarą

ich zadowolenia. Nasze życie upływało spokojnie i z błogosławieństwem wielkiego Ptaha. Podobnie było z tymi, z którymi trwała moja więź.

Kazem od czasu, kiedy został mężem i ojcem, przytył nieco i teraz poruszał się wolniej, jak człowiek majątny, który prowadzi życie pełne wygód. Tak też było w rzeczywistości. Nie zazdrościłem chłopakowi i jego rodzinie, zbyt wiele kiedyś ucierpieli. Byłem dla nich ojcem, dziadkiem i wujkiem w jednej osobie.

Podobnie było z Orypsem. Ten jednak był samotnikiem żyjącym jak i ja w celibacie. Dla nas budowa była na pierwszym planie. Także i pomoc w leczeniu biedaków nie ustawała. Nasza lecznica była zawsze pełna chorych, ale nikt nie opuszczał jej murów, póki nie udzielono mu pomocy. Leczone ziołami, krojono, nakazywano, radzono. Także zdarzało się, że i głód był chorobą, więc i jedzenie było naszym medykamentem. Także i Kazem na drugim krańcu miasta, nie ustawał w leczeniu.



Pogrzeb

W końcu minął czas przygotowania ciała Nebtawi'ego do pochówku. Niestety, jego najbliższa rodzina nie pojawiła się i nie odprowadziła zmarłego do Sokary. Nikt nie wiedział, dlaczego nie przybyli, chociaż nasi starsi hemu — neczer wysłali do nich gońca z wiadomością o śmierci ich krewnego.

Za poleceniem Menesa, dzień pogrzebu arcykapłana ustanowiono dniem wolnym od wszelkich prac. Jednak każdy mieszkaniec Ineb — Hedż, (oprócz chorych, małych dzieci, ciężarnych kobiet i starców) został zobligowany do uczestniczenia w pogrzebie. Czegoś takiego, jeszcze nigdy nie widziałem w moim życiu.

Do Sokary wyruszono z domu umarłych rankiem, kiedy wielki Ra nie grzał zbyt mocno naszych ciał. Kondukt był olbrzymi. Niemal całe miasto wyległo na

ulice i jedynie drużyna pałacowej gwardii, pilnowała majątku władcy. Z pięć setek płaczek, poprzedzając wóz z sarkofagiem, zawodziło i jęczało jednym głosem nad zmarłym. Za płaczkami maszerowali w równych szykach zbrojni Menesa, tych było około dziesięciu setek. Ich wypolerowane miecze i groty włóczy lśniły w promieniach wielkiego Ra. Każdy oddział poprzedzał setnik na swoim rydwanie. Wśród tych prowadzących, byli także moi bracia. Przybyli na tę uroczystość z odległych stron Kemetu, a każdy z setką podległych sobie gwardzistów. Tam na dalekich krańcach naszej ziemi prowadzili walki z buntownikami i lokalnymi rabusiami. Po pogrzebie miałem okazję, aby tylko przez chwilę z nimi porozmawiać, gdyż znowu wracali na swoje placówki. Byli ze mnie dumni, a ja z nich. Powiedzieli mi, że jak tylko znajdą się w rodzinnym domu, to te wszystkie wiadomości o mnie, przekażą naszej rodzinie i znajomym. Bracia zmężnieli od czasu, kiedy widziałem ich ostatnio. Obydwaj, jak wspomniałem byli już setnikami, a ponoć kroił się im dalszy awans na zastępców dowódcy gwardii. Znałem ich możliwości, więc pewnie wkrótce moi bracia dostąpią tych zaszczytów. Wspaniale prezentowali się w swoich strojach i z uzbrojeniem, cóż ja nie miałem żadnego pociągu do wojaczki. Chwila spotkania była krótka i dopiero po raz kolejny spotkałem ich wiele lat później w swoim rodzinnym mieście. Tam mieli już domy, żony, dzieci ...

W kondukcje za zbrojnymi w białym i strojnym rydwanie jechał sam wielki, Menes w towarzystwie Akara i jego woźnicy. Za nim podążali czarni niewolnicy z wielkim wachlarzami, oraz grupa sług i dworskich urzędników. Tuż za nimi, maszerowała kolejna setka gwardzistów z przybocznej straży faraona, która zapewniała bezpośrednio bezpieczeństwo swojemu władcy.

Wóz wiozący sarkofag przybrano kwiatami i gałązkami palm. Na drugim wozie umieszczono wszystko to, co należało do zmarłego, a mogło się mu przydać w jego wędrówce na zachód. Arcykapłan był bardzo skromnym człowiekiem i zawsze nam mówił, że kubek wody i chleb mu wystarcza. Miał trochę złota, ale nie było tego zbyt wiele, jak na człowieka z jego rangą. Resztę jego dobytku stanowiły dary, jakie otrzymał od władcy i swoich znajomych.

Mnie, jako nieoficjalnemu następcy Nebtawi'ego, przypadła rola starszego kapłana i lektora, (cher — heba) prowadzącego tę smutną ceremonię. Nie chcąc znowu narazić się Menesowi nie szedłem pieszo za sarkofagiem, ale skorzystałem ze swojego rydwanu, którym powoził dzisiaj, Dar. Obok mnie jechał na swoim Kazem z Orypisem. Potem trójkami, (już pieszo) postępowali starsi kapłani hemu — neczer, a za nimi ci młodszy, uabu. Kondukt zamykali mieszkańcy Ineb — Hedż. Wśród nich także byli i moi przyjaciele. Był to jeden wielokolorowy tłum posuwający się niczym wąż, ulicami miasta. W tym orszaku można było dostrzec różnicę dobrobytu w jakim żyli urzędnicy, a w jakim, chłopci. Ci pierwsi, strojni złotem, poruszali się dumnie, niczym napuszone pawie, które chcą górować nad

innymi ptakami. Taki widok zawsze mnie drażnił, więc wolałem nie patrzeć w ich stronę. Zdawałem sobie jednak sprawę, że i ja, tak jestem odbierany przez tych biedaków. Musiałem jednak wypełniać swoją rolę, aby im pomagać, nie oczekując w zamian, żadnej wdzięczności.

Orszak przesuwał się wolno i majestatycznie, pokonując kolejne odcinki drogi. Sokara nie było położone zbyt daleko miasta i poruszając się wolno, cały ten ludzki tłum dotarł na miejsce przed południem.

Wejście na teren nekropoli wyznaczały dwa duże pylony, które symbolicznie wyznaczały granicę dwóch światów, świata nas żywych i świata bogów, a także umarłych. U ich podnóża spoczywały dwa duże kamienne sfinksy, które strzegły spokoju tych, którzy byli już po tamtej stronie.

Przed pylonami na kondukt oczekiwało już dwunastu hemu — ka na czele ze starszym kapłanem. Ten starszy, zatrzymał nasz orszak. Kapłani, na czele z swoim przełożonym podeszli do wozu z sarkofagiem, niosąc na swoich ramionach nosze o długich żerdziach. Każdy drąg noszy, trzymało po trzech kapłanów. Ten główny niósł ze sobą wielki zwój papiirusu z tekstami księgi umarłych. Kapłani przełożyli trumnę na nosze i teraz rozpoczęto ceremonie pogrzebowe.

Pierwsze modlitwy za zmarłego, były w moje gestii. Musiałem też przypomnieć wszystkie jego zalety i pokrótce, jego życie do tego posłużyłem się tekstem, który wcześniej przygotowałem. Kiedy skończyłem, ten starszy kapłan, (także lektor) zwrócony twarzą ku zachodowi, tekstami z księgi umarłych, rozpoczął modlitwy powitania zmarłego, a także opiewania jego doczesnego, dobrego życia. Wzywał też Anubisa, aby poprowadził zmarłego do bram zaświatów. Po trzykrotnym wezwaniu bóstwa, poprzez uderzenie heką o skałę z grobowca wyszedł jeden z kapłanów przystrojony w maskę tego bóstwa. To był najważniejszy moment pogrzebu, rozgrywający się jeszcze na oczach ludu. Cały ten orszak klęczał na ziemi, bijąc pokłony wychodzącemu spod ziemi Anubisowi. Jedyne my, kapłani wraz z faraonem, staliśmy w pozycjach na wpół pochylonych w kierunku zachodu, skąd przychodził Anubis.

Anubis, gestem trzymanej przez siebie heki, nakazał podniesienie noszy tej dwunastce hemu — ka i odwróciwszy się do nas tyłem, skierował się w miejsce, skąd przyszedł. Kapłani podążyli za nim, niosąc na ramionach nosze ze zmarłym. Odchodzącego żegnał jeszcze większy lament płaczek. Także i wielu z tłumu, płaczem żegnało tego zacnego dostojnika, a i wspaniałego zarazem, człowieka. Kiedy ostatni z hemu — ka zniknęli w podziemiach, nakazałem zakończenie ceremonii i powstanie z klęczek.

Zapanowała jakaś dziwna cisza, może przez płaczki, które skończyły już swoje lamenty? Kiedy tłum zaczął się rozchodzić, ja, Orypis i Kazem udaliśmy się do grobowca. Wraz z nami poszło także trzech hemu — neczer z rady starszych. Gwardziści Menesa stanęli u wrót podziemi, zamykając tym samym wejście dla

ciekawskich. Tych nawet nie było, gdyż ludzie bali się zaświatów, gdzie podążał zmarły. Przy wejściu, gwardziści wręczyli nam zapalone już łuczywa. Dla nas ceremonie pogrzebowe nie były nowością.

Po wejściu do grobowca, szliśmy gęsiego bardzo wąskim gankiem. Ten rozwidłał się na końcu, ale według pierwszych moich spostrzeżeń, oba ganki prowadziły w kierunku zachodu. Poprosiłem Orypisa, aby poprowadził. Ten skierował się do lewego chodnika, informując nas przy okazji, że z jednego i drugiego, nikt żywy nie wyjdzie.

— To pierwsza pułapka — dodał, wskazując złotą bransoletę leżącą o pół włóczni od wejścia do prawego chodnika.

— Nie pytam Orypisie, co tam znowu wymyśliłeś, ale pewnie jak zawsze, będzie to skuteczne na tych, co naruszają spokój tego miejsca.

— Jak wiesz, postąpiłem według twoich wskazówek i te pierwsze pułapki tylko wystraszą te cmentarne hieny, ale później nie będzie już żartów.

Migoczące światła pochodni dodawały temu miejscu niesamowitej tajemniczości. Szliśmy wolno, rozglądając się wokół. Na ziemi leżało kilka ludzkich czaszek i szkieletów.

— Skąd to masz? — zapytałem Orypisa.

Odparł krótko:

— Pustynia zabrała im ciała, a nam dała tę resztę.

Nie trzeba było tego tłumaczyć, wielu tam pozostało, nie zawsze z własnej woli. Teraz ich „ka”, pewnie błądzą po ziemi, lub w zaświatach, nie mogąc znaleźć wiecznego spokoju? Taki widok ludzkich kości, odstraszy wielu.

Po chwili Orypis doprowadził nas do niewielkiej komory, w której czerniały cztery wyjścia. Z jednej z nich, padał słaby blask światła pochodni, który wskazywał, że ta jest właściwą komorą grobową.

— A co tam ukrywasz w tych trzech pozostałych? — zapytałem Orypisa.

— Takie zabawki, dla niegrzecznych — odparł żartobliwie — w tej pierwszej wisi duży kamyczek, który spadnie na głowę, w drugiej włócznia i kilka strzał w piersi na powitanie, a trzecia uraczy cię niezdrowym powietrzem, jeśli zrobisz o jeden krok za daleko.

— A komora główna — zapytałem jeszcze.

— W przejściu do niej, wszystkie zabawki, jak w dwóch poprzednich, a w niej samej, zatrute powietrze. Oczywiście na wszystkich wejściach, (jak widzisz) widnieją napisy z przekleństwami, jakie dotkną tych niepowołanych w tym miejscu, gości.

— Spisałeś się dobrze, Orypisie, pewnie za tę budowlę nie będzie złota, ale ona przysporzy ci chwały budowniczego.

Orypis przemilczał moją wypowiedź. Odparł tylko:

— Jeszcze porozmawiamy o tym, Taito.

Wyczułem, że mój przyjaciel, coś teraz ukrył przed pozostałymi kapłanami, pewnie obawiając się także ich wizyt.

Po chwili weszliśmy do komory grobowej. Kapłani wstawili pochodnie do wnęk wykutych w ścianie i te oświecały teraz, całe to ponure wnętrze. Kopciły przy tym strasznie, zaczerniając wokół siebie biały kamień, w którym wykuto te pomieszczenie.

Na tronie pod ścianą, siedział kolejny kapłan w masce Ozyrysa. W masce była także sama Izyda i bogini sprawiedliwości, Mat. Te kobiece role, także odgrywali kapłani. Ze względu na wielkość pomieszczenia, ceremonie musiały zostać ograniczone do minimum osób, biorących w nich udział. Już samo wniesienie sarkofagu do tego wnętrza, musiało być nie lada problematyczne, ze względu na jego ciężar, a także i gabaryty. Chemu — ka byli jednak specjalistami w takich sprawach. Drewniany sarkofag stał pod jedną z ścian komory, gdzie wykuto niewielką wnękę odpowiadającą wielkości drewnianego sarkofagu. Tam zostanie złożone ciało zmarłego arcykapłana, wraz z urnami zawierającymi ważniejsze wewnętrzne części jego ciała. Serce wkładano ponownie do ciała, przed zawianiem w bandarze, aby te mogło służyć do osądzania zmarłego przez boskich sędziów: Ozyrysa, Mat, Izydy, oraz pozostałej reszty bóstw wraz z asesorami. Na środku ustawiono, a raczej wykuto w kamieniu drugi sarkofag, który miał być fałszywką, głównego miejsca pochówku, (tego w ścianie). Po przeciwległej stronie, wykuto drugą, mniejszą wnękę, będącą schowkiem na dobra osobiste zmarłego. Wszystkie pozostałe przedmioty codziennego użytku, umieszczono na podłodze obok kamiennego sarkofagu Poukładano je tak, że robiły wrażenie, że jeszcze przed chwilą ten człowiek z nich korzystał.

Kiedy uczestnicy ceremonii, byli już na swoich miejscach hemu — ka, przedstawili symbolicznie obrządek osądzania zmarłego przez naszych bogów, według odczytywanego przez lektora, tekstu z księgi umarłych. Kiedy ukończono te ceremonie, kapłani wstawili drewniany sarkofag wraz z urnami do kamiennej wnęki i tę zasunęli kamienną płytą. Płyta pasowała idealnie do ściany i trzeba było dobrego wzroku, aby widzieć, że za ścianą ukryto, jakieś kolejne pomieszczenie. Podobnie zrobiono z kosztownościami arcykapłana. Nie było ich wiele, jak mówiłem wcześniej, ale i te ukryto w drugiej wnęcie. Zanim jednak zasunięto kamienną płytę przed sarkofagiem, podszedłem do tej drewnianej skrzyni i położywszy na niej rękę wypowiedziałem kilka słów pożegnania do naszego mistrza. W tym momencie, poczułem się jakoś nieciekawie i łyzy cisnęły mi się do oczu, jednak nie płakałem. Z tym uczuciem nadeszła znowu do mnie, jakaś zapomniana chwila z lat młodości, jednak i tę nadal skrywał całun zapomnienia. Otrząsnąłem się tylko i wróciłem myślami do obecnej chwili.

Jeden po drugim opuściliśmy komorę. Na końcu szedł Orypis zasuważąc za sobą drzwi. Korzystając z sytuacji, że pozostali nie patrzyli na jego poczynania,

stopą wcisnął, jakąś kamienną kostkę znajdującą się w dole korytarza, tuż przy wejściu do komory. Coś zgrzytnęło, jakby we wnętrzu skały i to był cały efekt jego działania. Kostka po chwili wróciła na swoje miejsce i znowu była prawie niewidoczna, jak poprzednio. Wykonując ten ruch, kapłan położył wskazujący palec na swoich ustach, co oznaczać mogło tylko jedno, milczenie. Zorientowałem się, że to kolejna pułapka Orypisa.

— „Pewnie później mi opowie, jakie kolejne powitanie urządził ludzkim hienom, szukającym złota w tym grobowcu”.

Kiedy wracając, doszliśmy do rozwidlenia korytarza, Orypis znowu nacisnął na jakiś niewielki kamień, znajdujący się pod stropem głównego korytarza. Potężny głaz zleciał z góry, blokując przejście do rozwidlenia. Teraz już bez żadnych przeszkód wyszliśmy z grobowca. Tu kolejny kamień poleciał w dół, tarasując tym samym wejście główne. To nie było wszystko. Orypis poprosił mnie, abym jeszcze chwilę pozostał przy wejściu, a kiedy hemu — ka i nasi hemu — neczer odeszli, ten uderzył swoją heką w niewielki drąg wystający z ziemi. Ten, widocznie poruszył, jakąś dźwignię i piasek znajdujący się w pobliżu, zaczął obsuwać się, gdzieś w głąb ziemi, tworząc na powierzchni pokaźny lej. Teraz dopiero zorientowałem się, że piasek zasypuje wejście do grobowca. Orypis wyjął ten drąg i wyrzucił za pylony. Ruszył przed siebie, kierując się (jak mi się wydawało) wzdłuż podziemnego korytarza. Faktycznie po trasie jego przejścia, co jakies kilka długości włóczni, wystawały z ziemi kolejne drągi. Z nimi postępował podobnie. Piach zniknął gdzieś w podziemiach, zasypując pewnie główny korytarz. Kiedy wrócił zapytałem o te, czynności.

— Tak, Taito, piasek zasypuje korytarz. To potrwa jeszcze przez dłuższą chwilę. Muszę teraz poczekać, aż wszystko zapełni się według mojego planu.

— A co tam, zrobiłeś za niespodziankę przed główną komorą. Widziałem, że tej nie chciałeś ujawniać nikomu z naszych, a także i hemu — ka?

— Tak, tam znajdował się mechanizm uruchamiający kolejną pułapkę. Ta była prosta i powiem, że uruchomiłem kolejne osunięcie się kamienia, blokujące wejście do komory. Człowiek tam wchodzący zostałby zablokowany pomiędzy drzwiami, a tym spadającym z góry kamieniem. Nie zdążyłby nawet uciec przed nim, a ten rozgniółłby go, niczym karalucha.

— A gdzie ukryłeś mechanizm uruchamiający?

— Przeszedłeś po nim. Po wciśnięciu kamienia, jaki ci pokazałem nogą, wystarczyło zrobić dwa kroki w stronę drzwi i mechanizm by zadziałał. Założyłem go w spągu i przysypałem piaskiem, aby był niewidoczny. To przeciwwaga, reagująca nawet na ciężar dziecka.

— No to wspaniale, Orypisie. Pewnie teraz Nebtawi z zaświatów będzie ci dziękował za taki grobowiec. Pewnie ten piasek by wystarczył, ale ...?

— A co zrobiłeś z ludźmi, którzy przy nim pracowali?

— No tak, tu był problem, ale i ten rozwiązałem, zmieniałem ich grupami tak, że nikt nie miał pojęcia, co i do czego służy. Na koniec sprzedałem ich zamorskiemu kupcowi, (gdyż wszyscy byli niewolnikami) za pokaźną zapłatę, nie mogłem inaczej. Kupiec obiecał mi, że teraz będą u niego pracować, gdzieś za morzem przy zbiorze kory z jakiegoś drzewa i to w dobrych warunkach. Pieniądze, jakie za nich dostałem, przeznaczę na leczenie innych biedaków, jak i ty to robisz, Taito.

Nie odpowiedziałem mu na te słowa., bo wtedy nie wiedziałem jeszcze, jakie intencje kierują tym człowiekiem i czy aż tak, mogę mu zaufać. Faktycznie był dla mnie największą konkurencją i mógł mi zaszkodzić, a w dalszej kolejności i tym, którym pomagałem. Sprzedaż tych ludzi przez mojego zastępcę nie była dla mnie zbyt przyjemna, ale w innym przypadku, ich ciała mogły zapełnić ten zasypany piaskiem korytarz. Było to bardzo korzystne rozwiązanie dla tych biedaków i nie pozbawiające największego ich skarbu, życia. Wśród nich, było także kilka kobiet, które przygotowywały dla wszystkich posiłki.

— A tak w ogóle, skąd wzięłeś tych ludzi? — zapytałem Orypisa.

— No właśnie, kupiłem na naszym targowisku niewolników i nawet na nich zarobiłem — dodał, ucieszony.

To także nie było dla mnie przyjemne, ale musiałem przemilczeć tę sprawę. Posiedzieliśmy jeszcze dosyć długo w pobliżu grobowca, aż kapłan stwierdził, że wszystko jest już dobrze zabezpieczone. Dopiero wtedy mogliśmy wrócić do siebie. Za bramą w rydwanie czekał już na mnie Dar ze swoją Ned. Reszta wracała pieszo do domu. Menes, ponoć wrócił już do pałacu, kiedy tylko zniknęliśmy w podziemiach. Taka była jego święta wola.

Dzień był wolnym od pracy, więc resztę popołudnia spędziłem w domu, a kiedy przysła jeszcze Neferi, zagraliśmy na tarasie w naszą starą grę, w seneta. Przy okazji porozmawialiśmy o jej nowej roli, medyka dla kobiet w pałacu Menesa. Wiedziała, że tę uzyskała za moim wstawiennictwem. W końcu ze swoimi umiejętnościami była najodpowiedniejszą do tego, kapłanką.

Czas zleciał szybko i nawet nie spostrzegliśmy, że to już wieczór. Odwiozłem Neferi do domu i tak minął kolejny dzień. Dzień w większości smutny i pełny zadumy, nad tym, co przemija w naszym życiu. Myślałem też o bogactwach tego świata, czy te naprawdę później nam towarzyszą w dalszej wędrówce? Doszedłem do wniosku, że nie. To jednak klóciło się z moją wiarą, więc dałem sobie spokój z tymi rozważaniami.

Kolejny dzień był pełen niespodzianek, o jakich nawet nie mogłem pomyśleć. Los znowu postawił mnie w miejscu, którego tak bardzo nienawidziłem i było najgorszym, jakie mogło być tu, na ziemi. Oczywiście Orypis nie otrzymał żadnej nagrody od Menesa za wykonanie grobowca arcykapłana, ale od dnia pogrzebu, przychodziło do niego, a także do mnie i Kazema sporo bogatych

mieszkańców miasta, prosząc o przygotowanie im miejsca wiecznego spoczynku. Te, oczywiście na przyszłość, aby stały już gotowe na ewentualność opuszczenia przez nich tego świata. Było to całkiem zasadne, uwzględniając wymagania względem naszej wiary. Tym, co mieli tutaj dużo, chodziło także o zabezpieczenie tego wszystkiego, przed kradzieżą.



Nowi przyjaciele

Nikaris i Kserkses, Ataris i Horu

Tego poranka obudziła mnie Nitakaris, przynosząc mi kubek, dopiero, świeżego krowiego mleka z porannego udoju. Byłem jakiś zagubiony w swoich myślach, po wczorajszym, smutnym dniu. W uszach ciągle miałem jeszcze zawrodożenie płaczk, a przed oczyma widok sarkofagu, Nebtawi'ego. Siedząc na zydelku, (tylko w szendit) nie ukończyłem jeszcze picia tego wspaniałego białego przysmaku, kiedy do pokoju wbiegły z krzykiem zadyszane dwie pozostałe dziewczyny: Ned i Akme.

— Panie, chodź z nami, panie pomóż im. Taito, pomóż!

— O co wam chodzi, moje śliczne? — zapytałem trochę filuternie.

— Panie, nie zwlekaj, panie pomóż! — wołała Akme.

Tu obie z Ned, zaczęły ciągnąć mnie za rękę.

— Panie, zakatują ich, panie pomóż! — wtórowała Ned.

— O co chodzi? — zapytałem bardziej stanowczo.

— No o nich, o nich, o niewolników.

— Jakich, niewolników?

— Trzeba iść, już trzeba iść panie, bo będzie za późno — powtórzyła teraz Akme.

— Posłuchajcie, usiądźcie i uspokójcie się na chwilę, a potem mi opowiecie, o co wam chodzi, bo nic z tego nie rozumiem? Ty opowiesz Ned.

Poprosiłem właśnie ją, gdyż zawsze jej wypowiedzi były bardziej spójne i wyraziste. Po chwili dziewczyna się uspokoiła i zaczęła już z sensem opowiadać, co dzisiaj spotkało je na bazarze, a raczej w jego części, gdzie sprzedawano niewolników.

— Panie, rankiem poszliśmy z Akme na targ, aby jak zwykle kupić trochę jedzenia dla nas wszystkich, jak mamy to w zwyczaju. Kiedy byliśmy przy straganach z mięsem, które rzeźnicy rozłożyli niedaleko rampy z niewolnikami, wtedy się zaczęło. Jakiś wygłodzony chłopak wyrwał się ze sznurów i zaczął biec w naszym kierunku. Powywracał kosze, stragany, aby tylko uciec poganiaczom z rąk. Uciekając, porwał z jednego ze straganów niewielki kawał suszonego mięsa i biegnąc, zjadał go, jakby głodzono go przez wiele dni. Za nim, ruszyło kilku poganiaczy, ale ci nie byli tacy zwinni, jak on. Pewnie ucieczka do wolności nadawała mu siłę, bo jak widziałyśmy musiał już wcześniej zaliczyć sporo batów. Krew ciekła mu po plecach, ale ten nie zważał pewnie na ból, tylko biegł. Kluczył między ludźmi i straganami. Zrobiło się wielkie zamieszanie. Miał jednak pecha,

bo akurat na bazar wchodziło tuzin zbrojnych, Akara. Gwardziści złapali chłopaka i zaprowadzili do handlarza. Chyba nie muszę ci mówić panie, co ten zrobił? Dwóch poganiaczy zaczęło wymierzać mu karę, pewnie kolejnej już chłosty. Na ten widok, jedna z dziewczyn pociągnawszy za sobą inne kobiety powiązane z nią sznurami, ruszyła na pomoc chłopakowi. Reszta poganiaczy nie czekała. Złapawszy baty zaczęli okładać kobiety, a potem wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu ich ręki. Połała się krew i dlatego pospiesz się panie, aby nie było za późno? Dar już czeka przed domem w twoim rydwanie.

Kiedy to usłyszałem, skóra ścierpła mi na plecach. Założyłem pektorał, pas i zarzuciłem na ramiona lamparcią skórę. Wsunąłem za szendit sakiewkę i w biegu porwałem jeszcze kapłańską laskę. Wybiegłem z domu, jak oszalały. Dar ruszył z kopyta w stronę bazaru i po chwili byliśmy już na miejscu.

Było tak, jak opowiadały dziewczyny. Chłopak przywiązany do pala na wpół już przy nim wiszący, nadal był okładany przez dwóch siepaczy. Reszta poganiaczy chodziła pomiędzy niewolnikami, rozdając baty na wszystkie strony. Jeden z nich bił dziewczynę, prawdopodobnie tę, która wstawiła się za tym młodzieńcem. Przy okazji jego baty dosięgały także kobiet siedzących obok niej i połączonych z nią więzami. Wszystkie skulone i przerażone tuliły się do siebie, osłaniając się przy tym rękami. Zanim zeskoczyłem z wozu, krzyknąłem tylko z daleka, aby zaprzestano bicia. Widocznie handlarz nie usłyszał moich słów, gdyż baty świstały nadal. Podbiegłem do niego z krzykiem, bo już nie mogłem wytrzymać tego znęcania się nad ludźmi.

— Draniu, jak długo jeszcze mam na to patrzeć?

— Jeśli nie możesz, to się odwróć — usłyszałem odpowiedź.

Teraz, było tego już zbyt wiele.

— Straże! — zawołałem głośno — zabrać tego gada sprzed moich oczu. Nie ma w sobie żadnego szacunku dla wysokiego rangą kapłana i urzędnika. Do lochu z nim i jego poganiaczami.

Gwardziści znali mnie dobrze i wiedzieli, kim jestem w Kemecie i wiedzieli, że moje polecenia są tak ważne, jakby wydał je Wezyr, Akar, lub sam Menes.

Na moje wezwanie przybiegło kilku gwardzistów Akara i złapało handlarza. Ten zaczął się im wrywać i szarpać, lecz bezskutecznie. Chłopcy wyćwiczeni w walkach nie mieli z nim żadnego problemu. Po chwili leżał już na ziemi związany sznurami, niczym baran przeznaczony na rzeź. Pozostali pobiegli za resztą jego służalców, gdyż ci, widząc, co się dzieje porzucili baty i rozpiechli się na wszystkie strony. Na targowisku zapanowało jeszcze większe zamieszanie. Nie upłynęło zbyt wiele czasu, kiedy przyprowadzono i tamtych. Teraz i oni powiązani, jak ich przywódca leżeli u moich stóp.

— I co teraz na to powiesz, oprawco? — zwróciłem się do handlarza, trącając go lekko heką.

— Jesteś świątynną gnidą, kapłaniku. Ot, takim śmierdzącym psim g... em, jak i twoi koledzy. Myślisz, że jesteś kimś? Jesteś nikim i niczym, ja jestem panem. Mogę zrobić z tym ludzkim ścierwem, co tylko będę chciał. To nie ludzie, to bydło, co ja mówię, nawet nie bydło, to bydlęce odchody. Ich tylko można użyć, do użyznienia pól, bo to nie ludzie, to nawóz. Smród na tej ziemi, który ja usuwam za złoto, jakie mi dajecie. To wy ich stworzyliście, a ja z tego, tylko korzystam. Wy daliście mi szansę i dajecie zapłatę, więc gdzie moja wina? To ty jesteś zwyrodnialcem, kapłanie! I ty jeszcze śmiesz mianować się kimś wielkim? Ty jesteś bestią dla tego świata, a nie ja! — darł się, ile tylko jego gardło mogło wytrzymać.

Wykrzyczał te słowa, bez żadnej pokory i skruchy.

— Kto ci dał prawo katowania tych ludzi? — krzyknąłem do niego, przerywając to wywrzaskiwanie.

— Ty, ty, kapłanie!

Nie wytrzymałem dłużej. Na oczach wszystkich uderzyłem go z całych sił swoją heką. Ta, chociaż mocna i solidna pękła na pół na jego plecach. Handlarz zawył z bólu, ale nie przestał swoich złośliwych wywodów.

— Zabrać ich — powiedziałem do setnika.

— A co z niewolnikami? — zapytał tamten.

— Zaprowadź ich do koszar, a potem pomogą nam w pracach przy budowie świątyni. Tych dwóch: chłopaka i tę dziewczynę zabiorę dla siebie, a resztę zabieram w imieniu faraona, jak teraz powiedziałem — wszystkich ich opatrzyć i nakarmić — dodałem jeszcze.

— Panie, wybacz, że jeszcze zapytam?

— Pytaj, żołnierzu.

— Dlaczego wstawileś się za nimi, panie? Takie postępowanie może umniejszać twojej godności i nie boisz się, że ci uciekną?

Musiałem teraz wymyślić coś na poczekaniu, aby odpowiedzieć temu gwardziście i musiałem do tego użyć mocnych argumentów, aby odpowiedź była wiarygodna.

— Widzisz, prostakiem jesteś, a ja muszę myśleć i za was.

— Tak, panie — usłyszałem ponownie z jego strony.

— Ci ludzie stanowią jakąś wartość i nie możemy sobie pozwolić na to, aby jakiś głupi „handlarzyna” pomniejszył wartość takiego towaru, jakim są ci niewolnicy i to nawet, gdy są jeszcze jego własnością. Zamierzałem zakupić i zatrudnić całą tę grupę do budowy świątyni, a co nam po takich połamańcach bez wartości? Kto ich potem będzie leczył i wiesz ile może to kosztować naszego władcę? Świątynia jest najważniejsza i jest oczkiem w głowie, Menesa. Ci, co ją budują są dla niego ważni, a taki głupiec chce niszczyć nasze dobra, bo i niewolnicy są własnością faraona, chociaż pozornie ich właścicielem jest

handlarz. Na dodatek ten obrzydliwy gad obraża jeszcze moją kapłańską godność. Słyszałeś jak mi urągał? Wiesz, czym to grozi takie obrażanie wielkiego budowniczego, nie muszę ci chyba mówić?

Dodałem to jeszcze, podkreślając znaczenie ostatniego stwierdzenia. Musiałem użyć takich słów, aby nie wzbudzić w nim żadnych podejrzeń i o to właściwie mi chodziło.

— Czy rozumiałeś, setniku? — zapytałem z naciskiem.

— Tak panie, jesteś wielki i ty tu rządysz po Menesie i na równi z wezyrem. Jestem prostakiem, jak powiedziałaś, panie i nie rozumiem wielu spraw, ale wiem, że to, co mówisz jest prawem. Powiem jeszcze, że ludzie cię kochają za twoje czyny i byłbyś wspomniałym władcą.

— Może lepiej nie rozpowiadaj tego po mieście, bo możesz za to stracić głowę, a ja swoją przy tobie. Sumiennie spełniasz swoje obowiązki, więc nagroda cię nie minie. Jutro zgłosisz się do mnie, a ja dołożę ci coś ze swojej sakiewki do twojego żołdu. A z resztą, po co czekać? — dodałem jeszcze głośno, sięgając jednocześnie po woreczek ze złotem.

Wyciągnąłem z niego sporą grudkę i podałem, setnikowi. Żołnierz uśmiechnął się znacząco i widziałem, że jest zadowolony z moich wyjaśnień, ale pewnie najbardziej z tego błyszczącego podarunku. Z wdzięczności upadł na kolana, dziękując mi za tak wielki zaszczyt, jaki go spotkał.

— Wiesz żołnierzu, jak spotkam Akara, to szepnę mu słowo, aby przy kolejnym awansie miał twoją osobę na uwadze. Ty, jak tylko będziesz widział takich drani, jak ci handlarze, będziesz wiedział, co masz robić?

— Wiem, panie, po łbie i do lochu.

— To mi się podoba, żołnierzu.

Jakie twoje imię?

— Jestem Kufu, panie.

— Tak, Kufu, może już wkrótce będziesz dowodził dziesięcioma setnikami Akara, moja w tym głowa.

Setnik bił teraz pokłony, że musiałem go podnieść z ziemi, bo pewnie robiłby to do wieczora i może jeszcze dłużej?

Względem tego, co powiedziałem temu gwardziście, moje intencje były całkiem inne, (jeśli chodziło o niewolników) bo myślałem o ratowaniu życia tych ludzi. Dla innych, ci biedacy byli tym, co powiedział o nich handlarz.

— Każ ich rozwiązać, a oni sami pójdą, jak im nakazę, bez batów i więzów. Oczywiście mówię o niewolnikach, a nie o tych wrednych hienach, tu wskazałem ręką na handlarzy.

— Chyba sam w to nie wierzysz, panie? — odparł zdziwiony moim zachowaniem, żołnierz.

— Dlaczego mam im nie wierzyć? — zapytałem, nie rozumiejąc intencji

gwardzisty.

— No, że, no ..., że panie, ci ludzie nie będą próbowali uciekać?

— Sam zobaczysz, jak będzie.

— A..., jak nie będzie? — zapytał z niedowierzaniem.

— Jak nie będzie to, od czego ty tu jesteś i twoi ludzie? — odpowiedziałem pytaniem, mrugnawszy znacząco okiem — teraz zabierz tamtych i wtrąć do lochu, później sam wezr się nimi zajmie i wyda na nich wyrok. Opowiedz tylko Akarowi o tym wydarzeniu, a on to przekaże, komu będzie trzeba. Twoi ludzie mogą już odejść i zabierają tych drani — powtórzyłem ponownie — nie mogę już patrzeć na tę padlinę. Ty pozostań jeszcze przez chwilę — zagadałem do Kufu. Kiedy zaprowadzisz tych biedaków do koszar, to zajmijcie się nimi, bo trzeba ich nakarmić i opatrzyć im rany. Później poproś Kazema, aby zabrał ich na plac budowy. Ten, niechaj da im dwa, lub nawet trzy dni wypoczynku, aby mogli się trochę otrząsnąć po tych przejściach i zagoić rany. Przy okazji niechaj sprawdzi tych bardziej pobitych i przyprowadzi ich po południu do mojej lecznicy.

Kilku gwardzistów wskazanych przez Kufu, (popychając handlarzy włóczyniami) popędziło ich w stronę koszar. Reszta przybocznych Kufu zajęła się niewolnikami. Wśród tych ostatnich zapanowało, jakieś poruszenie, kiedy żołnierze i Dar z dziewczynami zaczęli przecinać im więzy. Jako pierwszych uwolniono tych, najbardziej skatowanych: chłopaka i dziewczynę. Oboje osunęli się na ziemię, bo ich „ka” musiało już wędrować na zachód, (pewnie gdzieś w kierunku bramy krainy Ozyrysa?)

Sprawdziłem ich oddechy.

— „Jeszcze nie odeszli do krainy cieni i być może uda się ich wyleczyć?” — pomyślałem.

Pozostali nie uciekali i nadal siedzieli na swoich miejscach, czekając na dalsze wydarzenia, pewnie obawiając się także i gwardzistów?

Nitakaris, pobiegła do domu, aby sprowadzić wóz z osiołkami, aby załadować na niego pobitych niewolników.

— Żołnierzu — zwróciłem się znowu do setnika, Kufu — skoro sprawa zaszła tak daleko, to za wcześniejszym przyzwoleniem, Menesa, oprócz tych dwóch skatowanych, zabiorę do siebie jeszcze jedną parę. Potrzebuję ludzi do pomocy w lecznicy, a wiesz przecież, jakie tam kolejki każdego dnia?

— Tak wiem, panie, bo i moja rodzina przychodzi do ciebie i ludzie cię chwalą za twoje umiejętności, medyka.

— Dziękuję ci żołnierzu, a i czuję, że awans masz pewny.

Ten słysząc kolejne moje zapewnienie, jeszcze bardziej znacząco ukłonami wyrażał swoją wdzięczność. Myślałem, że za chwilę obsypie mnie kwiatami niczym, jakieś bóstwo.

— Panie, pomogę ci wybrać ludzi, jakich będziesz potrzebował.

— Nie jest to konieczne, nie mniej dziękuję ci za pomoc.

Same słowa podziękowania z mojej strony mogły być odebrane przez niego, jako akt wielkiej łaskawości. Cóż dopiero obietnica awansu?! Ta była możliwa do spełnienia, a to przyczyniało się do wzrostu mojego autorytetu i poszanowania wśród wielu. Wraz z setnikiem, chodząc pomiędzy niewolnikami powiedziałem im, że teraz są pod moją opieką i krzywda ich nie spotka.

Z sakwy, jak zwykle wyjąłem wahadełko i przeszedłem się z nim wzdłuż szeregu tych biedaków. Najpierw dziewczyn, a potem chłopaków. Wśród nich wybrałem parę ludzi młodych, prawie równych mi wiekiem, taką miałem zasadę i jej się trzymałem. Ze względu na ilość zajęć, taki wybór był zasadny. Żał mi było każdego, ale nie mogłem zmienić ich doli, jedynie pomagać.

Kufu z ciekawością przyglądał się moim poczynaniom z wahadełkiem. Pewnie nie raz widział taki przedmiot, ale nie zdawał sobie sprawy z możliwości ludzkiego umysłu. Wahadełko było tylko pomocnym mi narzędziem, ale jego siła tkwiła w moim umyśle, a nie w nim samym. Nawet bez niego mógłbym się obyć, odczuwając wszystko poprzez dłoń wyciągniętej ręki.

Wybierając te parę zdałem się na swój umysł, który reagował na ich „ka”, te były czyste, a na takich mi zależało. Obaj wybrani po chwili klęczeli przed nami w ukorzeniu, ale nakazałem im wstać, bo nie lubiłem takiego poddaństwa.

— Kim jesteś? — zapytałem najpierw dziewczynę, którą wskazało mi wahadełko.

— O wielki panie, zwą mnie Nikaris. Jestem mieszkanką Krainy Jęczmienia, a tu

Nie pozwoliłem jej dokończyć.

— O tym porozmawiamy później.

— A ty? — zapytałem teraz, chłopaka.

— Moje imię Kserkses i także jestem, a raczej byłem mieszkańcem Krainy Jęczmienia.

Mam nadzieję, że nie uciekniecie przede mną, jak ten chłopak, który uciekał przed handlarzem?

— Nie panie, będziemy ci posłuszni — odparł za obu, chłopak.

Wraz z setnikiem i kilku gwardzistami stałem jeszcze pomiędzy niewolnikami. Musiałem skazańcom powiedzieć, co ich czeka. Wskazałem im na setnika mówiąc, że ten zaprowadzi ich do koszar i tam otrzymają pomoc i jedzenie. Na te słowa niewolnicy zaczęli klękać, bić pokłony i dziękować za tę łaskę, jaka ich spotkała z moich rąk. Była ich spora gromadka, bo prawie ponad setka głów. Kobiety, mężczyźni i nawet dzieci o różnych kolorach skóry. Żał było na nich patrzeć. Ned widząc, że odprowadzam niewolników do koszar, podeszła do mnie i przytulając się wyszeptała tylko z cicha i ze łzami w oczach:

— Panie, tak niedawno i ja byłem pośród nich.

Pogłaskałem ją po głowie i jeszcze bardziej przycisnąłem do siebie. Wiedziałem, co to oznacza i jak bardzo to przeżywa. Tamci biedacy patrzeli na nas, jakby zdziwieni, myśląc pewnie, że ktoś taki jak ja, ma swoją niewolnicę do głaskania i innych uciech. Znali mnie tylko żołnierze i moje zachowanie było już dla nich normalnością. Nikt i niczym się nie przejmował, co ja robię ze swoimi niewolnikami. Dla nich, byli tylko niewolnikami, a dla mnie?

Kufu skinął na całą tę grupkę i wszyscy, wraz z pozostałymi gwardzistami ruszyli wolnym krokiem w kierunku pałacowych koszar. Tam, co prawda nie będzie im jak w domu, ale nie zaznają już głodu i przemocy. Od tego byłem ja i moi przyjaciele.

— My też wracamy do domu — zagadałem do Ned — nic tu po nas.

Kiedy ostatni z niewolników zniknął za domami, nadeszła Nitakaris prowadząc wóz zaprzężony w osiołki. Z nią przyszedł i Necheb. Nie chcąc przeciągać tej chwili, Kserksesowi i Nikaris wskazałem na wóz.

— Pomóżcie Nechebowi i Nitakaris ich załadować i wracamy do domu.

Do pomocy dołączyli się także: Dar oraz Ned. Po chwili dwójka tych pobitych biedaków leżała już na słomie w naszym wozie.

— Możecie już odejść, ja po chwili do was dołączę — powiedziałem do Necheba, Nitakaris i tych dwoje nowych.

Necheb ruszył wozem w kierunku domu. Wiedziałem, że jechali wolno, zważając na kamienie i wyboje, aby tym dwom nie sprawiać jeszcze większego bólu. Ned i Dar pozostali jeszcze przy mnie, gdyż będąc na bazarze, chciałem przy okazji zakupić trochę medykamentów. To nie trwało zbyt długo i po załadowaniu rydwanu, mogliśmy już wracać. Po dłuższej chwili dogoniliśmy nasz wóz i jechaliśmy teraz obok niego. Co chwilę słyszałem pojękiwania tej pobitej dziewczyny, kiedy wóz najeżdżał kołem na jakiś kamień leżący na drodze. Pomimo ostrożnej jazdy, czasem nie udawało się ich wyminąć. Chłopak milczał, gdyż jego stan był o wiele gorszy niż dziewczyny. Zastanawiałem się — „kim są ci biedacy?” Z ich przybyciem do domu wyłaniał się kolejny problem. Brakowało nam jeszcze izb, ale tymczasem musimy się, jakoś zmieścić do czasu, aż chłopcy zakończą dobudowę kolejnych pomieszczeń. Teraz będzie jeszcze do pomocy, Kserkses i ewentualnie ten drugi, jeśli przeżyje i wyzdrowieje.

To są moi nowi przyjaciele, jak to było moim przeznaczeniem. Dobrze, że wcześniej byłem na to przygotowany, bo wystarczyło trochę cegły i od strony dziedzińca mogły powstać kolejne izby. Każdy z domków naszego klasztoru miał możliwość takiej rozbudowy.

Kiedy chłopcy wnieśli ich do izby, zacząłem przeglądać ich rany. Ned i Dar, użyczyli tym dwojga swojej izby do tymczasowego zamieszkania. W drzwiach stanęła Nikaris i Kserkses, przyglądając się moim poczynaniom.

— Czy znacie imiona tych dwojga? — zapytałem Nikaris.

— Nie panie, jedynie wiemy, że pochodzą jak i my z Krainy Jęczmienia.

Zacząłem od chłopaka, bo jego stan był bardzo ciężki i krwawił mocno. Plecy były zorane batami poganiacza. W kilku miejscach trzeba było szyć. Poprosiłem Ned o pomoc. Dziewczyna umyła rany wodą i popłukała wywarem z rumianku, wycierając potem do sucha, ich poblize. Chłopak nadal błędził w zaświatach, więc nie podałem mu makowych pigułek, gdyż teraz i tak nie odczuwał bólu. Prawą rękę miał silnie potłuczoną lecz, jak stwierdziłem kość była cała. Tą ręką osłaniał się przed razami poganiaczy. Podobnie było z obiema nogami poniżej kolan. Często siepacze uderzali ludzi w te właśnie miejsca, aby ci upadali przed nimi na kolana. Zdarzało się, że łamali im nogi, a potem dobijali widząc, że nie będzie już z nich żadnego pożytku. Siniaki u chłopca były rozległe i nie powstały tylko w dzisiejszym dniu. Chłopak musiał być mocno bity, nie tylko ten raz, ale już dużo wcześniej, co było widać wyraźnie na jego ciele. Musiał też zostać mocno uderzony w głowę, gdyż spomiędzy jego gęstych włosów spływała strużka krwi. Kazałem, Ned ogolić mu głowę, zostawiając tylko młodzieńczy loczek. Musiałem zobaczyć, jak głęboka jest rana w jego czaszce, a jego włosy nie pozwalały mi na takie oględziny. Rana na głowie na całe szczęście okazała się niezbyt głęboka i pochodziła jedynie od bata, a nie od kija. Uderzenie kijem, mogłoby być dla niego zabójcze. Nitakaris z kolei delikatnie wcierała w potłuczone miejsca mieszankę octu z pyłem marmurowym, aby ten, nie odczuwał zbyt mocnego bólu, kiedy jego „ka” wróci do ciała. Ten powrót „ka”, mógł jeszcze trwać nawet do jutra, albo i dłużej. Chłopak miał złamanych kilka żeber i na jego tors założyliśmy bandaże uciskowe, tu miałem nadzieję, że zebra nie wbiły się głębiej w wnętrzności, bo te, mogłyby zabić chłopaka. Spodziewałem się także, że jego ciało będzie bardziej gorące, niż normalnie. Wtedy trzeba będzie użyć ziół, lub ewentualnie robić okłady z użyciem zimnej wody. Nie wyglądało to dobrze i wszystko zależeć będzie od niego samego, czy przetrwa ten zły dla niego czas?

Po opatrzeniu chłopaka zabrałem się do udzielenia pomocy dziewczynie. Ta, nie była tak skatowana, jak jej chłopak, lecz co chwilę jęczała z bólu, kiedy oglądałem jej rany. U niej, „ka” nie wyszło z ciała, ale ból musiał być bardzo silny. Plecy dziewczyny były trochę w lepszym stanie, niż plecy chłopca. Od głębszych ran po bacie uratowała ją kobieca narzuta. Szycia trzeba było jedynie zrobić w miejscach, gdzie skóra nie była nią osłonięta. Pod nią widoczne były tylko długie pasy siniaków.

Nie chcąc już sprawiać jej większego bólu podałem jej makową pigułkę i już po dłuższej chwili zasnęła pod jej wpływem. Zszyłem skórę na plecach i brzuchu, bo i tam bat zostawił swoje krwawe ślady. Zaniepokoiły mnie także okaleczenia jej piersi i brzucha. Lewa pierś była jakaś nabrzmiała i zielono, żółto, fioletowa, (podobnie, jak i brzuch). Wyglądało to tak, jakby ktoś skopał ją drewnianym sandałem. Miałem też nadzieję, że w przyszłości nie spowoduje, to jakiegos

problemu z karmieniem dziecka, jeśli takie się jej urodzi. Tu niewiele mogłem zrobić i pozostała jedynie: kamfora, okłady z rumianku i inne podstawowe środki na ból i stłuczenia, te musiały wystarczyć. Dziewczyna trzymała ręką na tym posiniaczonym brzuchu, lecz nie mogłem teraz stwierdzić, czy ten odruch jest tylko wynikiem bicia, czy też jakiejś innej dolegliwości, jakie często towarzyszyły niewolnikom na wskutek złego karmienia i warunków w jakich ich trzymano. Co było w jej „chet”, nie mogłem wiedzieć nie oglądając jej wnętrzości. Na ile tylko było to możliwe wszystkie ich rany zostały im opatrzone. My nadal jednak nie znaleźliśmy ich imion, lecz na tę chwilę, było to najmniej ważne.

Naprawdę zjadłem popołudniowy posiłek i wraz z Darem, Ned, Akme i Amenetem pobiegliśmy do lecznicy. Tam czekał już na nas Kazem z Neferi i grupą niewolników, oraz kilkoma gwardzistami.

— „Sprytny chłopak, dobrze, że sprowadził tu Neferi do pomocy, bo będziemy mieli pełne ręce roboty, pewnie aż do wieczora?” — pomyślałem o Kazemie.

Wiele się nie pomyliłem. Pracowaliśmy w siedmiu i trzeba było się dobrze uwijać, aby skończyć przed zachodem, Ra. Niewolników było sporo, a ich ran, jeszcze więcej. Gdyby przyprowadzono tu wszystkich, to pewnie wrócilibyśmy do domu, po kilku dniach. I tak się cieszyłem, gdyż zakładanie opatrunków i tak poszło dosyć sprawnie i bez dodatkowych problemów. Tych bardziej okaleczonych wzięłem na siebie w czym, (jak zwykle) towarzyszyła mi nierozłączna, Neferi.

Kiedy zakończyliśmy z niewolnikami, Dar odwiózł rydwanem kapłankę do jej domu. Pewnie zostałyby u nas na noc, ale po przyjęciu nowych niewolników zrobiło się u nas bardzo ciasno.

Okaleczona dziewczyna ocknęła się dopiero wieczorem, chłopak spał nadal.

— Gdzie jestem? — to były jej pierwsze słowa, kiedy przywołała mnie do niej, Ned.

— Jesteś już w domu, w moim domu — powiedziałem to z cicha i z jakimś spokojem mając nadzieję, że i ona tak to odbierze.

— A gdzie, Horu? — zapytała.

— Mówisz, o tym chłopcu, którego tak dzielnie broniłaś?

— Tak panie, to on żyje?

— Żyje, tylko jeszcze śpi, jest tu obok ciebie i zobaczysz go, jak się odwrócisz, ale teraz tego nie rób, bo będzie mocno boleć.

Jednak nie wytrzymała i zrobiła to, czego jej zabroniłem. Usłyszałem tylko, jak mocno jęknęła i ból sprawił, że wróciła znowu do poprzedniej pozycji.

— Nie ruszaj się, bo masz plecy mocno zsyte. Miałaś tyle ran, jakby krokodyl cię dorwał — powiedziałem po chwili.

— Kim ty jesteś? — kontynuowałem rozmowę.

— Jestem Ataris. Mieszkałam z Horu w jednej wsi. Byliśmy już zaręczeni

i teraz niedługo mieliśmy się pobrać, ale ...

Nie dokończyła i łzy popłynęły po jej twarzy.

— No już dobrze, jak odpoczniesz, to opowiesz mi resztę. Teraz ja ci opowiem, kim ja jestem i gdzie jesteście.

— Ja jestem Taita, kapłan wielkiego Ptaha, a to moi przyjaciele i niewolnicy, (zależy dla kogo, ale o tym później).

Teraz wymieniłem imiona wszystkich mieszkańców domu. Wspomniałem też o nowych domownikach: Nikaris i Kserksesie. Opowiedziałem też o naszych zwierzakach i o tym, czym się zajmujemy. Dziewczyna nie wiedziała, jak się tu znaleźli i co się stało z resztą jej pobratymców. Wysłuchała z wielkim skupieniem tego, co opowiedziałem jej o bazarze i późniejszych tam wydarzeniach. Musiałem jeszcze zapytać o jej rodzinę.

— Czy tam wśród tych ludzi, jest ktoś z twojej, lub jego rodziny?

— Nie, panie. Rozdzielono nas pomiędzy handlarzy i nie wiemy gdzie są nasi najbliżsi? Od czasu, kiedy zabrano nas z domów, oprócz sąsiadów, nikogo już nie widziałam z moich bliskich, ani rodziny, Horu.

— No tak, te dranie często tak robią — dodałem głośno.

— Panie, a dlaczego nie kazałeś nas rzucić hienom na pożarcie, przecież nie ma z nas już żadnego pożytku?

— Myślisz, że hieny by was chciały zjeść? — zapytałem z lekkim uśmiechem.

— Pewnie tak, panie.

— Ja żartuję, a ty poważna. Tu krzywda was nie spotka. Powtarzałem jej to, jak kiedyś Ned i Dar'owi, a także Nitakaris i Nechebowi, oraz Akme i Amenetowi.

— Teraz jeszcze powiem to samo: Nikaris i Kserksesowi, a powtórzę tobie Ataris, a później i Horu. Wy jesteście piątą parą, jaka zamieszka tu u mnie. Teraz śpij i wypoczywaj, aż poczujesz się dobrze.

Dziewczyna złapała mnie za rękę i pocałowała w dłoń, kładąc ją na swojej na głowie na znak pokory i poddaństwa.

— Tak nie można, Ataris.

Pogłaskałem ją po głowie, a ta prawie na poczekaniu zasnęła, niczym niemowlę po kąpielu.

— Weszła Ned i widząc śpiącą już dziewczynę wyszeptala tylko:

— Taito, ty masz złote ręce i serce za to bardzo cię kochamy.

— Dziękuję, Ned i ja was kocham, bo dla mnie jesteście rodziną, a i oni już do niej dołączyli, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą.

— Tak wiem, oni będą dla nas, jak bracia i siostry.

Przemyślenia

Poszedłem na taras. Musiałem wiele spraw przemyśleć, a widok znikającego na horyzoncie rydwanu Ra, nastrajał mnie do takich rozważań. Za mną przyszła także, Ned. Dziewczyna usiadła w rogu tarasu na zydelku i jak ja, wpatrywała się w zachód słońca. Szczególnie słowa tego handlarza nie dawały mi spokoju. Także i to, co zrobiłem względem niego zaciążyło na moim umyśle. Po raz pierwszy uderzyłem człowieka nie potrafiąc opanować swoich emocji. Tamten był prymitywnym, chciwym i bez sumienia draniem, a ja wtedy zniżyłem się do jego poziomu.

— Wybacz mi o wielki, Ptahu — powiedziałem głośno do siebie, zapominając o siedzącej w pobliżu, Ned.

— Taito, co wielki Ptah ma ci wybaczyć? — zapytała zaciekawiona moim zachowaniem i głośnym myśleniem.

Przez chwilę nie wiedziałem, czy odpowiedzieć na to jej pytanie. Jednak musiałem się już komuś zwierzyć, aby moje „ka” doznało jakiegoś, (choćby chwilowego) spokoju.

— Chodź, usiądź tu przy mnie — powiedziałem do dziewczyny.

— Tak panie, już jestem.

Ned przysunęła do mnie swój zydelek.

— Wiesz Ned, zastanawiałem się nad tym, co złego zrobiłem tam na bazarze? Uderzyłem tego człowieka.

— Ależ panie, ja bym go biła, jak on kazał bić tamtych biedaków.

— Wiem dlaczego byś tak postąpiła? Złość przemawia przez ciebie tak wielka, jakiej i ja wtedy zaznałem. Zrobiłem źle i bardzo tego żałuję, dlatego proszę Ptaha o wybaczenie.

— Przecież w tym nie było nic złego, Taito. Przywaliłeś złemu człowiekowi za jego złe czyny i za to, że cię obraził.

— Nie rozumiesz, Ned. Moim błędem i złym uczynkiem było to, że zniżyłem się do jego poziomu.

— Panie, taka twoja wina, nie jest żadną winą i nie myśl o niej. Jako wysoki urzędnik miałeś prawo go tak potraktować — dodała.

— Dalej nie rozumiesz i masz prawo tego nie rozumieć.

Moja świadomość jest inna, a ty rozumiesz, jak każdy człowiek i nie jest to żadnym błędem takie myślenie.

— Taito, przypisujesz sobie całe zło tego świata, a czym są inni dla ciebie, dla nas? Słyszałeś słowa tego człowieka, jak cię obwiniął?

— To prawda, co on mówił — odpowiedziałem stanowczo.

— Panie, rozum ci się pomieszał od tej pracy, że tak mówisz.

— Nie Ned, jeszcze raz powiem, że to prawda. To, co teraz mówię, zostaw dla siebie i nie wspominaj nikomu o tej naszej rozmowie. Jesteś bardzo mądrą kobietą i wiem, że mogę ci zaufać. Nawet Dar nie powinien o tym wiedzieć,

choć to wspaniały chłopak, ale czasem ma długi język i nie wszystko rozumie. Tych, co nazywamy niewolnikami, to tacy sami ludzie, jak my. Mają takie same „ka” i „chet”, jak my. Czują to, co i my, chociaż wielcy tego świata wmawiają nam, że to istoty pozbawione „ka” i rozumu. Handlarz miał rację mówiąc o tym, że tacy, jak ja, doprowadzili do tego.

— Ależ panie, to bzdury! — zaprzeczyła, Ned.

— Niestety, ale to prawda. Ludzie, którzy mieli zbyt wiele, stali się tymi prześladowcami, nie oni handlarze, czy poganiacze. To tylko ich służalcy którzy, jak hieny zjadają resztki z ich stołów. Bogacze chcąc podporządkować sobie innych, płacą im złotem, aby tak było. Oni są jak psy posłuszne swoim właścicielom, aby tylko dostać od nich jakieś resztki z pańskiego stołu. Ci bogaci zdzierają z tych słabszych, aby stać się jeszcze kimś większym, bogatszym i potężniejszym ponad innych. Nie znają w tym żadnych granic i umiaru. Coraz więcej ludzi przez nich cierpi i nie ma w tym końca. Tak było dawno, jest teraz i będzie po wsze czasy, kiedy Ra nie spali tej ziemi na popiół, wraz z tymi, którzy ją zamieszkują. Ja jestem jednym z nich, chociaż pomagam, to i tak mam się lepiej, jak inni. Dla tych biednych jestem tym, co odbiera im chleb, a nie tym, co daje. Dla ludzi taki bogacz przestanie istnieć, jeśli zniży się do ich poziomu. Co by było gdybym i ja tak postąpił?

Milczałem przez chwilę, aby przemyśleć dalszą swoją wypowiedź.

— To, co robię, nie jest dla mnie, ale dla nich i chociaż mogą mną gardzić, nie dbam o to. Może nawet nie wiedzą, jak mi na nich zależy, kto to jednak docenia? Gdyby takich jak ja, było wielu i przyodziali by na siebie szaty wieśniaka, czy zapanowały równość? I w to wątpię, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał więcej niż to, co posiada inny. Nie ma i nie będzie nigdy równości, a ten, co o takiej mówi, jest największym kłamcą, jakiego zrodziła ta ziemia. Nie mogę zaznać spokoju, jeśli i moja sakiewka jest pełna złota. To przecież praca i pot tych ludzi, a i ja z niego korzystam. Co z tego, że kupuję za nie leki i lecę tych biedaków. Może jestem sławny, ale przecież, to za ich złoto. Możesz powiedzieć, że mam je od bogaczy, ale zapytam tylko, skąd bogacze je mają? Tak, obdzierając tamtych do gołej skóry. Daję im siebie i swoją wiedzę, aby było lepiej, ale jaka jest ta moja pomoc? Kropla wody w Nilu, wobec ogromu tego wszystkiego, czego im potrzeba.

— Tak Taito, może to i prawda, ale kto by nam tak pomagał, jak nie ty? Nie smuć się, bo jesteśmy z tobą, a i ci biedacy pewnie rozumieją, co dla nich robisz?

— Nie Ned, bo gdyby to zrozumieli, to dawno straciłbym już głowę. Dla takich jak ja, nie ma tu miejsca i nigdy nie będzie. Gdyby Menes i inni wielcy tego świata znali to, o czym ci teraz mówię, umarłbym w wielkich męczarniach. Dziękuję wielkiemu Ptachowi za to, że dał mi wielki rozum, który może mi służyć do tego wszystkiego, co zamierzam uczynić jeszcze w moim życiu.

Zrezygnowałem z życia w rodzinie, odtrąciłem kochającą mnie kobietę, stałem się samotnikiem. W imię czego? Tego, czego nigdy nie będzie?

— Skąd wiesz, panie? — przerwała mi Ned.

Nawet nie trudno się domyślić, że nie. Nie trzeba sięgać po przepowiednie kapłanek, aby to wiedzieć. Być może i tego nie zrozumiesz, ale ja tylko proszę, abyś mi uwierzyła.

— Tak wierzę w to, co mówisz, Taito.

— Jeśli zrozumiałas to, co powiedziałem, to wiesz teraz, dlaczego ten człowiek miał rację. On widział we mnie tego, co z sobą przedstawiałem na zewnątrz, a nie mógł wiedzieć o tym, co kryje się we mnie. Wielką prawdą jest to, jak możemy kogoś źle ocenić po jego wyglądzie. Strzeż się takiej oceny, bo zły osąd może przynieść wiele krzywdy drugiemu człowiekowi. Ja nie boję się o siebie, boję się o was, aby żadna krzywda was nie spotkała z mojego powodu. To, co robię, to jak przechodzenie po linie nad bagnem pełnym krokodyli. Jeden zły ruch i po mnie, a także i po was, a ja jestem za was odpowiedzialny, bo jesteście pod moją opieką. Mam jeszcze jedno wielkie zmartwienie, bo widziałem przyszłość Ataris. To wszystko, co przechodziła teraz, wróci do niej w inny sposób i przyczyni się do jej śmierci. Odejdzie w dniu, kiedy będzie najszczęśliwszą w swoim życiu, a wtedy wielki cień utkwi w sercu Horu. Zanim jednak odejdzie da mu wiele szczęścia i pozostawi mu na pożegnanie owoc ich wielkiej miłości. My będziemy tylko na to patrzeć, a ja nie będę mógł nic zrobić, aby im pomóc.

Mówiąc do Ned, te słowa, przez głowę znowu przeszła mi myśl: „Nic nie zmienisz, Taito”.

— Tak, Ned, ile możemy zmienić? Tylko niewiele, naprawdę niewiele. Tu jeszcze raz powtórzę, abyś to wszystko zachowała tylko dla siebie. Nikt nie może tego się dowiedzieć, co ci teraz powiedziałem.

— Panie, wiesz, że możesz na mnie polegać. Smutne jest to, co mówisz, ale wiedz jedno, że bardzo, bardzo cię kochamy.

— Wiem, Ned. Teraz jednak się tym wszystkim nie przejmuj, gdyż każdy dzień, jaki nam tu dano, jest naszą radością, którą musimy sobie cenić więcej, niż wszystkie skarby tego świata. Ponad wszystkim, jest jednak miłość, bo bez niej niczym jesteśmy.

Za chwilę zobaczymy, co się dzieje z naszymi nowymi mieszkańcami domu. Odwiedzimy tych naszych utrapieńców, jak się mają u tego bogacza, Taity? — dodałem żartując, aby Ned, chociaż trochę się uśmiechnęła.

Jednak był to u niej, jakiś wymuszony uśmiech i wcale się nie zdziwiłem.

— Posiedźmy jeszcze przez chwilę, a potem zejdziemy do nich — dodałem.

Nawet się nie spostrzegłem, kiedy głowa opadła mi na ramiona i zasnąłem, siedząc. Lekkie trącenie w ramię, przebudziło mnie z tej chwilowej drzemki.

— Taito, idź wypocznij i wyśpij się — to były słowa opiekuńczej, Ned.

— Masz rację, chciałem przemyśleć kilka ważnych spraw, ale moja głowa ciąży mi teraz, jak wielki kamień i z myślenia nic nie wyjdzie.

— Może coś zjesz? Nie jadłeś wieczornego posiłku.

— Nie, już zbyt późno i lepiej będzie, jak się prześpię, bo z pełnym brzuchem nie potrafię zasnąć.

— No tak i u mnie jest podobnie.

Wstałem i wraz z Ned zszedłem na dół, aby sprawdzić jeszcze stan Ataris i Horu. Ned przy okazji zmieniła okład na czole, Horu. Jego „chet” trawił wewnętrzny ogień, ale my mogliśmy tylko czekać, czy z tego wyjdzie. Ataris spała spokojnie, jej oddech był równy i jej ciało było ciepłe, jak u zdrowego człowieka.

Ataris słysząc pewnie, jakiś szelest, przebudziła się ze snu. Na mój widok próbowała podnieść się z pościeli.

— Panie, co będzie z Horu? — zapytała drżącym głosem — on wciąż gdzieś błądzi po krainie snów.

— Już go zobaczyłem, a ty śpij i odpoczywaj, bo wiem, że i ty nieźle oberwałaś od tych drani.

Podszedłem do Horu i ponownie dotknąłem jego czoła. Jego „chet” walczyło z bólem i chorobą. Odniosłem jednak wrażenie, że ta ciepłota jest mniejsza niż była poprzednio, około południa. Takie odczucie mogło być jednak złudne. Gdyby tak było, byłby to dobry znak. Zaraz też powiedziałem o tym, Ataris. Dziewczyna bardzo ucieszyła się na tę wiadomość.

— Panie, ale on wciąż śpi, czy to dobrze?

— Tak, dobrze. Przynajmniej nie odczuwa teraz bólu i nabiera sił. Jego oddech jest równomierny, więc i z tym jest u niego, dobrze.

Poprosiłem jeszcze Ned, aby pomogła mi zmienić ich okłady i przemyć rany naparem rumiankowym. Przy okazji sprawdziłem, czy rany zbyt nie czerwienieją? Wszystkie były w dobrym stanie i gojenie odbywało prawidłowo. Wciąż niepokoił mnie siniak u Ataris, jaki miała po kopniakach w rejonie brzucha i piersi. Ten sprawiał jej wielki ból, gdy leżąc próbowała zmienić na pościeli swoją pozycję. Jedyne mogłem mieć nadzieję, że nic ważnego we wnętrzu ciała nie uległo pęknięciu? Zakazałem jej chodzenia i ograniczenie ruchów.

Z Horu nie było tego problemu, bo chłopak wciąż był w tym samym stanie chociaż, jak stwierdziłem była już pewna poprawa i Anubis zdjął z niego, swoją rękę.

Jak na dzisiejszy dzień, miałem wszystkiego dosyć. Byłem zmęczony i myślałem, że zasnę bez problemu Jednak nie mogłem. Chrapanie Dar'a przeszkadzało mi w zaśnięciu, a nie chciałem budzić chłopaka. Myśli kłębiły mi się w głowie, niczym węże w gnieździe. Przewracałem się na swojej macie, ale sen wciąż nie przychodził. Wstawałem, co chwilę i doglądałem moich pacjentów, także i Ned przychodziła do nich, doglądając tej dwójki.

— Taito, ty także nie potrafisz zasnąć?

— Tak, zbyt wiele dzisiaj przeżyliśmy, a to wszystko na nas wpływa i nie potrafimy później zaznać spokoju. Nie martw się jednak, bo jutro będziemy spali, jak małe dzieci.

— Pewnie tak zwykle tak bywa? — odparła dziewczyna.

— Jutro naszą parą zajmie się Nitakaris, a my odpoczniemy. Jeśli możesz, to wróć do łóżka i się prześpij. Ja będę przy nich czuwał — zwróciłem się do, Ned.

— Dobrej nocy, panie.

W końcu tuż nad ranem i ja przeniosłem się na chwilę do krainy snów. Pomimo, że nie spałem zbyt wiele i tak wstałem wypoczęty. Odrobina miodu i utartego cynamonu przed porannym posiłkiem, zrobiła swoje. Faktycznie obudziła mnie, Akme, po powrocie z bazaru, gdzie kupowała owoce. Poprosiłem ją, aby pod moją nieobecność wraz z Nitakaris, zajęły się naszymi nowymi przyjaciółmi. Dar, Neheb, Kserkses i Amenet mieli się dzisiaj zająć produkcją cegły do budowy nowych izb dla Horu i Ataris, oraz Nikaris i Kserksesa.

Ned, przygotowała dla mnie posiłek i zajęła się pieczeniem chleba. Kiedy na tarasie zjadłem swój ulubiony przysmak, chleb z serem i czosnkiem, przybiegła do mnie Akme oznajmiając, że Horu zaczyna się budzić. Zostawiłem jedzenie i pobiegłem za dziewczyną do izby.

Horu leżał już z otwartymi oczami i błędził wzrokiem po izbie, nie wiedząc pewnie, gdzie jest i co tu robi?

— Witaj wśród żywych — zwróciłem się do niego.

Ten widząc przed sobą kapłana chciał wstać i uklęknąć, ale powstrzymałem go od tego zamiaru.

— Jesteś mocno pobity, masz połamane żebra i poszyte plecy, więc leż i się nie ruszaj. Jesteś u mnie w domu, a jest tu także twoja ukochana, Ataris.

— Nie mogę w to uwierzyć, panie? Myślałem, że już jestem martwy.

— Dziwne masz myśli, jeśli nie żyjesz, to pewnie ktoś taki, nie myśli? Ale ty jesteś jakimś wyjątkiem, nie żyjesz, a jednak myślisz — dodałem żartem z uśmiechem na twarzy.

Chłopak chciał się uśmiechnąć, ale grymas bólu pojawił się na jego ustach.

— Tak, to boli, wiem i będzie jeszcze długo boleć. To jednak minie, a ja myślę, że to bicie było ostatnim w twoim życiu, jakiego zaznałeś, jako zniewolony człowiek.

— Dlaczego tak mówisz, panie?

— Bo tak będzie, a później ci wyjaśnię, dlaczego? Teraz zobaczę twoje plecy, a potem dziewczyny umyją cię i nakarmią, a także założą nowe opatrunki.

— A co z Ataris? — zapytał zaniepokojony o los swojej dziewczyny.

— Tu jestem mój ukochany i mam się dobrze — usłyszeliśmy ledwo, co po pytaniu chłopca.

Ta akurat weszła do izby, wracając z podwórka, po którym oprowadzała ją Ned. Dziewczyna pomimo wielu swoich obrażeń, już wstała z łóżka i robiła wrażenie, jakby nic ją nie bolało. Po twarzy Horu popłynęły łzy. Pewnie łzy szczęścia, bo kto mógł się spodziewać, że po czymś takim będą jeszcze żyli i będą razem? Za ucieczkę i kradzież, niewolnik dostawał tylko jedną karę

— No pokaż, jak ci się goi, to wczorajsze szycie?

Ned i Akme pomogły mi odwrócić chłopca na drugi bok, aby zobaczyć rany, które znajdowały się teraz zakryte. Horu krzywił się i syczał z bólu, kiedy musieliśmy go ruszyć z tej obecnej, wygodnej dla niego pozycji. Każdy ruch sprawiał mu ból, nie było jednak wyjścia, aby zobaczyć jego rany i założyć nowe opatrunki.

Było dobrze, rany powoli zaczęły się zablizniać i nie widziałem śladów, ropy. Dziewczyny przemyły mu plecy wywarem rumiankowym i położyły na czystym płótnie. Horu wodził za nimi oczyma i pewnie podziwiał ich zgrabne ciała, co dało się zauważyć, po jego pożądlwym wzroku.

— Horu, jak to zobaczy Ataris, to pewnie dojdzie ci jeszcze kilka siniaków pod oczami — zażartowałem z chłopaka.

Z drugiej strony był to dobry znak, bo jeśli ma już ochotę na takie figle, to jest nawet, bardzo dobrze.

— Co, o co chodzi? — zapytała teraz Ataris, stojąca obok i podająca dziewczynom dzban z wywarem.

— Nic, nic, tak sobie rozmawiam z twoim chłopakiem — odparłem.

— Tu jeszcze ci dodam, że każda z dziewczyn ma swojego mężczyznę, więc nie radzę ci ich drażnić, bo będziesz miał jeszcze więcej siniaków, (ale nie od bata), to taka moja cicha rada — dodałem żartem.

— No nie, no nie, ja nie mam zamiaru ... — odparł, jękając się niczym złodziejasek przyłapany na gorącym uczynku.

Pewnie Ataris się zorientowała o co chodzi i także odpowiedziała żartem:

— Panie, już ja go sobie przypilnuję i sama narobię mu tych siniaków, jak nie będzie grzeczny.

Ned i Akme zaczęły się śmiać z tych pozornych gróźb, a i mnie udzielił się ten humor.

— Teraz i ty do łóżka — zwróciłem się do Ataris. Masz dosyć tego chodzenia, bo szwy ci się rozejdą i żebra będziesz miała na wierzchu.

Dziewczyna, dziwnie na mnie popatrzyła, jakby zdziwiona i zapytała:

— Panie, czy to możliwe?

Moją wypowiedź wzięła za poważną, a ja wykorzystałem jej chwilową naiwność i dodałem jeszcze:

— Tak wyjdą z ciebie na pewno i będziesz mogła je sobie pooglądać. Potem będziesz musiała uważać na psy, bo te bardzo lubią kości, a szczególnie obgryzać

takie kobiece żeberka i piersi.

Na moje słowa Ned i Akme parsknęły śmiechem. Ataris, dopiero wtedy zorientowała się, że to, co powiedziałem, to tylko żarty i sama próbowała się śmiać. Jednak ból ostudził jej radość.

— No już na swoje posłanie — ponownie zwróciłem się do Ataris.

Dziewczyna posłusznie wypełniła moje polecenie.

— Wypoczywajcie — zwróciłem się do obydwu, a potem zobaczymy, co z wami dalej.

— Panie, dziękujemy ci za wszystko! — odparli niemal równocześnie.

— Tylko nie sprzedaj nas — dodała jeszcze dziewczyna.

— Nie mam zamiaru, od teraz jesteście moją rodziną i tak będzie.

Teraz muszę was zostawić pod opieką dziewczyn: Akme, Ned i Nitakaris, a ja muszę dokończyć swój posiłek, bo czeka mnie wyjazd do pałacu i na plac budowy.

— To ty, panie, jesteś tym wielkim budowniczym? — zapytała Ataris.

— Skoro tak mówią, to może i tak jest.

— To chyba, sen? — odparła dziewczyna — panie, o tobie mówią tak wiele dobrego — dodała.

— Chyba jeszcze w głowie ci się miesza? — zwróciłem się do dziewczyny. Chyba słyszałaś, co wczoraj o mnie mówił ten handlarz? — skontrolowałem jej wypowiedź.

— No raczej niewiele słyszałam, co mówił, ale słyszałam, jak bluźnił. Ten, ten, a jego słowa były, jak słowa węża, pełne jadu dla wszystkich.

— Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę. — przerwałem dziewczynie.

Echa ostatnich wydarzeń. Wizyta w pałacu

Poszedłem jeszcze na taras, aby dokończyć mój posiłek. Musiałem jednak poprosić Ned o nową porcję, bo pewnie jakieś ptaszyska rozprawiły się z tym, czego jeszcze nie zdążyłem zjeść, gdyż stół był już pusty.

Moi chłopcy przed swoim wyjazdem do dołów z gliną, gdzie mieli zająć się produkcją cegły, zaprzęgli już konie do rydwanu. Wskoczyłem na wóz i ruszyłem w kierunku pałacu. Byłem ciekaw, co na to wczorajsze wydarzenie powie sam Menes, o ile sam wezyr mu o tym wspomniał. Władca nie lubił takich przemądrzałych ludzi i dla nich miał tylko jedną karę: Nil i krokodyle. Sam był najwyższym kapłanem Ptaha, więc takie obraźliwe słowa mogły dotyczyć i jego samego, a takich słów nigdy nie wybaczał.

Przed pałacem mój rydwan oddałem w ręce jednego z gwardzistów, a sam poszedłem na spotkanie z wezyrem i faraonem. Ledwo, co wszedłem do sali przedtrzonowej, wezyr już poprowadził mnie do Menesa. Ten, nawet nie zwracał

uwagi na mój pokłon.

— Taito, cóż to wczoraj działo się na bazarze, głośno o tym w całym mieście, no i jeszcze ci niewolnicy?

Nie wiedziałem, czy jego wypowiedź jest dla mnie pozytywna, czy ukrywa w niej swój, gniew?

— Jestem z ciebie dumny — usłyszałem po chwili — tylu niewolników zasili szeregi budujących, a i ta połamana heka na plecach tego psa, to już musiała być niezła zabawa? Chciałbym to zobaczyć.

— Panie, wybaczone, ale czwórkę tych ludzi zatrzymałem dla siebie, resztę oddając tobie. Kiedyś obiecałeś mi jeszcze kilku, a ja nie mogłem odmówić ci przyjęcia takiego daru. Teraz była taka okazja i pozwoliłem sobie na realizację twojej obietnicy, o boski.

— Jeśli chcesz, to weź jeszcze sobie tylu, ile potrzebujesz — dodał mimochodem, Menes — wszystkich mamy darmo, dzięki tobie.

— O wielki, to nie dzięki mnie, ale nikkzemnemu zachowaniu tego handlarza.

— Jak zawsze, skromny — dodał władca.

Chcąc zmienić temat, powiedziałem jeszcze o niewolnikach.

— Panie, tych dwoje, których zabrałem do siebie, jest w ciężkim stanie po batach tego handlarza. Pewnie długo będzie trwała ich kuracja.

— Przecież ci mówiłem, że oni mnie nie interesują, a co z nimi zrobisz, to twoja sprawa. Mnie cieszy to, że na budowie będzie ich więcej i że skarbcza nie ruszyłeś, aby za nich płacić.

— „Tu cię boli” — pomyślałem sobie.

— No nie, no nie, Taito, to musiało być przedstawienie, jak ten obrywał z twojej ręki. Tego jeszcze nie widziałem w twoim wydaniu.

Tu, jak zwykle Menes zaczął rechotać po swoim, pewnie wyobrażając sobie tę scenę, jak heką tłukę handlarza po grzbiecie. Nie przerywałem mu, aż się trochę uspokoił.

— Panie, a co z tym handlarzem? — zapytałem nieśmiało.

— Aaa..., tym. Nim i jego ludźmi zajmie się wezyr. Nakazałem jednak, aby ten nie miał litości nad nimi skoro, tak obrazili nas, kapłanów i naszych bogów. Tego się nie wybacza — to dodał, z gniewem na ustach.

— Panie, czy jeszcze masz do mnie jakieś sprawy?

— No chyba nie, no, nie. Możesz odejść.

Po minie widziałem, że Menes zaczął się już nudzić, zagłębiając się w tak błahe dla niego sprawy. Wezyr czekał już na mnie w kolejnej sali.

— I co na to, Menes? — zapytał zaciekawiony, moją z nim, rozmową.

— A jak myślisz?

— No pewnie, co zawsze, czyli kąpiel w Nilu?

— Prawie trafiłeś, bo są do twojej dyspozycji, ale ponoć nie masz się nad nimi litować. Ja ze swojej strony chciałbym porozmawiać z tym handlarzem, jeśli mi pozwolisz?

— Siedzą zamknięci w koszarach w starym zbiorniku po wodzie, ale dla ciebie są do dyspozycji i powiedz tylko Akarowi, a on wyprowadzi ci na rozmowę tego, którego będziesz chciał.

— Dziękuję ci za przysługę — odparłem wezyrowi. Gdybym miał jakąś propozycję względem nich, to wróczę, aby z tobą porozmawiać.

Poszedłem teraz do Akara, a ten bez żadnego problemu nakazał przyprowadzić tego człowieka. Na moją prośbę zostawił mnie z nim w jednej z izb, gdzie urzędował. Więzień był związany sznurami, więc nie mógł się poruszać. Ledwo, co mnie zobaczył, to już poleciały zniewagi pod moim adresem.

— Znowu się spotykamy, ty kapłańska gnido, medyku, od siedmiu boleści. Jesteś, jak gó... o słońca, wielkie i śmierdzące.

Długo jeszcze leciały obelżywe słowa w moją stronę, a ja czekałem cierpliwie, aż skończy. Trwało to dosyć długo, ale wiedziałem, że w końcu mu ich braknie.

— Skończyłeś już?

— Jeszcze nie, kpałniku.

Znowu poleciała wiązanka wyzwisk pod moim adresem. Te, także musiało mieć swój kres.

— Wiesz, co cię za to czeka? — zapytałem handlarza.

— Co mi zrobisz kapłaniku? Nic mi nie zrobisz, ty gnido.

— Wiesz myślałem, że jest w tobie trochę pokory, ale się myliłem.

Ten nadal wywrzaskiwał na mnie inne obraźliwe słowa, nie mogąc się uspokoić.

— Chciałem się wstawić za tobą, ale..

— Co, ale?! Co, ale?! — dodał z wrzaskiem.

— Ale nie warto, bo nie zasługujesz na litość. Ja mogę ci wybaczyć, że tak mnie obrażałeś, chociaż nic złego ci nie zrobiłem. Po to tu przyszedłem i powiem, że ci wybaczam, ale czy przekonasz wielkiego wezyra w to, wątpię?

— Mam w d...e wezyra i Menesa.

Już nic nie powiedziałem temu człowiekowi, albo był obłąkany, albo szukał śmierci?

— Straże — zawołałem — możecie go zabrać tam, gdzie był do tej pory. Pewnie niedługo krokodyle, będą miały z niego, ucztę?

Ten, słysząc moje słowa, jeszcze bardziej krzyczał i bluźnił nie tylko nam, ale i naszym bogom.

Gwardziści wyprowadzili go z izby, a ja poczekałem na Akara, aż ten zjawi się, aby z nim porozmawiać. Kiedy przyszedł, także był zaintrygowany treścią

naszej rozmowy.

— I co?

— Wybaczyłem mu.

— I ty mu wybaczyłeś takie zniewagi? — zapytał zdziwiony.

Jego bluźnierstwa słychać było nawet na dziedzińcu.

— A tak, wybaczyłem, ale co z nim będzie? — zdecydował już wezyr, a raczej Menes. Proszę tylko zostaw to dla siebie.

— Możesz na mnie liczyć, Taito.

To mi wystarczyło, bo znałem Akara i wiedziałem, że można na nim polegać.

— No to krokodylki będę tłusciutkie, jak wykąpiemy tego „handlarzynę” w rzece, a jeszcze i tych jego koleżków. Słudzy Sobka będą mieli wielką ucztę?

Nie odpowiedziałem mu w tym temacie.

— Coś taki zadumany? — zagadał jeszcze, Akar.

— Ty byś nie był, gdyby ktoś na ciebie nawieszał wszystkie świństwa, jakie są w bagnie?

— Pewnie, nie? — odparł.

— Ja też nie jestem, bo myślę już o świątyni i teraz ruszam na plac budowy.

— A co na to, Menes? — zapytał Akar.

— Jak zwykle, lubi takie widowiska, ale i tak całą sprawę zwałił na wezyra.

Może i dobrze, bo od tego tam jest.

Wyszedłem, pozdrawiając Akara. Gwardzista podprowadził mój zaprzęg z rydwanem i ruszyłem w kierunku świątyni.

Sprzedawca daktyli

Jechałem powoli, rozglądając się wokół. Ludzie widząc mnie zatrzymywali się, oddając mi pokłony. Jednak nie trudno było zauważyć lekkich uśmiechów, (jakby ukrywanej wdzięczności) na ich twarzach. Mnie, ciężko było patrzeć na tę biedę wokół, gdzie tylko nie spojrzeć. Starcy, dzieci w biednych koszulinach, albo i bez, kaleki bez nóg i rąk, proszący o jedzenie, lub datek. Wałęsające się psy, koty, smród z wylewnych na ulicę pomyj, to był normalny obraz tego miasta. Kim ja mogłem być w ich oczach? Nietrudno było zgadnąć. Wolałbym teraz siedzieć w swojej lecznicy i nie wystawiać nosa na ten świat. Jednak musiałem być tu i teraz, aby moje poczynania przynosiły korzyść tym, na których musiałem teraz patrzeć z góry. Moje „ka” chciało wykrzyknąć, że nie jestem ich stręczycielem, ale

nawet, gdyby, kto by w to uwierzył?

— „O wielki Ptahu, obdarz mnie zdrowiem, abym jak najdłużej mógł pomagać tym, którzy pewnie mnie nienawidzą za to, kim jestem” — pomyślałem.

Za jedną z chałup stał chłopiec sprzedając kiście dojrzałych daktyli. Zatrzymałem wóz i wysiałem. Ten, widząc kapłana, najpierw upadł na kolana, a potem osłonił ręką głowę i prawie ze szlochem zaczął mówić:

— Panie, nie bij mnie, panie nie bij, ja nic złego nie zrobiłem.

— Nikt cię nie bije — odparłem — sprzedaż mi te swoje daktyle?

Chłopiec nieśmiało podniósł głowę, nadal osłaniając się rękę.

— I jak, sprzedaż mi je? — zapytałem ponownie.

— Tak, panie, a ile chcesz? — zapytał drżącym głosem.

— A ile tego masz?

— To wszystko, co tu widzisz, panie.

Nie było tego zbyt wiele, może akurat, aby zapełnić tym mój rydwan.

— No to ładuj, wszystko.

Chłopak widząc we mnie potencjalnego kupca, zmienił swoją postawę i w pośpiechu zaczął zapełniać wóz, daktylami.

— Ile za to chcesz? — zapytałem i nie czekając jego odpowiedzi, sięgnąłem do sakwy, wyjąłem spory kawałek złota pokazałem chłopcu.

— Czy ten, ci wystarczy?

— Panie, to zbyt wiele! — odparł zdziwiony.

— Ja ci mówię, że akurat tyle, ile trzeba — dodałem z naciskiem.

— Skoro tak mówisz, panie, to twoje słowo jest ważniejsze niż moje.

Podąłem mu bryłkę. Chłopiec wyciągnął po nią rękę, a potem długo przyglądał się jej, jak ta błyszczy na jego dłoni.

— Słuchaj, czy ty masz więcej tych owoców, może macie sad koło domu?

— Mamy sad, panie, ale nikt nie chce kupować od nas i mało, co uda się sprzedać.

— Skoro tak to, co pięć wschodów Ra do mojego domu będziesz przynosił wielką kiść tych owoców, a ja będę dawał ci za nie wynagrodzenie. Czy to, ci odpowiada?

— Tak, panie! — odparł z uśmiechem, chłopak.

— To za pięć dni u mnie — potwierdziłem, wskakując do rydwanu.

Konie ruszyły z kopyta i skierowałem się w stronę świątyni, gdzie oczekiwał już na mnie Orypis z Kazemem.

Oczywiście pierwsza rozmowa pomiędzy nami dotyczyła wczorajszych wydarzeń na bazarze. Opowiedziałem chłopakom, co mnie spotkało i jak dzisiaj sprawa zakończyła się na dworze, Menesa. Potem omawialiśmy sprawy związane z budową, zagryzając przy tym słodkie i smakowite owoce daktyli, niedawno kupione od chłopaka.

Później zobaczyłem go w swojej wizji, jako wielkiego handlarza tych owoców. Wiedziałem też, że jego życie będzie bardzo trudne i wiele wysiłku będzie go kosztować, aby zostać kimś znacznieniejszym w Kemecie. Czego nie robi się dla złota? Tym bardziej, że pochodził z biednej rodziny. Nie dziwiłem się temu, gdyż bieda wycisnęła na nim swoje niezatarte piętno. Złoto dla biedy było przeciwieństwem, które chciał posiadać i je zdobył. Nawet nie znałem jego imienia, wiedziałem tylko, że będzie tym, kim chciał zostać.



Dzumana

Budowa wielkiej świątyni wchodziła już w ostatni etap. Ten był chyba najbardziej czasochłonny, gdyż prace skupiały się teraz na wykończeniach szczegółów i samej estetyce świątyni. Posągi, bogów, jeden po drugim były coraz ładniejsze i prezentowały się wspaniale. Wnęki doskonale nadawały się do ich ustawienia, gdyż te nie zajmowały dodatkowej przestrzeni świątynnego dziedzińca. Ten także porządkowano i obsadzano kwiatami i drzewami, aby wyglądał imponująco, jak na tak wielką budowlę i dom naszego bóstwa.

Zlikwidowano i nasze „wzgórze” z którego obserwowaliśmy budowę. Ziemię rozwieziono wokół świątyni, wyrównując nią pobliski teren. Także i sadzawka do rytualnych kąpeli wewnątrz dziedzińca, była już na ukończeniu i wkrótce miała zostać zalana wodą. Obok niej, były dwie mniejsze i bardziej zdobne, miały być obsadzone wodnymi roślinami, a także zaplanowałem, aby wpuszczono do nich ryby. Jednym słowem, świątynia stawała się coraz ładniejsza i sporo wyznawców Ptaha przychodziło już teraz, aby ją podziwiać.

Jak zwykle w trójkę zaglądaliśmy w każdy kąt budowy. Jedynie nie wchodziliśmy do skarbcza, gdyż wejście zaraz po zakończeniu przy nim robót nakazałem zasypać piaskiem. Nie było konieczne, aby gwardziści trzymali tam straż. Wejście odsłoni się dopiero po otwarciu świątyni i upozoruje przywóz skarbów ze starego sanktuarium, (wszystko w pozornej tajemnicy przed światem). Jak wiadomo, że zawsze znajdzie się ktoś, kto nie utrzyma języka za zębami, ale o to mi właśnie chodziło.

Wewnątrz sanktuarium ustawiono rusztowania i z nich prowadzono roboty przy stropie. Olbrzymie belki przerzucano pomiędzy murami, korzystając z różnych znanych nam sposobów. Tu dominował Ihab. Nasz wielki specjalista od ciesielki i zarazem hemu — neczer w jednej osobie. Zaciosy, zakładki, belki, stropy, dla niego nie było to żadną nowością. Pod jego kierunkiem ludzie sprawnie wykonywali swoją robotę. Nawet ci mniej zdolni, stawali się mistrzami w tej dziedzinie. Dla Ihaba nie było rzeczy niemożliwych do zrobienia, od rydwanu do stropów i całej gamy innych rzeczy związanych z drzewem, Ciesielka nie miała przed nim żadnych tajemnic. Znał się na drzewie, jak mało kto.

Podobnie było z Amr'em, ten jak i Harun, był specem od urabiania kamieni. Amr z kamienia potrafił ukształtować człowieka, który wyglądał, jak żywy. Także uczył innych, tej sztuki. Budowa posągów, była jego największą pasją. Ich wielkość wymagała innej techniki rzeźby w kamieniu. Amr był w tym lepszy od Haruna. Tu na budowie, jednak musieli wzajemnie się uzupełniać i teraz przez nią stali się nierozłączną parą. Krążyły nawet plotki, że łączyło ich nawet inne uczucie, ale nie wnikałem w ich sprawy osobiste. To były tylko plotki, a te, czasem mogły

sprawić wiele krzywdy każdemu człowiekowi.

Wokół posągów stały rusztowania i tylko stuk młotków świadczył o tym, że te nabierają formy i kształtu. Amr'a, mistrza sztuki kucia w kamieniu było wszędzie pełno. Raz był obok jednego posągu, a już za chwilę na rusztowaniu drugiego. Twarze bóstw były coraz wyraźniejsze i doskonalsze. Pod posągami biegały dzieciaki, co rusz zbierając do koszyków kamienne ułamki, odpadki po usunięciu zbędnej warstwy kamienia. Coraz bliżej byliśmy dnia ukończenia i otwarcia świątyni. Czasami przychodzili do nas, na plac budowy zwykli ludzie, aby popatrzeć, jak wprawne ręce rzemieślników tworzą budowlę i miejsce, które wkrótce miało zastąpić nie tylko w Ineb — Hedż, ale także w całym Kemecie. Także i sam Menes czasem tu wpadał, aby podziwiać to, co już powstało.

Moja lecznica znajdująca się w pobliżu, także przyciągała w swoje progi wielu mieszkańców naszego miasta. Tę, musiałem także rozbudować, gdyż i ilość chorych do leczenia, była większa, niż poprzednio, a do tego przyczyniła się także ostatnia zaraza. Neferi stała się jej stałym niewieścim medykiem nadal pomagając kobietom w ich dolegliwościach, a także w problemach zdrowotnych ich dzieci.

W domu dokończyliśmy dostawienie kolejnych izb i teraz nasza część domu była najobszerniejszą. Moi sąsiedzi kapłani, nie plotkowali na mój temat, widząc wciąż krzątających się moich niewolników. Nie mogli mieć żadnych uwag do mnie, że nadużywam swojego stanowiska do swoich potrzeb. Żyliśmy tak, aby nie wynosić się ponad stan majątności innych kapłanów. Tu w klasztorze każdy zajmował się swoimi sprawami, a jedynie łączyła nas świątynna służba. Moja, całkowicie była poświęcona budowie świątyni. Nie miałem czasu wolnego w postaci dwóch trymestrów, jak inni kapłani, aby ten poświęcić na własne potrzeby. Moja służba, była całorocznym poświęceniem się dla świątyni, a także służbą u boku naszego władcy. Miałem trochę szczęścia zostając przybocznym medykiem, faraona. Ten nie narzekał zbytnio na swoje zdrowie i tylko sporadycznie podawałem mu jakieś medykamenty. Mijały kolejne dni i trymestry naszej pracy.

Wypoczywaliśmy, co dziesięć wschodów Ra, przeważnie w towarzystwie przyjaciół. W jednym z takich wolnych dni, odwiedził mnie mój stary znajomy, Maged. Nie był sam, a przywędrował do Ineb — Hedż w towarzystwie swojej żony Afry i najmłodszej córki, Dżumany. Ta, od naszego ostatniego spotkania wyrosła i wypiękniała, stając się panną na wydaniu. Powitałem ich serdecznie w moich progach i ugościłem, jak kiedyś Maged, ugościł mnie. Nasze powitanie było ciepłe i serdeczne. Na mój widok cała rodzinka, (bez dwóch starszych córek) kłaniała mi się nisko, jednocześnie podziwiając insygnia władzy, jaką piastowałem z polecenia, Menesa.

— Jestem zaskoczony, Taito, że stałeś się tak szybko, kimś wielkim w tej naszej krainie i piastujesz tak wysoki urząd.

Tak na powitanie zagadał mnie, Maged.

— Słyszałem już wiele o tobie, a twoja sława sięga po krańce naszej ziemi.

— Nie jestem sławny, a tylko robię to, co nakazuje mi władca i moje „ka”.

Chcąc zmienić temat zapytałem go o rodzinę, a konkretnie o pozostałe dwie córki z którymi chciał mnie kiedyś wyswatać. Te starsze, jak się teraz dowiedziałem, (zgodnie z moją przepowiednią) wyszły dobrze za mąż i obdarzyły Mageda i Afrę ślicznymi wnuczętami. Dżumana nie zapomniała mnie i teraz, jako dorosła już kobieta patrzyła na mnie, niczym kot na sperkę. Pewnie w jej oczach byłbym niezłym kandydatem na męża? Często się zdarza, że dorastające dziewczynki zakochują się w jakimś chłopcu i zapamiętują to na wiele lat. Potem starają się, aby ta dziecięca miłość stała się rzeczywistością. Niestety, nie zawsze marzenia się spełniają.

— Poznajesz ją, Taito?

Tymi słowami zwrócił się do mnie Maged, kiedy pałaszowaliśmy słodkie migdały na tarasie domu.

— Dlaczego miałbym nie poznać? To przecież twoje oczko w głowie, najmłodsza i śliczna, jak zawsze, Dżumana.

Dżumana, słysząc moje słowa wyprężyła się, jakby chcąc pochwalić się przede mną swoim biustem i śliczną buzią.

— Tak, ale zobacz, jak wydorosła! — zagadał, Maged.

— „Pewnie wiem, do czego znowu zmierza ten uparty w swoich działaniach, człowieczek?”

Nie miałem na myśli niczego złego o nim, bo wiedziałem, że to człowiek dobry i dbający o swoją rodzinę. Dlatego też, jego swaty brałem z przymrużeniem oka. Z drugiej strony moja postawa mogła być z ich punktu widzenia, krzywdząca. Gdybym każdemu z takich rodziców był przychylny, to pewnie miałbym już obok siebie niezły harem z kobietami, którego mógłby mi pozazdrościć nawet, Menes.

— Piękna kobieta — odpowiedziałem Magedowi na informację o Dżumanie.

— Pewnie za niedługo wyjdzie za mąż?

— Jeszcze nie ma kandydata do swojej ręki.

— Nie musisz się martwić, wkrótce go znajdzie — odparłem przekornie, ojcu.

— No wiesz, nie takiej odpowiedzi spodziewałem się po tobie.

— A jakiej?

— No, że ty ..., że tego ...

Teraz to już było pewne do czego znowu zmierza i w jakim celu była ta jego wizyta? Musiałem stanowczo rozwiązać tę sprawę, aby nie przedłużać jego złudzeń.

— Jesteś wielkim człowiekiem, Magedzie i żywię do ciebie i twojej rodziny wielki szacunek i darzę was wielką przyjaźnią. Muszę ci jednak powiedzieć,

a raczej przypomnieć, że zostając hemu — neczer, złożyłem ślubowanie czystości i życia w celibacie. Przykro mi dobry człowieku, ale nie mogę zostać twoim zięciem. Ponad to, moja funkcja wielkiego budowniczego i królewskiego medyka wymaga całkowitego poświęcenia się na rzecz władcy. To wszystko nie sprzyja poświęceniu się rodzinie. Ja, nie chciałbym być złym mężem dla tak wspaniałej, jak Dżumana, dziewczyny. Nie miałbym czasu na dbanie o nią i dom. Wybacz mi panie, że znowu sprawiam ci zawód, ale nie mogę postąpić inaczej.

Maged posmutniał, a Dżumanie patrzącej na mnie i słuchającej moich słów, popłynęły łzy po policzkach. Jedyne Afra siedziała, jakaś naburmuszona, jakby wcześniej znając moją odpowiedź. Było mi przykro i smutno zarazem, ale cóż mogłem zrobić?

Pod koniec naszej rozmowy nadeszła, Neferi. Widząc śliczną Dżumanę i widząc pewnie, co się święci, zareagowała natychmiast na obecność dziewczyny. Zazdrość, nie pozwalała jej tolerować żadnej rywalki obok siebie. Oczywiście była grzeczna wobec jej rodziców, ale nie dla niej?

— A ty, co tu robisz, czego tu szukasz u Taity? Mało ci innych?

Neferi, przeszła samą siebie. Dżumana była zdziwiona jej zachowaniem, podobnie jak Maged i Afra. Pewnie pomyśleli, że przychodzi do mnie, jakaś nieznajoma im kapłanka i zaczyna rządzić się w moim domu. Nie mogłem dopuścić do kłótni i obrażania moich gości.

— Neferi, przestań! — zwróciłem się ostro do dziewczyny — jeśli nie chcesz uszanować moich gości, to wyjdź z mojego domu, albo zamilknij!

Były to mocne słowa i Neferi zła jak osa, opuściła taras, mrucząc coś pod nosem. Wiedziałem, że wkrótce jej to przejdzie i potem będzie znowu przepraszać, oczywiście się nie pomyliłem. Kapłanka nie wyszła z mojego domu, a czekała w kuchni, aż tamci, opuszczą mój dom, a potem, jak zwykle było to wspomniane, przepraszenie. Cała w pełni zazdrosna, Neferi, a ja, jak zwykle dobrodusznie, wybaczalem.

Kiedy moje spotkanie z Magedem dobiegło końca, pożegnaliśmy się czule, obiecując sobie kolejne odwiedziny tu, lub w ich domu, jeśli kiedyś znajdę się, gdzieś w jego pobliżu.

Przy wyjściu było jeszcze jedno zaskoczenie ze strony, Dżumany. Ta, poprosiła mnie o pokazanie sobie, moich osiołków. Nie wiedziałem, dlaczego? Może dlatego, jak mi powiedziała, że bardzo lubi kłapouche. Niewiasty mają różne kaprysy, więc i ta śliczna dziewczyna mogła je mieć. Niekiedy polubią jakieś zwierzęta i te, stają się ich pupilami i są przez nie traktowane niczym dzieci.

Chwilę później prawda wyszła na jaw. Maged i Afra nie chcieli wchodzić do obórki, ze względu na nieprzyjemny dla nich, zapach zwierząt. Dżumana prawie mnie tam wciągnęła, jakby nigdy wcześniej nie widziała osła. Potem, niby to patrząc na Azibo, zagadała mnie w innym temacie. Chyba chciała użyć

względem mnie swojego kobiecego fortelu?

— Taito, pamiętasz, jak wtedy wyleczyłeś moje ciało z tego ropnia?

— Oczywiście, że pamiętam, takich spraw się nie zapomina. — potwierdziłem.

— Wiesz, dzięki tobie tak wspaniale mi się to zagoiło, że nawet żaden ślad po tym nie pozostał. Zobacz, jak to teraz wygląda.

Tu dziewczyna szybkim ruchem podniosła całą swoją narzutę, odsłaniając przede mną swoje okazałe piersi. Cóż mogłem zrobić?

— Tak, nie masz już żadnego śladu. Chwyliłem dziewczynę za rękę, jednocześnie ściągnając je w dół tak, aby narzuta ponownie znalazła się na swoim miejscu.

— Nie podobają ci się moje piersi? Takimi potrafię wykarmić nasze dzieci. Kocham cię, Taito. Od dawna, od wtedy cię kocham — usłyszałem teraz od Dżumany.

— Już zapomniałaś o czym mówiłem tam, na tarasie?

Jej reakcja była natychmiastowa. Z wielkim płaczem wybiegła z obórki, wprost w ramiona matki.

— Co się jej stało, Taito? — zapytała zaniepokojona tym faktem, Afra.

— Wybacz pani, ale mój osiołek Azibo ugryzł ją nieznacznie, a raczej tylko lekko uszczypnął, kiedy wyciągnęła do niego rękę. Nic wielkiego się nie stało, tylko dziewczyna się wystraszyła — zełgałem.

Dżumana, nadal łkała w ramionach matki. Odprowadziłem gości do bramy i pożegnałem ponownie, życząc im spokojnego powrotu do domu. Ponoć mieli jeszcze w planie odwiedzić siostry Afry, mieszkającej tu, gdzieś w Ineb — Hedż.

Kiedy wróciłem na taras, tam czekała już na mnie, Neferi.

— Czego ta jędza chciała od ciebie?

— Nic takiego, zobaczyć nasze osiołki.

— Co, osiołki, co ty bredzisz?!

— Bajek mi nie opowiadaj, już ja wiem swoje!

— Jak wiesz, to czemu pytasz?

— Tobie nie można ufać, jak każdemu mężczyźnie.

— A tobie, pewnie tak? — odpaliłem.

Chcąc ją jeszcze zdenerwować, niepotrzebnie powiedziałem jej, że dziewczyna chciała mi pokazać swoją dawną ranę i zdjęła narzutę. Tego było już za wiele dla kapłanki i jak zwykle urażona, zaczęła wywody na temat swojego ponętnego ciała. Cięgiem, aż do znudzenia przedstawiała mi jego zalety.

Zorientowałem się jednak, że Neferi wciąga mnie w swoją pyskówkę i przestałem się odzywać dopóki jej emocje nie opadły, a trwało to jeszcze długą chwilę. Pewnie spotkanie z Dżumaną, tak na nią podziałało, gdyż tym razem szybko wróciła do siebie.

Kolejne dni mijały, jak zwykle pod znakiem mozolnej pracy, a tej było sporo i nigdy jej nie brakowało. Ataris i Horu powoli wracali do zdrowia i chłopak coraz częściej siadywał na tarasowej ławeczce i już mniej uskarżał się na ból. Moi chłopcy kończyli produkcję cegieł i powoli zwozili ten materiał na teren naszej małej budowy. Przypuszczałem, że za kilkanaście wschodów Ra zaczniemy budować już ściany dobudówki.

Budowa świątyni, także posuwała się do przodu i od kiedy przybyło nam niewolników, których pozyskałem ostatnio z targowiska, zwiększyło się tempo robót. Ukończono dach nad główną częścią sanktuarium i kończono zadaszenie bocznych pomieszczeń. Nadal porządkowano świątynny plac i demontowano już rusztowania wokół posągów. Wewnątrz przyszłego sanktuarium przygotowywano nowy, duży posąg Ptaha, oraz arkę do sanktuarium. Samo bóstwo, (mniejsza figura) miało zostać przeniesione do nowego sanktuarium w uroczystym pochodzie po zakończeniu budowy. W tym samym czasie zamierzaliśmy także udostępnić wejście do skarbcza. Tu dopowiem, że sama podstawa arki, stała się wejściem do podziemi. Orypis wraz z kilkoma kamieniarzami i kowalami przygotowywali teraz zabezpieczenia tego wejścia. Wielu o nim wiedziało, ale bali się tam wchodzić, obawiając się klątwy. Poprzednie „przedstawienia” zrobiły swoje. Mogłem polegać na Orypisie i jego pomysłach. Ten wytłumaczył mi, jak będą działały te zabezpieczenia i co należy zrobić, aby wejście było tam, możliwe. Skarbiec był teraz pusty i pułapki nieuruchomione, więc każdy, (bardziej odważny) mógł tam wejść i to do ostatniej sali. Orypis posypał chodniki prochem, więc każde ślady wejścia mogły być tam widoczne. Nienaruszalność tego miejsca sprawdzano każdego dnia, jednak nic nie wskazywało, aby ktoś tam wchodził. Kiedy zakończono budowę zabezpieczeń, Orypis zamknął wejście i w procedurę odblokowania rygli wtajemniczył mnie, oraz kapłanów, przyszłych strażników skarbcza: Kahotepa i Awi'ego. Zanim to nastąpiło, kowal Orypisa wyposażył nasze kapłańskie heki w dziwne ozdoby, które zamontował na jednym z końców każdej laski. Te równocześnie włożone w odpowiednie otwory znajdujące się pod wielkim posągiem Ptaha i obrócone kilkakrotnie, otwierały wejście do podziemi. Podobnie było z resztą pułapek. Tylko przy obecności nas trzech kapłanów, można było tam wejść. Dla zmyłki, Orypis wykonał więcej otworów, tworząc, jakby planszę gry w seneta. Nie znając położenia podstawowych otworów i nie mając wszystkich kapłańskich lasek, wejście do skarbcza było niemożliwe.

Pochwaliłem mojego przyjaciela za solidnie wykonaną pracę. To on, (kiedyś po którymś z nas) dostąpi zaszczytu bycia strażnikiem skarbcza. Według moich kolejnych obliczeń budowa świątyni zostanie zakończona po nadchodzącym wylewie Nilu. Do niego pozostał tylko jeden trymestr, czyli cztery miesiące.

Zbliżały się też kolejne moje urodziny.



Nowe pomysły i nagroda

Znając już dosyć dokładny termin otwarcia świątyni, musiałem powiadomić o nim i samego Menesa. Wraz z Kazemem, oraz Orypisem udaliśmy się do pałacu faraona. Wiadomość, jaką przekazałem władcy, sprawiła mu ogromną radość. Mijało pięć wylewów od czasu, kiedy rozpoczęto budowę. Zmieściliśmy się w terminie wykonania tego świętego przybytku. Menes śmiał się, żartował i z radości skakał, jak małe dziecko. Dla niego był to kolejny, jeden wielki pokaz jego rządów w tej nowo zjednoczonej krainie. Pewnie już rozmyślał, jaką oprawę nadać tej wielkiej uroczystości otwarcia. Ja miałem inny problem, a byli nim niewolnicy i ci, co odpracowywali swoje podatki. Niektórzy dopiero, co znaleźli się na budowie i spłacanie ich długu musiałyby potrwać jeszcze kilka wylewów naszej świętej rzeki. Dla nich miałem już w planach pewne rozwiązanie tego dylematu. Gorzej było z niewolnikami, gdyż było ich sporo, a nie chciałem, aby znowu ich sprzedano, aby zasilić skarbiec władcy. W pewnym sensie miałem nad nimi pieczę i mogłem zadbać o nich bardziej, niż jakiś inny kolejny ich właściciel.

Po tych wstępnych informacjach dotyczących zakończenia budowy, poprosiłem władcę o rozmowę w cztery oczy i pozwolenie oddalenia, Orypisa i Kazema.

— Cóż to, Taito? Tylko ze mną chcesz rozmawiać, pewnie masz dla mnie, jakąś wielką tajemnicę do ujawnienia?

— „Może Menes myślał o skarbcu?” — przeszło mi przez myśl.

— Panie, tajemnica nie jest wielka, ani mała, ot taka sobie. Wkrótce dla wiernych otworzą się bramy świątyni, a ty w chwale uczynisz ten przybytek świętym, jak to było za naszych przodków. Lud wielbił cię będzie za to, że tak wielkim darem dla wszystkich jednasz łaski wielkiego Ptaha. Będiesz teraz panował w tej stolicy, jak żaden inny władca przed tobą.

— Do czego zmierzasz, Taito? — dodał zniecierpliwiony moimi pochlebstwami, faraon.

— Mam jeszcze jeden pomysł, a w zasadzie dwa, aby twoja chwała była jeszcze większa, o panie.

— Mów, mów kapłanie — ponaglał, Menes.

— Jak wiesz, panie, cała rzesza poddanych budowała tę świątynię dla boskiej i twojej, chwały. Pomiedzy budującymi są niewolnicy, ludzie odrabiający swoje zaległe podatki, rzemieślnicy i wielu innych. Budowa dobiega końca i trzeba coś postanowić z tymi ludźmi. Jest ich wielu, może zbyt wielu. Otóż panie, wpadłem na taki pomysł, abyś w dniu otwarcia przybytku z woli swojej, wszystkim tym odrabiającym podatki darował ich długi, względem królestwa, czyli ciebie

w twojej boskiej osobie. Ci ludzie wrócą do siebie i nadal będą pracować na swoich polach, czy w innych zawodach, przysparzając ci bogactwa. Dla nich staniesz się wielkim wspaniałym władcą, który potrafi umiejętnie rządzić Kemetem. W ich sercach i umysłach pozostaniesz po wsze czasy, a twoje imię wspominać będą kolejne pokolenia tych ułaskawionych.

Menes, (jak zauważyłem) był głęboko wzruszony moimi słowami i już charakterystyczny uśmiech zadowolenia, zaczął pojawiać się na jego twarzy.

— A co z niewolnikami, ich też jest sporo?

— I o nich pomyślałem, o wielki. W naszym mieście po zakończeniu budowy tamy, nie została zakończona budowa kanałów. Te nieukończone, nie przysparzają terenów upraw, a tym samym twój skarbiec napełnia się wolniej. Tama jest twoim wspaniałym pomysłem, a ten, trzeba wykorzystać w jeszcze większym zakresie. Jeśli rozbudujemy sieć kanałów, to przybędzie nam pól. Jeśli będzie więcej pól, będą większe plony i spichrze będą pęcznić i kupcy napełnią twój skarbiec.

— Już wiem do czego zmierzasz, kapłanie — wtrącił, Menes.

— Tak panie, proponuję ci, aby niewolnicy pracowali przy budowie kanałów. Sprzedanie ich, dałoby ci tylko jednorazowy przychód, a w ten sposób, jaki ci zaproponowałem z każdym rokiem będą rosły stosy złota w twoim skarbcu.

Taka wiadomość musiała pobudzić umysł każdego, żadnego władcy i złota.

— Tu jednak wielka próśba do ciebie, o wielki.

Jak wiesz, niewolnicy do tej pory utworzyli jedno wielkie miasteczko namiotowe, a to nie wygląda ciekawie w pobliżu świątyni. Moją propozycją jest, abyś zezwolił na budowę ich własnych domów w miejscu nieco oddalonym od tego obecnego. Mam już w głowie plan, gdzie można by zrealizować ten pomysł. Myślę też, abyś dał im wszystkim, jakieś dwa trymestry na postawienie swoich siedzib, oraz wypoczynek po tej ciężkiej pracy przy budowie świętego przybytku. Potem będą pracować przy kanałach. Wielu z nich założy swoje rodziny i przybędzie ci rąk do pracy. Im będą bardziej zadowoleni, tym lepiej będą pracować, a ja zapewnię ci to panie i masz na to moje słowo. Taką rzeszę ludzi trzeba też wykarmić, więc tu nie chciałbym wielkich zmian, a jedynie wprowadzenie im jakiegoś niskiego żołdu, podobnie, jak jest to u twoich gwardzistów. Każdy sam zadba o swoje wyżywienie i my nie będziemy mieć z nimi tego problemu. Jeśli sami dobrze się zorganizują, to będzie im łatwiej. Co do tego, także mam pewne plany, ale nie chciałbym ci nimi zawracać głowy o panie, gdyż nie są godne twojej świętej osoby.

To, co przekazałem Menesowi, zmieniało nieco punkt jego widzenia na niewolników. Nie wiedziałem też, jaka będzie jego reakcja na moje propozycje? Kiedy skończyłem, władca zaczął przechadzać się po sali, pocierając brodę, ręką. Rozmyślał, co mi odpowiedzieć, a ja bałem się jego decyzji.

— No dobrze, Taito, masz wspaniałe pomysły, ale nie wszystko mi się podoba. Darowanie podatków, tak. Miasteczko dla niewolników również, ale ten czas wypoczynku dla nich jest zbyt długi? Jeden trymestr na odpoczynek i budowę swoich domów tak, ale nic więcej. Co do żołądka, to muszę to przemyśleć, może dam im poletka w dzierżawę, aby tam pracowali, jak chłopci na własne jedzenie?

— Tak, panie. Lecz, aby ci ludzie mogli żyć i pracować dla ciebie, część z nich musi pracować na swoich polach, by oni ich rodziny nie pomarły z głodu. Na tym, także musi nam zależeć, gdyż przy takim rozwiązaniu mniejsza ich ilość będzie pracować przy kanałach. Jakkolwiek panie, byś nie uczynił: czy żołądek, czy bez niego, to i tak będą straty dla skarbcza. To, jak z obrabianym drzewem. Jest rzeźba, to muszą być wióry, kiedy ona powstaje.

— Mądrze mówisz, kapłanie i wiem, o co ci chodzi.

— Panie, postaram się, aby ta gorsza strona była dla ciebie, jak najmniej uciążliwa, a w tym, to już moja głowa.

— Ufam ci kapłanie i to, co mi powiedziałeś możesz realizować, jak postanowiłem. Niechaj skryba zapisze moje słowa.

— Dzięki ci o wielki — ukloniłem się Menesowi.

— Teraz i ja mam dla ciebie Taito, propozycję nie do odrzucenia. Do tej pory milczałem, ale nadszedł czas na ciebie.

Jego słowa były jakies dziwne i aż dostałem gęsiej skórki, kiedy pomyślałem o Nilu.

— Kiedy otworzę drzwi świątyni, ty doznasz największej łaski, jaka może spotkać każdego hemu — neczer. Tego dnia, kiedy Chonsu będzie lśnił swoim pełnym blaskiem twoje ciało zostanie namaszczone świętymi olejkami i przyobleczesz się w szaty arcykapłana tej świątyni.

Słyszając te słowa wielkiego faraona, upadłem przed nim na twarz, dziękując za tak wielką łaskę, jakiej miałem zaznać z jego woli.

— Wstań, Taito, bo jeszcze nie skończyłem. Mam też dla ciebie smutniejszą wiadomość, która dotyczy twojego przyjaciela i zastępcy, Kazema. Ja w swoje łaskowości i na prośbę wezyra Ipet — sut, (Karnaku) postanowiłem powierzyć Kazemowi zaszczytną funkcję budowniczego świątyni bogini, Nut. Dla niego będzie to zaszczytem, ale was czeka rozłąka, może nawet długa? On jeszcze o tym nie wie, lecz jeszcze dzisiaj wyślę do niego swojego gońca, aby ten zjawił się w moim pałacu. Pewnie będzie tym zaskoczony? Ciebie nie mogę tam wysłać, bo wraz z Orypisem będziecie dla mnie wypełniać inne, równie ważne zadanie. Kazem już sprawdził się na budowie, wiem to z twoich informacji, więc niechaj tam pokaże, co potrafi zdziałać w pojedynkę.

Faktycznie nie była to dla mnie ciekawa wiadomość, tracę swojego przyjaciela, nie wiedząc na jak długo. Przed oczyma pojawił mi się teraz jego dom, żony, dzieci i te zawsze serdeczne ich powitania, kiedy tylko stanąłem w jego

progach. Zamyśliłem się głęboko, pomimo bliskiej obecności faraona.

— Widzę Taito, że już zaczynasz przeżywać rozstanie z Kazemem.

— Tak panie, ale wiem też, że nie można trzymać młodego sokoła wciąż na uwięzi. W końcu musi wzlecieć w niebo i poszybować, jak wolny ptak.

— Pięknie to powiedziałeś, kapłanie — odparł Menes.

— Może i tak, panie, ale moje „ka” już trawi smutek po nadchodzącej utracie przyjaciela.

— Myślę, że jutro poprawię twój humor. Z twoimi przyjaciółmi, jutro w porze mojego południowego posiłku, chcę was widzieć w pałacu, a teraz możesz odejść.

Wróciłem do siebie z głową pełną pomysłów, a także i obaw, co do przyszłości Kazema, czy też losu niewolników. Moje dziewczyny zaraz zorientowały się, że mam na głowie sporo problemów i chodzę roztrzęsiony. Opowiedziałem im o mojej wizycie w pałacu i decyzjach faraona.

— Panie, wiele zyskałeś dla tych ludzi i powinieneś się cieszyć, a nie smucić — powiedziała do mnie, Akme.

— Pewnie tak, ale do tego jeszcze daleka droga i czy słowo dane przez Menesa, będzie coś warte?

— Nie martw się panie, będzie dobrze.

Chciałem jeszcze porozmawiać z nowymi niewolnikami o naszych kontaktach rodzinnych, lecz nie byłem w stanie. Akme i Ned wymasowały mi plecy i po kąpieli musiałem chwilę się przespać, gdyż pomimo dnia moje oczy, same się zamykały. Zbyt wiele na raz różnych spraw i wiadomości, zrobiło swoje. Przebudziłem się przed wieczorem po to, aby tylko zjeść wieczorny posiłek i ponownie udać na spoczynek.

Po takim długim śnie wstałem bardzo wcześnie. Przygotowałem sobie śniadanie, poszedłem na taras, aby go zjeść i przy okazji popatrzeć na wschodzące słońce.

Miasto powoli budziło się do życia. Rolnicy wyruszali na swoje poletka. Z obórek dobiegały ryki niewydojonych krów, słychać było też pierwsze rozmowy mieszkańców tych, co zaczęli dzieńbardzo wcześnie, jak i ja. Typowy dzień w Ineb — Hedż.

Dziewczyny myśląc pewnie, że jeszcze śpię, przygotowywały się do wyjścia na zakupy na bazarze. Azibo wraz ze swoją partnerką stały już zaprzężone do naszego dwukołowego wózka. Tym razem role dostawców przypadły: Akme i Ataris. Przyglądałem się im z tarasu, spoglądając także na mury naszych nowych izb. Te były już na ukończeniu i wystarczyło je tylko nakryć dachem. Do tego konieczne było drewno i palmowe liście. Przywołałem Dar'a, który wraz z dziewczynami pojawił się już na podwórku i wręczyłem mu sakiewkę. Poleciałem także przywołać do mnie pozostałych chłopaków, bez Horu, który jeszcze leczył

swoje rany.

— Kiedy dziewczyny wrócą z bazaru, do wózka zaprzęgniecie wołu i udacie się do portu po drzewo. Kupicie takie pnie o długości dwóch i pół włóczni i grubości na około jedną dłoń. Jak przemierzycie ile długości dłoni mieści się w jednej włóczni, to będziecie wiedzieć, ile wam będzie potrzebnych takich pni na dach naszego domu. Tu wam dopowiem, że cała długość tych obydwu izb, to pięć długości włóczni.

Czasem lubiłem chłopakom zadawać takie zadania, aby potrafili sami dojść do tego, co od nich chciałem.

— Jeśli dzisiaj dacie sobie z tym radę, to spróbujcie załatwić jeszcze trochę liści palmowych na dach, aby nimi nakryć tę drewnianą konstrukcję.

Mając jeszcze sporo wolnego czasu do spotkania z władcą zacząłem rozmyślać nad sprawą samego wezwania, a także nad miasteczkiem dla niewolników i tym, co nakazał mi Menes, przy okazji wczorajszej rozmowy. Wczorajsza rozmowa z faraonem nie była taka tragiczna, jak to wcześniej osądzałem. Dziewczyny miały rację, że będzie to wielka korzyść dla tych biedaków i da im też więcej swobody. Zamierzałem zlokalizować ich miasteczko, na terenach od północnej strony Ineb — Hedż, a był to teren poza tamą, więc nie narażony na zalewanie go przez wody świętego Nilu. Wszystko to, powstawało na razie w moich myślach, ale obraz był dokładny i realny do wykonania. W moich planach była równomierna zabudowa tego terenu wraz z traktami tak, aby pomiędzy domami mogły się mijać bez problemu nawet dwa wozy. Pomyślałem o studniach, domkach, obórkach, a nawet i wygódkach. Było też miejsce na kanały i poletka, jakie mieli otrzymać niewolnicy. Kiedy później znalazłem się w pałacu i chciałem to wszystko przekazać Menesowi, ten stwierdził, że jestem wielkim budowniczym i moja w tym głowa, aby wszystko było dobrze. Dał mi wolną rękę i o to mi chodziło. Oczywiście do pomocy miałem Orypisa i pozostałą resztę naszych kapłanów wprawionych już w budowę świątyni. Przemyslenia dotyczące miasteczka zajęły mi całe przedpołudnie i kiedy nadeszła pora, udałem się do pałacu. Tam czekał już na mnie Kazem i Orypis.

Po powitaniu władcy w sali tronowej, ten gestem ręki zaprosił nas do sali jadalnej. Tam czekała na nas przygotowana wcześniej taka uczta, jakiej dotąd jeszcze nie widziałem. Na stołach było wszystko o czym można było sobie zamarzyć. Prawie nagie niewolnice, obsługiwały nas biesiadników, podając wskazane im kawałki i dolewając piwa i wina do naszych pucharków. Inne dziewczyny płały przy taktach muzyki, wyginając przed nami swoje powabne ciała. Byli także zamorscy treserzy, którzy pokazywali swoje wyćwiczone zwierzaki. Niektóre były nam nieznane i dziwne w swoim wyglądzie, jak i ludzie, którzy je tu przyprowadzili.

Menes był już w swoim żywiole, klaskał, śmiał się i dowcipkował, jak

to zwykle u niego bywało przy takich okazjach. Dzisiaj był też niezwykle hojny dla wszystkich i co chwilę tancerzom rzucał, jakieś kosztowności za ich występy. Pewnie w jego głowie wina było już dosyć sporo?

W końcu, kiedy uczta dobiegała już do końca, Menes wstał i przywołał do siebie skrybę i skarbnika. Obaj pojawili się natychmiast, każdy niosąc, coś ze sobą: skarbnik sakiewki, a skryba zwoje. Teraz skinął na nas, abyśmy podeszli przed jego oblicze.

— Taito, ukończyłeś świątynię, jak obiecałeś, a ja obiecałem tobie, że nie obejdzie się bez nagrody dla ciebie. W podzięcie, otrzymujesz tę wielką sakiewkę kosztowności na jaką sobie zasłużyłeś, a także daję ci ziemie, które od teraz będą twoją własnością.

Skinął na skarbnika i skrybę, aby ci podali mu trzymane przez siebie przedmioty.

— Muszę ci powiedzieć, że twoja ziemia, jaką ci nadaję, to wiele pól położonych powyżej portu. Teren, który otrzymałeś wskaże ci mój pałacowy, wymierzacz.

W podzięcie uklęknąłem na kolana, bijąc pokłony w stronę władcy. Ten pewnie nie zwracał na to zbytnej uwagi, bo już zwracał się do Orypisa.

— I dla ciebie jest nagroda taka, jak dla Taity, może tylko kapkę mniejsza, ale odtąd wasze ziemie będą leżeć obok siebie. Zostajecie teraz sąsiadami — dodał z uśmiechem, wręczając Orypisiowi zwój i sakiewkę.

— Teraz ty, Kazemie. Dla ciebie mam trochę inną nagrodę. Wczoraj przekazałem ci moją decyzję, dotyczącą wyjazdu do Ipet — Sut. Za swoje zasługi przy budowie świątyni, jako zastępca Taity, otrzymujesz sakiewkę, a i drugą na zagospodarowanie się w nowym domu. Dostajesz też tytuł nadania ziemi w tym mieście, a jego wezyr wskaże ci teren, gdzie powstanie twój nowy dom. Wiem, że to wspaniałe miejsce i ponoć ziemia daje tam wielkie plony.

Obok mnie klęczał już Orypis i po chwili dołączył się do nas, Kazem.

— No powstańcie już z kolan — zgadnął, Menes — dosyć już tych waszych czułości.

Wróciliśmy na swoje miejsca i zabawa trwała dalej. Kiedy odchodziłem sprzed oblicza władcy, ten nakazał mi, abym w kolejnym dniu przed jego obliczem, zjawili się pozostali kapłani, budowniczości świątyni. Także i na nich czekały nagrody za swoją pracę, jaką włożyli w budowę tego świętego miejsca. Nikt jednak nie wspominał o całej tej rzeszy biedaków i niewolników na których barkach spoczywała ta najcięższa praca. W końcu, faraon znużony ucztą, wrócił do swoich komnat, nakazując nam dalsze ucztowanie i zabawę.

Pod jego nieobecność, rozmowy stały się luźniejsze i gadaliśmy o wszystkim i o niczym. No może nie całkiem, bo pod koniec uczty, żegnaliśmy już naszego przyjaciela, Kazema. Ten planował swój wyjazd z rodziną już za kilka dni zgodnie

z wolą panującego.

W dniu wyjazdu zjawił się ze swoją rodziną i bliskimi w moim domu. Wyjeżdżali wszyscy, którzy zamieszkiwali w jego gospodarstwie, a było ich sporo. W porcie czekało już kilka feluk królewskich poborców, które wezyr wyznaczył do ich transportu. Cały dobytek mojego przyjaciela powędrował na przystań. Wraz z Neferi, Orypisem i moimi domownikami, odprowadziliśmy Kazema i jego rodzinę na przystań. Kiedy odpływali, łzy miałem w oczach. Niby te kilka lat spędzonych ze sobą, a jak wiele znaczył dla mnie ten chłopak? Z żalem wspominałem też jego żony i służki, które niegdyś poznałem, jako niewolnice Akara.

Kazem nie doczekał otwarcia świątyni w Ineb — Hedż i mojej nominacji na arcykapłana. Nakaz władcy był ważniejszy i musiał go wypełnić bez sprzeciwu. Z opuszczonymi głowami wróciliśmy do swoich domów.

Nadszedł czas wylewu i moje kolejne urodziny, te spędziłem w swoim domu wraz z moimi przyjaciółmi. Zabawa z tej okazji nie była zbyt huczna, ot taka sobie, jak przy każdych innych urodzinach. Neferi, jak zwykle przedawkowała z winem i znowu próbowała na mnie swoich kobiecych sztuczek uwodzenia, które jak zwykle spełżyły na niczym. Dobrze, że reszta moich przyjaciół — niewolników nie widziała tego, co ta kapłanka znowu, wyprawia. Spali dobrze, po tym mocnym nektarze, jaki ostatnio sami zrobiliśmy z winorośli, bo te zaczęły już owocować przed naszym domem. Neferi pobudzona tym napojem pozdejmowała z siebie wszelkie odzienie i zaczęła mi pokazywać nowy taniec brzucha, jaki ponoć ostatnio wymyśliła tańcząc w świątyni Hathor. Pewnie przed boginią nie była taka goła, jak przede mną. Odwracałem głowę w stronę ściany, aby ta nie drażniła mnie swoimi wdziękami. Dziewczyna i na to znalazła sposób próbując mnie odwracać i przytulać moją głowę do swoich piersi. Ale i na to znalazłem sposób. Kilka pucharów wina więcej i zasnąłem niczym niemowlę. Neferi stwierdziwszy, że moje „ka” wędruje po „krajnie motyli”, (jak zwaliśmy niekiedy ten stan upojenia) dała sobie spokój z uwodzeniem. I wtedy nie dała rady sprowokować mnie swoją nagością.

Rankiem, następnego dnia obudziłem się z lekkim bólem głowy. Ta obolała część mojego ciała leżała akurat na jej brzuchu i z każdym jej oddechem unosiła się w górę, lub opadała w dół. Neferi chrapała, niczym prychający Azibo, kiedy widzi oślicę w rui. Z pozostałych izb, także dobiegały mnie podobne odgłosy, jakie wydawała z siebie śpiąca i upojona winem, kapłanka.

Tu muszę dopowiedzieć, że dobudówka dawno została ukończona i obydwie pary naszych nowych mieszkańców otrzymały swoje kąty do zamieszkania. Moja izba była już tylko dla mnie i czasami, jak dawniej bywała tu Neferi, kiedy z jakiejś podobnej przyczyny nie wracała do siebie. Jej gościny pod moim dachem wolałem jednak unikać, wiedząc do czego ta śliczna i napalona na mnie dziewczyna jest

zdolna.



Przygotowania do uroczystości

W końcu nadszedł ten ważny dzień, kiedy Menes otworzył drzwi do nowego przybytku wielkiego Ptaha. Tego dnia ogłoszono wielkie państwowe święto. Nikt nie pracował, a ludzie bawili się na placach i ulicach już od samego rana. Faraon nakazał rozdawać biedocie jedzenie i owocowe smakołyki. Rydwany i wozy Akara jeździły po całym mieście rozwożąc dary. Chmury dzieciaków w locie rozchwytywały rzucane im daktyle i inne słodkości. Biedaków, bardziej interesowało konkretniejsze jedzenie. Rozdawano chleby i niewielkie kawałki mięsa antylopy. Całe rzesze rzemieślników, kupców, gwardzistów, uczestniczyło w tych przygotowaniach. W mieście huczało, jak w ulu i nawet ludzi wydawało się być, jakby więcej? Może było to tylko złudzenie?

— „Kiedy święto, to każdy chce się pokazać” — pomyślałem.

Rozpoczęcie uroczystości otwarcia bram świątyni wyznaczono w porze, kiedy wielki Ra sięgał tronu bogini Nut. Przeniesienie arki, nastąpiło nieco wcześniej, aby ta o właściwej porze mogła się znaleźć na miejscu swojego przeznaczenia. W tej wielkiej uroczystości każdy miał coś do spełnienia. Także i mnie, władca wyznaczył ważną rolę w tej ceremonii. Od śmierci Nebtawi’ego, stanowisko arcykapłana nie miało swojego następcy. Menes zwlekał z moją nominacją, aby ta odbyła się już w nowej świątyni. Z tego względu pełniłem rolę zastępcy arcykapłana i moim zadaniem było towarzyszenie Menesowi we wszystkich obrządkach, poczynawszy od opuszczenia pałacu (z orszakiem świty) do bram nowej świątyni. Byłem poddenerwowany tym faktem, bo zawsze starałem się być jak najdalej od faraona, ale teraz nie mogłem się wywinąć z tego zadania.

Już od samego poranka przygotowywałem się do tej wielkiej dla mnie roli w czym dzielnie pomagali mi moi przyjaciele. W kolejności: pierwszą była kąpiel, a za raz po niej niezbyt obfity poranny posiłek. Wśród chłopaków musiałem wyznaczyć jednego woźnicę do mojego rydwanu. Nie chcąc nikogo z nich wywyższać ponad innych postanowiłem, aby między sobą przeprowadzili losowanie i ten, który wygra, będzie powoził zaprzęgiem. Kiedy tylko przyodziałem się w odświętne szendit, dziewczyny zabrały się do upiększania mojego ciała, zaczynając od smarowania olejkami. W dalszej kolejności umalowały mi twarz i ręce. Założyłem mój złoty ankh, pectorał i złoty pas godności imi — ra kat nebet net nesut — szefa wszystkich prac królewskich. Ned przekonywała mnie, abym założył na nogi i ręce złote bransolety, ale nie byłem do tego przekonany. W końcu jednak ustąpiłem pod naporem pozostałych dziewczyn. Błyszczałem teraz, jak „wielki” tego świata i śmiałem się z samego siebie, że teraz pośród złota widać niewielkie kawałki, Taity. Może nie było aż tak tragicznie z tymi ozdobami, ale i tak było ich zbyt wiele według mojej oceny.

Kiedy ja przygotowywałem się do wyjścia, przyszedł Dar.

— Panie, mój los wygrał i dzisiaj ja będę powoził twoim zaprzęgiem.

— Skoro tak, to do kąpeli i przyodziać mi się odświętnie — zwróciłem się do chłopaka.

— Dziewczyny, pomóżcie temu biedakowi, bo pewnie nie potrafi się sam wykąpać — zażartowałem jeszcze głośno z Dar'a.

Akme i Ataris z piskiem złapały „nieszczęśnika” pod ręce i zaczęły go ciągnąć w kierunku wyjścia. Dar oczywiście pozornie starał się bronić, bo pewnie nie jednemu spodobałoby się towarzystwo takich ślicznotek w czasie kąpeli? Ned widząc, co te dwie wyrabiają z jej ukochanym, zainterweniowała zazdrośnie.

— To mój chłopak, a wy umyjcie swoich!

Teraz ona wyrwała Dar'a z rąk koleżanek i pociągnęła za sobą.

— Wara mi od niego! — dodała głośno, wychodząc z izby.

— Ale zazdrośnica! — odezwała się Akme.

Śmiać mi się chciało z tych kobiecych rozgrywek. Nie wytrzymałem i zacząłem chichotać i moja wesołość udzieliła się reszcie i wszyscy śmialiśmy się z tej komicznej sytuacji. Atmosfera w naszym domu też była jakaś inna, może świąteczna, jak cały ten dzień.

Czekałem jeszcze na Dar'a, aż ten wróci z kąpeli i ubierze się odświętnie. Mieliśmy jeszcze sporo czasu do wyjazdu, do pałacu, więc usiadłem na zydelku i rozmawiałem z dziewczynami. Wkrótce przyszedł wykąpany Dar w towarzystwie Ned. Ta od razu zabrała się do przygotowania swojego mężczyzny na czekającą nas uroczystość. Oczywiście nie obyło się bez ostrzeżenia dla pozostałych niewiast.

— Przypominam wam, to mój chłopak! Ja sama jego ...

I nie dokończyła, bo salwa śmiechu przerwała jej wypowiedź.

Ned, stała przez chwilę zdziwiona naszą reakcją, ale zaraz potem zorientowała się, że palnęła głupstwo i sama zaczęła się śmiać. Dar także nie wytrzymał i z izby dochodził teraz jeden wielki i głośny śmiech.

Było już koło południa i w końcu nadeszła pora wyjazdu do pałacu. Narzuciłem na siebie skórę lamparta, wziąłem hekę do ręki i poszedłem do rydwanu. Dar czekał już przy zaprzęgu i wyglądał teraz, niby jakieś młodzieńcze bożyszczko kobiet. Ned promieniała z zachwytu przy swoim ukochanym, podejrzliwie patrząc na swoje rywalki. Te patrzyły z nieukrywaną zazdrością, jak ten wsiada do naszego rydwanu biorąc lejce w swoje muskularne ręce. Chłopak prezentował się wspaniale, przypominając wyglądem smukłego i wysportowanego atletę. Ned zadbała też dla niego o złote ozdoby, (które wcześniej im ofiarowałem). Przez nie, nie wyglądał teraz na niewolnika, a raczej na gwardzistę, Akara. Kiedy pokazałem się w wejściu, także i na mnie cała grupka zwróciła uwagę.

— Panie, ale pięknie ci w tym stroju — odezwała się Akme. Pewnie nie

jedna kobieta, chciałyby cię mieć za męża?

— Oj szczebiotki, wy znowu swoje — odparłem, niby urażony, ale te wiedziały, że to tylko żarty — wy także przybądźcie do świątyni na jej otwarcie i oczywiście odświętnie ubrani, jak przystało na „niewolników” wielkiego imi — ra kat nebet net nesut. To określenie dotyczące niewolników, dodałem głośniejsze i z uśmiechem, wsiadając do rydwanu.

Rydwan, także przygotowany do odświętności. Chłopcy umyli go z pustynnego kurzu, a dziewczyny przystroiły kwiatami. Ataris, zaplotła nawet końskie grzywy i wstawiła w uprzęż na ich głowach, pęki piór z ibisa. Wyglądało to bardzo okazale.

— Gwardziści Akara już wiedzą i dopuszczają was bliżej świątyni, jako moją świętą — dodałem jeszcze przed wyjazdem.

— Ruszamy, Dar’ze — zwróciłem się do chłopaka.



Hut — Ka — Ptah (Świątynia Ptaha)

Przejazd był krótki, bo do pałacu nie było daleko. Wokół niego stało już kilkanaście zaprzęgów gotowych do wyjazdu. Najładniejszy i najbardziej strojny rydwan władcy z trzema parami białych rumaków stał tuż przed wejściem. Nakazałem Dar'owi ustawienie naszego wozu obok rydwanu wezyra.

Urzednicy, służba, gwardziści i pomniejsi kapłani, stali przed schodami, oczekując najważniejszego człowieka w tej krainie faraonów. Władca pojawił się po chwili, idąc przodem na czele orszaku. Za nim podążała jego rodzina z pierwszą żoną na czele. Faraon, jako pierwszy najważniejszy kapłan naszego bóstwa, był strojny, jak nigdy do tej pory. Pośród asysty swoich sług, niewolników, urzędników i gwardzistów, wyróżniał się od nich, swoim błyszczącym od złota strojem i wspaniałą koroną obydwu królestw. Nie był człowiekiem starym, więc niejedna niewiasta pewnie patrzyła na niego łakomym wzrokiem. Pewnie niektóre wyobrażały sobie, jakby to było zostać jego pierwszą żoną. Taka rola skusiłaby każdą kobietę, aby oddać mu swoje ciało za taki zaszczyt i dostojność. Dla nich, dwór Menesa i on sam był niczym brama do innego, jakiegoś niebiańskiego świata. To jednak było złudzenie, które mieszało w ich umysłach, bo ten wymarzony świat był całkiem niepodobny tym wyobrażeniom.

Menes, bywał czasem kapryśny i jeden jego gest sprawiał, że ta pierwsza, była ostatnią, a czasem też zostawała niewolnicą i sprzedawano ją na targu. Może niewiele było takich przykładów z jego żonami, ale i takie były. Bywało, że dla swojego kaprysu władca zmieniał żonę na młodszą kobietę. Często też one same, (królewskie nałożnice) przyczyniały się do tego, walcząc między sobą o niewieści tron, obok władcy. Pyskówki, zazdrość, oszczerstwa i pomówienia, to były nagminne działania kobiet królewskiego dworu. Dlatego też nie lubiłem tam przebywać, aby i mnie nie wciągały w swoje intrygi. Faktycznie, jakoś nie miałem z nimi problemu, ale i ja czasem bywałem dla nich tym łakomym kąskiem. Jednak opinia o moim „zatwardziałym” celibacie, skutecznie odstraszała te wszystkie amatorki zostania moją żoną.

Przy okazji tej wielkiej uroczystości, po raz pierwszy zobaczyłem Menesa w asyście całego swojego haremu. Nawet eunuchowie towarzyszyli jego wybrankom. Żony Menesa, także strojne w złotą biżuterię w pół przewiewnych narzutach, przyciągały męski wzrok swoją urodą. Tą, nie ustępowały im także dwórki i niewolnice. Jednak te ostatnie i jak zwykle, nie miały żadnego znaczenia i prawie żadnych szans na poprawę swojego losu. Tylko pierwsza wybranka, miała prawo wsiąść do rydwanu władcy. Te pozostałe mogły tylko chwilowo znaleźć się w łóżu faraona, kiedy ten zwrócił na którąś z nich, swoją uwagę.

Po bokach tego białego wozu w pełnym uzbrojeniu, stało ośmiu

przybocznych gwardzistów władcy, (po czterech z każdej strony). To byli najbardziej wyćwiczeni i zaprawieni w walce ludzie Akara, gotowi ponieść śmierć w obronie faraona. Można było ich odróżnić od pozostałych zbrojnych, po większych tarczach, które miały służyć ochronie tego najważniejszego w naszym państwie, człowieka.

Menes, wsiadłszy do wozu, podniesieniem ręki dał znak i przy dźwiękach trąb, cała ta nasza gromada ruszyła za nim w kierunku starej świątyni. Pochód prowadzili gwardziści, Akara z nim samym na czele. Za nimi wolno jechał mój rydwan, a pieszo postępowali hemu — neczer z rady starszych, a potem cała reszta kapłanów według stopni i zasług. Za kapłanami najważniejsze miejsce w orszaku na swoim rydwanie zajmował sam wielki Menes z pierwszą małżonką. Reszta jego żon i nałożnic szła tuż za jego wozem. Za nimi było miejsce dla wielkiego wezyra, (ten, także jechał swoim rydwanem). Główną część pochodu zamykali dworscy urzędnicy i trębacze. Za dworzanami maszerowała druga kolumna gwardzistów. Ogon pochodu składał się z całej reszty mieszkańców Ineb — Hedż. Jak zwykle najbogatsi starali się zajmować najbliższe miejsca, tuż za drugą kolumną gwardzistów. Tam, przyboczni faraona musieli wprowadzać porządek, (za swoim ostatnim szeregiem) gdyż pomiędzy bogaczami dochodziło do kłótni, kto i przed kim ma jechać, a nawet iść. Każdy z nich chciał być jak najbliżej władcy, aby się pokazać przed nim i przed jego dworem swoją przynależność społeczną prezentując, co i ile ma na sobie. Gardziłem takimi, gdyż kierowała nimi wielka i pochlebca, pycha.

Kiedy tylko czoło pochodu dotarło do starej świątyni, Dar zatrzymał mój rydwan tuż za schodami, a ja szybko pobiegłem do wejścia, aby pomiędzy pylonami przywitać Menesa, kiedy ten pojawi się przed świątynią.

Nie musiałem czekać długo, bo dźwięki trąb ogłaszały już jego nadejście. Po chwili pojawił się on sam i z pomocą gwardyjskiej obstawy, wysiadł z rydwanu. Jego pierwsza małżonka pozostała w wozie, gdyż jako niewiasta nie mogła wchodzić do sanktuarium. Na widok władcy uklęknąłem na obydwie kolana, (odkładając swoją hekę) i pochylając głowę do ziemi. Po tym głębokim pokłonie podniosłem się nieco, dalej jednak pozostając w pozycji klęczącej. Teraz, bardzo głośno rozpocząłem swoje powitanie, wcielając się w rolę arcykapłana.

— Witaj o wielki, witaj słońce naszych ziem, witaj o ty, który przybyłeś tu do nas, do swojego ludu, aby nas niegodnych oglądania twego oblicza, wspierać swoim ramieniem.

Synu Horusa przybyłeś tu także, aby towarzyszyć wielkiemu Ptahowi w jego podróży do nowego przybytku, jaki z swojej woli uczyniłeś dla niego w wielkiej podzięce i wdzięczności za trud połączenia obydwu krain w jedno wielkie i silne królestwo.

Za ten dar twojego panowania dzisiaj dziękuję ci cały twój wierny lud na

czele z kapłanami, którzy służą naszym bogom i tobie o najwyższy nasz kapłanie i opiece.

W imieniu nas wszystkich ja, Taita, twój skromy sługa proszę ciebie nasz najwyższy kapłanie i władco o spełnienie woli twojego ludu. Proszę, abys najwyższemu z bogów, wielkiemu Ptahowi wskazał drogę i poprowadził go do nowego domu, do sanktuarium w nowej świątyni, gdzie zamieszka po wieki i odbierał będzie cześć od swojego ukochanego ludu. Tam, znajdzie spokój i opiekę po wsze czasy, póki Ziemia istnieć będzie, a jego wierni służy żyć, będą. Panie, poprowadź nas niegodnych przed jego święte oblicze, aby wypełnić wolę twoją, Horusie.

Na tych słowach zakończyłem swoją powitalną mowę.

Menes stał z powagą, słuchając mojej mowy.

Po chwili podnosząc w górę ręce i patrząc w kierunku dużego posągu Ptaha i stojącego przed świątynią tłumu, powiedział:

— Wysłuchując słów Taity, waszego kapłana i orędownika, a także przychylając się do prośby mojego ludu uczynię to, o co w waszym imieniu prosił mnie, wasz kapłan. O wielki Ptahu, wybacz nam, że teraz zakłócimy twój boski spokój i nie każ za ten czyn żadnego z nas, niegodnych ciebie sług.

Kiedy wstałem z klęczek i odsunąłem się na bok, władca ruszył w kierunku głównych drzwi świątyni. Te otwały się przed nim na całą swoją szerokość. Ruszyłem za nim z grupą rady starszych kapłanów i ośmiu hemu — neczer upoważnionych do niesienia arki. Ci, muskularni mężczyźni nie jeden raz uginali się pod jej ciężarem, jak uginały się drągi na których ją nieśli.

Menes, kiedy znalazł się przed zamkniętymi drzwiami do sanktuarium uderzył w nie trzykrotnie swoją heką. Ze zgrzytem, drzwi zostały uchylone przez czterech hemu — neczer, stojących wewnątrz tego świętego przybytku. Teraz i wielki Menes upadł na kolana oddając hołd bóstwu, a my także poszliśmy w jego ślady.

Po chwili rozpocząłem modlitwy do wielkiego Ptaha, jak to zwykle bywało przy ceremonii przebudzenia. Teraz do tej modlitwy doszły przeprosiny boga o naruszenie jego spokoju i wyjaśnienie mu o powodzie jego odejścia z obecnego miejsca.

Ptah pewnie wysłuchał naszych słów, gdyż po zakończonej przez nas modlitwie w sanktuarium zapanowała cisza.

Na mój znak, (kapłani dzisiejszej służby) wstawili do arki posąg dopiero, co z niej wyjęty, (przed modlitwami) i nakryli go, pokrywą. W boczne uchwyty tej hebanowej skrzyni wsunęli drągi do niesienia i odsunęli się na boki. Teraz do arki podeszło tych ośmiu siłaczy od jej niesienia. Jednym zgranym ruchem drągi z arką powędrowały w górę. Zobaczyłem grymas na ich twarzach, kiedy cały ten ciężar spoczął na ich ramionach.

Menes odwrócił się tyłem do arki i jako pierwszy ruszył w kierunku wyjścia, my podążyliśmy za nim. Pochód zamykało tych czterech hemu — neczer, służących dzisiaj Ptahowi. Kiedy wyszliśmy przed świątynię na widok władcy i arki, wszyscy poupadali na kolana w głębokim ukłonie. Teraz musiałem zrezygnować z mojego rydwanu i osobiście stanąłem na czele pochodu kapłanów. Niosący arkę ustawili się za mną, a reszta hemu — neczer za nią. Na znak dany przez Menesa, orszak ruszył. Przechodząc ulicami miasta zauważyłem, że na ulicach było prawie pusto. Przed domami siedzieli tylko zniedołężniali starcy, przyglądając się temu ważnemu wydarzeniu. Reszta mieszkańców Ineb — Hedż brała aktywny udział w tej uroczystości i nawet niewolnicy uczestniczyli w tym pochodzie. Orszak, jak i poprzednio, poruszał się wolno i majestatycznie, kierując się w stronę nowej świątyni. Tam oczekiwało nas już sześciu silnych uabu, upoważnionych do otwarcia świątynnej bramy i kolejnych ośmiu osiłków hemu — neczer, którzy przejęli po tych pierwszych, niesienie arki.

Ceremonia „wejścia” przebiegła podobnie jak i wyjścia ze starej świątyni tylko, że odwrotnie. Kiedy bóstwo znalazło się już w sanktuarium my opuściliśmy to święte miejsce. W nim pozostali tylko kapłani dzisiejszej służby.

Menes, wychodząc z świątyni, został przywitany przez tłum z wielką pokorą i radością zarazem. Stałem u jego boku, wraz z Orypisem, wezyrem i radą starszych kapłanów. Ludzie wiwatowali na naszą cześć. Menes, jak zwykle w takim przypadku zachowywał się niczym kamienny posąg, jakiegoś bóstwa. Chciałem pójść w jego ślady, ale nie potrafiłem, aż tak być „sztywnym” i uśmiechałem się na widok tyłu ludzi. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się przed tak wielkim zgromadzeniem.

— „Tłum wiwatuje, ale ilu chętnie, by nam wbiło nóż w plecy? Pewnie i w moje?” — pomyślałem.

Rozumiałem tych ludzi i wcale się im nie dziwiłem.

Menes rozglądał się wokół, podziwiając wspaniałe posągi i wystrój dziedzińca, a było, co podziwiać. Wszystko wykonane dokładnie i z wielkim kunsztem, budziło zachwyt każdego oglądającego tę wielką budowlę.

— „Pewnie wkrótce powitamy w jej progach pierwszych pielgrzymów?”

Dla nich, były już przygotowane miejsca pobytu nad nieczynnymi już kamieniołomami. Te zalane wodą i obsadzone wokół zielenią, były wspaniałym miejscem na rozłożenie obozowiska dla podróżujących. Pewnie i ich pobyt przyniesie, jakieś zyski naszemu miastu. Wielka świątynia przejęła obowiązki tej starej, lecz nie całkowicie, ale o tym wiedziałem tylko ja, Orypis, dwaj pozostali strażnicy skarbu i Menes. Po cichu rozeszła się też wiadomość o przewiezieniu skarbu w nowe miejsce i na tym się skończyły wszystkie plotki, wokół tej sprawy.

W starej świątyni oddawano cześć, już tylko posągowi Ptaha, jaki tam pozostał. W niej pozostawiłem świątynną służbę w osobach kilku kapłanów,

(pomimo braku arki). Kapłani byli zarazem strażnikami tego miejsca, lecz i im, także zabroniliśmy wchodzenia do pustego już sanktuarium. Nikt się nie zorientował, jaką tajemnicę skrywa to miejsce.



Droga do święceń

Po zakończeniu ceremonii przeniesienia arki, Menes zaprosił wszystkich kapłanów do swojego pałacu, ale jakoś nie miałem ochoty do jego kolejnej biesiady i brak swojej obecności, wytłumaczyłem mu bardzo silnym bólem głowy i złym samopoczuciem, zrozumiał.

Moją wolą było spędzić ten czas w gronie moich przyjaciół. Kiedy wróciłem z Dar'em do domu, tam czekało nas wielkie powitanie. Dziewczyny przygotowały na naszą cześć skromną, ale pięknie udekorowaną kwiatami, ucztę. Już przy wejściu gratulowały mi wspaniałego poprowadzenia ceremonii. Ponoć, już w pierwszych plotkach opowiadanych na mój temat po mieście, zrobiłem na wszystkich wielkie wrażenie.

— Panie, ludzie mówią, że pewnie wkrótce zostaniesz wielkim arcykapłanem, czy to prawda? — zapytała mnie już w progu, Nikaris.

— Jeśli tak, to co to zmieni? — zapytałem, dziewczynę

— Taito, będziesz wielkim, będziesz drugim po władcy.

— Tak was to cieszy? — zapytałem, trochę zasmucony tym zachwytem na mój temat.

— Tak, my się cieszymy, że możesz zostać kimś tak wielkim — dopowiedziała Nitakaris.

— To nie jest takie proste moi ukochani. Czym jest taka sława? — zapytałem ponownie, nie oczekując od nich odpowiedzi i kontynuując swoją wypowiedź — to jeden wielki obowiązek względem ludzi. Jedni pragną tylko władzy i złota, a ja waszego szczęścia. Co trudniej zdobyć: to, czy tamto? Ja myślę, że trudniej o to drugie, bo posiadając nawet wszystkie skarby tego świata, nie zawsze człowiek jest szczęśliwy. Wasza radość, szczęście jest i moim bo, co dają mi skarby? Pewnie tylko przekleństwo w oczach innych. Kim jestem dla tych biedaków? Pewnie tym, co obdziera ich ze skóry i zabiera z ich ust, ostatni kęs chleba? Jak w ich rozumowaniu, nie mogę być złem tego świata? Nie wiem, czy rozumiecie o czym mówię, bo ja wiem, że tak jest. Ilu jeszcze będzie takich, co będą pragnęli, aby się to zmieniło i jak zostaną przyjęci przez ten świat? Widziałem swój koniec, a ich, będzie podobny mojemu. Nie jestem kimś wielkim, wręcz tym malutkim pośród was, ale czy będąc nawet na tej „górze”, (w waszym rozumieniu), coś zmieniłem do tej pory? Prawie, nic. To wszystko, co wspólnie zrobiliśmy, to tylko mała kropla wody w wielkim morzu.

— Taito, nie mów tak — przerwała mi Ned — tak wiele tobie zawdzięczamy.

— Może wy, a pozostali? Takich jak wy są tysiące i oni także oczekują pomocy, a ja mam tylko dwie ręce.

— Taito, ty jesteś przykładem dla innych, że można żyć inaczej.

— Cóż z tego mam, ciągły strach i obawy, że i wam stanie się krzywda przez to, co czynię dla innych. Nie mam żony, dzieci, rodziny. Nie mam tej radości, jaką przeżywa mąż u boku swojej wybranki. Staję się pustym, jak wypalony w środku pień drzewa. Takie drzewo nie nadaje się do niczego i nie jest potrzebne nikomu. Trzeba je wyciąć i spalić.

— Panie, rozpacz przemawia przez ciebie, a przecież właśnie dzisiaj powinieneś się cieszyć — dodała, Ned.

— Może i tak, dlatego zrezygnowałem z uczyty w pałacu. Wolę być tu z wami, bo was kocham. Wy jesteście moją rodziną, jakiej nie mam i miał nie będę. Tyle razy już wam to mówiłem, bo i niby komu mogę to powiedzieć?

Ned, przytuliła się do mnie słysząc te słowa, za nią poszła Ataris, Kserkses, Akme, Horu i pozostali moi przyjaciele.

W moich oczach zamiast radości zobaczyli teraz łzy — „krople smutku” tego, co jeszcze niedawno temu prowadził wielki paradny orszak, stojąc u boku wielkiego władcy.

Po dłuższej chwili, kiedy wróciliśmy do naszej skromnej uczyty, odezwała się, jak zawsze pierwsza, Ned.

— Myślałam nad tym, co nam powiedziałaś i tylko w części masz rację, Taito. To prawda, że miłość to także służba i wyrzeczenia względem drugiego człowieka. Miłość, to też nie studnia, bo i ta musi się napełniać, by mogła służyć innym do czerpania z niej wody. Jeśli dajemy, mamy także prawo otrzymywać, a jak jest w rzeczywistości? Ile ty, panie otrzymałeś takiej miłości od innych? Może tylko my cię kochamy, Neferi, Orypis i kilku innych twoich przyjaciół. Ta reszta, którym pomogłeś, ile ci dała? Pewnie, nie jeden, nawet nie powiedział ci tego prostego słowa: dziękuję. Ludziom łatwo jest powiedzieć, że się kogoś nienawidzi, ale powiedzieć komuś, że się go kocha? Miłość ma różne oblicza i czy my, znajdujemy to odpowiednie?

— Ty, także masz rację i także w części. Widzisz, ja sam zdecydowałem o swoim celibacie. Teraz muszę dźwigać na barkach jego ciężar. Może zbyt wielki, jak na mnie, małego człowieka. Samotność jest złym partnerem w naszym życiu. Prędzej czy później ugniesz przed nią swoje kolana i będziesz pokorny, jak każdy niewolnik pod batem swojego pana. Ja, już zaczynam padać na twarz, nie mając innego wyjścia. Dwa razy dane słowo jest dla mnie świętością. Czy wybrałem dla siebie złą drogę? Nie odpowiem wam na to pytanie, sami znacie odpowiedź.

Moją wypowiedź przerwał, Dar.

— Taito, znam pewien medykament na twoją chorobę.

Napełnił mój puchar do pełna, czerwonym i słodkim winem z naszej winorośli.

— Horu, weź rydwan i przywieź do nas Neferi i Orypisa. Powiedz, że Taita

ich zaprasza — zwróciłem się do chłopaka.

Chłopak nie kazał na siebie czekać. Po chwili zniknął z tarasu i po jakimś czasie wrócił, przywożąc ze sobą zaproszonych gości. Oczywiście Neferi przysiadła się zaraz obok mnie, a Orypis został zaproszony pomiędzy moje dziewczyny, co niezbyt spodobało się ich chłopakom. Na zewnątrz, takie spoufalanie się z niewolnikami mogłoby doprowadzić do wielkich problemów, a nawet utraty pełnionych funkcji, nie mówiąc o pogardzie w swoim otoczeniu. Kiedyś obawiałem się tych dwoje, ale teraz wiedziałem, że dochowają mojej tajemnicy, a i sami zmienili zdanie na temat zniewolenia ludzi.

Dziewczyny przyniosły jeszcze dwa pucharki i Dar nappełnił je czerwonym winem. Neferi, była jego największym wielbicielem i odwiedzając mnie często prosiła o poczęstunek tym napojem.

Wino robiliśmy według mojej recepty i po zakończonej fermentacji zaprawialiśmy je cynamonem i goździkami. Zdarzało się czasem, że kapłanka wypila go zbyt dużo i potem mając problemy z poruszaniem się, nocowała u nas. Być może był to także jeden z jej forteli, aby dłużej pozostać blisko mnie, nie wnikałem jednak w szczegóły tych jej miłosnych rozgrywek. Przy niej czułem się dobrze i nie chciałem tego zmieniać, o ile tylko nie przekraczała granicy swojego pożądanego. Teraz, po kilku pucharkach wina mój smutek zniknął tak szybko, jak i szybko mnie dopadł. Było gwarno i żartowaliśmy przy stole, opowiadając sobie nawzajem, jakieś wesołe zdarzenia. Przy rozmowach, Nikaris wróciła znowu do zadanego mi wcześniej pytania.

— Panie, powiedz nam prawdę, czy ty masz zostać arcykapłanem?

Nie miało dalszego sensu ukrywanie tej prawdy.

— Jeśli koniecznie chcecie wiedzieć, to Menes już wyznaczył mi dzień, kiedy to nastąpi, oczywiście o ile do tego czasu nie zmieni swojego zdania. Tę wiadomość zostawcie tylko dla siebie, gdyż różnie bywa, a nie chciałbym zostać pośmiewiskiem Ineb — hedż.

Na te moje słowa zrobiło się jeszcze bardziej głośno i każdy chciał już składać mi życzenia. Powstrzymałem ich jednak od tej wylewności, aby nie zapeszać tego wydarzenia.

— Ludzie mówili prawdę o tobie i sami też pragną, abyś zastąpił Nebtawi'ego — powiedziała zadowolona z uzyskanej odpowiedzi, Nikaris.

— Ludzie różnie plotą i na drugi raz nie słuchaj ich bajek. Te czasem wyrządzają wiele zła. Zostawmy jednak ten temat, bo jest wiele innych, ciekawszych.

W dzbanach ubywało wina, a nam coraz bardziej było wesoło. Był już wieczór i oprócz napoju, także i całodniowe zmęczenie zaczęło dawać się we znaki. Orypis wrócił do siebie, a Neferi, jak zwykle zanocowała u mnie w domu. Aby znowu w nocy nie próbowała swoich sztuczek nakłoniłem ją do wypicia

następnych pucharów. Nie odmówiła, zasnęła za stołem. Zniosłem ją na rękach do swojej izby i położyłem na łóżku. Sam położyłem się do snu na dodatkowej macie rozłożonej pod oknem.

Pomimo zmęczenia i działania napoju i tak nie mogłem zasnąć. Wciąż przed oczami miałem obrazy z ceremonii otwarcia świątyni. Co do Neferi, to nie przewidziałem jednej rzeczy. Ja zasnąłem później, przez co moje poranne wstawanie, nieco się opóźniło. Oczywiście kapłanka nie byłaby sobą i musiała wykorzystać taką okazję. Zanim się zorientowałem, ta już golusienka leżała u mojego boku i próbowała delikatnie zdjąć ze mnie przepaskę biodrową.

— Neferi! Znowu zaczynasz swoje podchody, ile razy mam ci powtarzać?

— Powtarzaj ile razy chcesz — odparła dziewczyna patrząc mi w oczy i przytulając się do mnie.

— Ja chyba oszaleję przy tobie? Proszę cię, jak nigdy dotąd, nie prowokuj mnie więcej!

— Wiesz, chyba nie mogę spełnić twojego życzenia, kapłaniku — odparła z filuternym uśmiechem na twarzy — nadal jesteś dla mnie łakomym kąskiem i przed porannym posiłkiem mam na ciebie ochotę.

Tego było już za wiele. Wyrwałem się z objęć dziewczyny i usiadłem na zydelku, patrząc w kierunku okna. Neferi poszła w moje ślady i usiadła mi na kolanach, obejmując za szyję.

— Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele cierpienia mi przysparzasz? — ponownie zwróciłem się do niej.

— Jakie cierpienie, to przecież sama rozkosz. Ja mogę ci ją dać i ile będziesz tylko chciał.

— Ja już nie wiem, co mam z tobą zrobić, Neferi?

— Rób, co chcesz? Ja i tak będę cię kochać, czy chcesz, czy nie.

— Jeśli mogę, to teraz cię o coś poproszę. Zejdź z moich kolan, bo nie mam zamiaru mieć z tobą dziecka i złamać swojego przyrzeczenia.

— A skąd wiesz, że już go nie masz?

Ta jej wypowiedź była dla mnie, jak uderzenie w twarz. Zaraz też, przypomniało mi się, to dawne spotkanie z Neferi.

— Jak mogę mieć skoro nic o tym nie wiem? — zapytałem podchwytliwie.

— Czasem mężczyźni robią coś o czym nawet nie wiedzą — sprytnie skwitowała moje pytanie.

— Proszę cię, nie męcz mnie już, raczej weź nóż i wbij go w moje serce, bo będzie mniej bolało.

— Nie chciałbyś mieć dziecka?

Neferi nie odpuszczała i drażyła moje „ka”, niczym robak, drewno.

— Tak chciałbym mieć, gdybym nie ślubował — odparłem, nie wiedząc, co mam już mówić.

— A widzisz, najpierw rozkosz, potem dziecko, potem ... nie dokończyła, bo przerwałem.

— Potem wrzucą mnie do Nilu i będę miał święty spokój z tobą.

— Ja, nie pozwolę!

Nie wytrzymałem już tej gadaniny. Wstałem gwałtownie i Neferi o mało, co nie upadła na ziemię, przeprosiłem ją.

Szybko przyodziałem na siebie szendit i wybiegłem na podwórko. Poleciałem nad sadzawkę i tam usiadłem. Z obórki wyszła Akme, która skończyła oporządzanie naszego dobytku.

— Panie, dlaczego jesteś taki zdenerwowany?

— To pewnie pamiątka wczorajszego dnia? — odpowiedziałem także pytaniem.

— A tak, pewnie wielu dzisiaj boli głowa?

W wejściu ukazała się Neferi, tym razem już ubrana i odświeżona.

— To ja, już sobie pójdę — zwróciła się do nas obydwu.

Odprowadziłem dziewczynę pod jej dom i wróciłem do siebie. Idąc ulicami Memfis odnosiłem wrażenie, że ludzie są mi, jakby bardziej przychylni, niż kiedyś, a może było to tylko moje złudzenie?

Poszedłem na taras i oddałem się rozmyślaniu. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że czegoś mi brakuje. Tak, to była praca przy budowie świątyni. To wszystko skończyło się wczoraj i nie wróci, stając się już przeszłością. Dziwne to uczucie, wczoraj miałem coś, co było twoim dniem powszednim, a dzisiaj? Jakaś pustka. Moja praca nie kończyła się na budowie świątyni, bo i leczenie ludzi nie miało końca. Kolejnym etapem w pracach budowlanych były kanały.

Porozmyślałem jeszcze chwilę i wróciłem do siebie, aby się przebrać w kapłańskie szaty z zamiarem odwiedzenia pałacu, a po drodze i świątyni. Kapłani akurat wrócili z sanktuarium po zakończeniu ceremonii przebudzenia bóstwa. To była pierwsza noc wielkiego Ptaha, spędzona w nowej świątyni. Porozmawiałem z nimi o pierwszych doznaniach z tego miejsca. Stwierdzili, że jest lepiej i obszerniej, bo sanktuarium i sale są większe. Przed świątynią spotkałem już pierwszych wiernych, oraz pielgrzymów z Górnej i Dolnej Krainy. Tym, wskazałem miejsce obozowiska, gdyż zamierzali pozostać tu w stolicy, jeszcze kilka dni. Jak mi powiedzieli, świątynia zrobiła na nich ogromne wrażenie. Podobnie było z tamą, bo takiej nigdy wcześniej nie widzieli.

Z świątyni udałem się do pałacu. Menes już urzędował w sali tronowej, ale słysząc o moim nadejściu wyprosił z niej urzędników przedstawiających mu swoje rozliczenia podatkowe.

— Podejdź tu bliżej kapłanie, bo nie będę się darł na całą salę.

— Już idę, panie.

— Głowa już nie boli? — zapytał, przypominając mi wczorajszą wymówkę. Wiedziałem, że lubi żartować, więc odpowiedziałem mu żartem.

— Tamtego bólu się wyzbyłem, ale nabyłem nowy, po wieczornym świętowaniu.

— To rozumiem — odparł Menes i zarechotał swoim zwyczajem — a teraz powiedz, co sprowadza cię tu dzisiaj, do mojego pałacu?

— Panie, świątynia otwarta i wierni czczą już w niej wielkiego Ptaha, a my? Jakoś bez tej budowy zrobiło się dziwnie, jakby pusto. Wspominałem ci poprzednio o budowie kanałów, bo to bardzo istotna sprawa.

— Twoich umiejętności szkoda marnować przy kanałach, a za niedługo przedstawię ci nowe zadanie równie ważne, jak budowa świątyni. Tym czasem przygotuj się do najważniejszego dnia w twoim życiu. Świątynia nie może istnieć bez arcykapłana, jak Kemet, bez farena. Wkrótce Honsu będzie w pełnej okazałości i wtedy nadejdzie twój wielki dzień, a raczej noc. Teraz wracaj do swojego domu i zaznaj spokoju i poświęć się medytacjom i modlitwom do Ptaha i naszych bogów. Oczekuj też mojego posłańca, który przyniesie ci wiadomość w tej sprawie. Co do kanałów, to już wydałem polecenie Orypisiowi, aby zajął się tą sprawą wraz z pozostałymi kapłanami, którzy towarzyszyli wam przy budowie świątyni. Jeśli chodzi o Orypisa, to zauważyłem, że jesteście zgraną parą budowniczych, może i on będzie mi potrzebny do tego zadania, które już czeka na ciebie?

Nie odpowiedziałem, gdyż Menes nie wspomniał mi, czego dotyczy to zadanie.

— Teraz możesz odejść, Taito, a do czasu święceń nie będę cię trzymał w tej, także ważnej dla mnie sprawie.

Pokłoniłem się władcy i wyszedłem. Przy okazji odwiedziłem Anwar, zatrudnioną w pałacowej kuchni. Kufu i Rabii nie było, bo dzieciaki biegały gdzieś po mieście. Anwar wyglądała teraz o wiele korzystniej, niż pierwszy raz, kiedy ją zobaczyłem. Dzięki mojemu wstawiennictwu, wraz z rodzeństwem byli już wolnymi ludźmi. Ta doszła do takiej wprawy w przygotowaniu posiłków dla władcy, że ten, nie chciał jeść potraw przygotowanych przez innych. Była mistrzynią w swoim rzemiośle. Anwar, jak zwykle powitała mnie z wielką czcią i radością. Poczęstowała mnie też smakołykami, które wkrótce miały trafić na stół władcy.

Z pałacu wróciłem do siebie. Zdjąłem kapłańskie odzienie i poszedłem do sadzawki, aby się trochę ochłodzić.

Tego dnia nic szczególnego już się nie wydarzyło. Podobnie spokojnie upłynęło kilka następnych dni. Do święceń pozostał mi już tylko jeden dzień.

Z samego rana zjawił się u mnie posłaniec Menesa z poleceniem stawienia się w jego pałacu. Poszedłem, a raczej pojechałem razem z nim. Tym razem moja

rozmowa z władcą dotyczyła przebiegu ceremonii wyświęcania. Przy rozmowie byli także obecni kapłani z rady starszych, oraz cher — heb, który dla przypomnienia odczytał nam procedury „namaszczenia”. Moi starsi koledzy wiedzieli, co i jak należy postępować, gdyż każdy z nich uczestniczył już kiedyś w takiej ceremonii. Takie widzi się rzadko, czasem tylko raz w życiu, a ja miałem być tym, którego ona dotyczy.

Całość przebiegała podobnie, jak przy wyświęcaniu hemu — neczer, lecz z większą pompą i dłuższymi przemowami, a także i samym tekstem ślubowania. Rada, zleciła przygotowanie dla mnie odpowiedniej infuły zdobnej w ureusza, (świętego węża). Ten był mniej okazały, jak ureusz władcy, ale i tak był znakiem wielkiej władzy i godności. Jeszcze nie pokazano mi tego nakrycia głowy, a to, (mojego poprzednika) Nebtawi zabrał swoją do sarkofagu.

Słyszając te wszystkie rozmowy na mój temat, czułem już przedsmak wszystkich tych wydarzeń i zaczynałem się denerwować. Kiedy dyskusja się skończyła, szybko wróciłem do domu. Tam czekał już na mnie Orypis i Neferi. Obydwaj zauważyli moje podenerwowanie i starali się mnie uspokoić. W takiej sytuacji, nie było to możliwe. Bałem się tej dzisiejszej nocy, że nie będzie przespana, a jutro czeka mnie ta najważniejsza, noc czuwania. Nie miałem ochoty do jedzenia, a tym bardziej do rozmów. Te poprzednie kapłańskie ceremonie w moim odczuciu, były drobnostką w porównaniu z tą nadchodzącą. Moje dziewczyny, usilnie starały się mi jakoś pomóc i odwrócić moją uwagę od święceń, ale i to, nie skutkowało. To było silniejsze ode mnie.

Wieczorem, kiedy po odwiedzinach odszedł już Orypis, poprosiłem Neferi, aby ta została przy mnie na tę noc. Zgodziła się bez wahania. Razem zjedliśmy wieczorny posiłek, a ten zapiliśmy kilkoma pucharkami winna. Nie za dużo i nie za mało, aby pomagało. Neferi obiecała mi, że nie będzie tej nocy nachalna i słowa dotrzymała. Samo wino uspokoiło mnie znacznie i teraz moje „ka” odczuwało, jakiś błogi spokój. Po posiłku, posiedzieliśmy jeszcze na tarasie w naszym małym gronie, jak zwykle opowiadając sobie jakieś ciekawe historyjki.

W końcu znudzeni rozeszliśmy się do swoich izb. Neferi zdjęła swoje odzienie, zostając tylko w biodrowej przepasce. Położyła się jak zwykle do mojego łóżka, a ja pod okno, na matę. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie przyszła do mnie, aby pocałować mnie na dobranoc? Oczywiście czekała do momentu, kiedy w domu zapanuje kompletna cisza. Położyła się obok mnie i zaczęła mnie głaskać ręką po mojej wygolonej głowie i torsie. Czułem ciepło jej ciała i patrzyłem na falujące przy każdym oddechu jej piękne, piersi. Może wtedy, jako dorosły człowiek i mężczyzna odczułem, jakieś ukryte w sobie instynkty bycia jeszcze dzieckiem, bo nie myśląc o miłostkach, położyłem rękę na jej włosach i tak zasnąłem, jak zasypia dziecko przy matce.

Spąłem długim i głębokim snem. Kiedy się przebudziłem, w domu nie było

już nikogo, oprócz Neferi. Jej ręka (pewnie we śnie) opadła na moją szyję i tak przytulona do mnie nadal spała, jakby spokojna o cały dzisiejszy dzień. Nie poruszałem się, aby jej nie zbudzić. Blisko obok siebie, nawet bardzo blisko, miałem kochającą mnie kobietę. Ona chciała oddać mi siebie, a ja, jej nie chciałem. Musiałem walczyć ze swoim pożądaniem, aby nie złamać przysięgi. Może wielki Ptaħ doceni to moje poświęcenie i cenę, jaką teraz za nie płacę? Pewnie inny na moim miejscu, złamałby tę zasadę, ale nie ja. Zaprzeczyłbym samemu, sobie. Czułbym wstręt i obrzydzenie do siebie. Nie miałbym też przed sobą żadnego wytłumaczenia. Nawet klątwy i śmierć mogłyby wtedy być dla mnie, niewielką pociechą. Patrzyłem na nią i tylko łzy spływały po moich policzkach.

— „Co chciałeś, to masz, Taito” — powtarzałem sobie.

„Ka”wyło i jęczało teraz, jak szakal na pustyni.

— „Dopiero poranek, a jak się dla mnie zaczyna? Jaki będzie wieczór i noc, kiedy stanę przed Ptaħem?” — pomyślałem.

Neferi, zaczęła przeciągać się wyzywająco i patrzyła na mnie swoimi pięknymi, czarnymi oczami. Gdybym teraz był jej mężem, to nasza rodzina, pewnie by się za niedługo powiększyła. Ona pewnie nigdy się nie dowie, jak mężczyźnie ciężko przeżywać takie chwile. Te były zapisane w moich zwojach życia i takimi miały tam pozostać do mojego końca.

— Neferi, jesteś piękną kobietą — powiedziałem do niej z cicha. Odejdź proszę, abym się nie skalał, zanim stanę przed obliczem naszego boga. Wybacz mi też to, co teraz do ciebie mówię. Zrozum mnie, że nie mogę inaczej. Wiesz, jak bardzo ciebie pragnę, pewnie tak, jak i ty mnie. Nasza miłość jednak nigdy się nie spełni i ty o tym wiesz. Żal mi ciebie i siebie, ale taki nasz los. Kiedyś powiedziałem ci, że nie ma przyjaźni pomiędzy kobietą i mężczyzną, a jeśli taka jest, to tkwi w niej kropla miłości i pożądania. Teraz to się potwierdza, nie może być inaczej, bo jesteśmy tylko dziećmi tego wielkiego świata. W nim, wiele istot tworzy pary, ale tylko człowiek, może rozumować inaczej, łamiąc te boskie prawa bytu i powstania nowego życia. Co kiedyś z tego wyniknie, czas pokaże? Nigdy nie dawałem ci nadziei wspólnego życia i spełnienia miłości. Miłość ma różne oblicza i czy my znajdujemy to odpowiednie? Ja znalazłem ją w tobie, ale nigdy nie spełni się do końca. Gorzka, bardzo gorzka to prawda dla nas obojga. Nie musisz odpowiadać mi na to pytanie, bo te zrodzi kolejne pytania i kolejne wątpliwości.

Nic więcej nie miałem już do powiedzenia. Neferi, patrzyła już na mnie smutnym wzrokiem, milcząc. Powoli przyoblekła na siebie resztę odzienia i zbierała się do wyjścia.

— Neferi, proszę zostań jeszcze ze mną na porannym posiłku.

— Jakoś nie mam chęci do jedzenia, ale chętnie będę ci towarzyszyć.

— Czy przyjdiesz wieczorem na ceremonie moich święceń? -zapytałem jeszcze, dziewczynę.

— Jakbym mogła opuścić taką okazję?

— Dziękuję, faktycznie wieczorem nie będzie tego wiele, najważniejsze ceremonie odbędą się jutro rano i też mam nadzieję, że wtedy tam będziesz?

— A kto by cię powitał w nowej roli, kapłaniku?

— Tak, masz rację. Ty i moi przyjaciele jesteście dla mnie wszystkim. Jesteście moja rodziną, moim światem. Niestety moich bliskich pewnie tam nie będzie. Być może nawet nie wiedzą, że teraz spełnia się moje marzenie. Wysłałem do nich jednego z naszych uabu i nie wiem, czy dotarł do moich rodziców? Powinien był już dawno wrócić, a ślad po nim zaginął. Nie wiem, czy nie spotkało go coś złego?

— Miej nadzieję, Taito. Może zjawi się jutro wraz z twoimi bliskimi?

Niestety, następnego dnia, ani też w kolejne dni, mój posłaniec nie wrócił. Nigdy nie dowiedziałem się, co spotkało tego chłopaka?

W towarzystwie Neferi i moich przyjaciół zjadłem śniadanie, a potem nerwowo chodziłem z izby do izby, albo po placyku wokół domów, okrążając je wielokrotnie. Neferi została, towarzysząc mi w spacerze i próbując mnie uspokoić. Także i pozostali próbowali na mnie wpłynąć, abym wyluzowany mógł brać udział w tej ważnej, dla mnie ceremonii.

Musiałem zastosować na siebie inną metodę. Usiadłem nad sadzawką i zacząłem patrzeć na pływające w niej ryby. Staralem się skupić na spokojnej tafli wody i wyzbyć dręczących mnie myśli związanych z ceremonią. Powoli dochodziłem do tego, że moje „ka” chciało się wyzwolić z mojego „chet”. Taki stan był już dla mnie odpowiedni, bo „Ka” było jeszcze w ciele, ale powoli zaznawało spokoju.

Neferi, zaraz zauważyła we mnie tę wewnętrzną zmianę.

— Ja, bym tak nie potrafiła — zagadała mnie, kiedy otrząsałem się z tej zadumy.

— Mówisz, że nie potrafisz, bardzo się mylisz. Jeśli potrafisz widzieć przeszłość i przyszłość, to z czego to wynika? Tylko dochodzisz do tego poprzez skupienie się nad sobą i medytację. Spróbuj, a sama zobaczysz.

Nawet się nie spostrzegłem, kiedy dziewczyny zawołały nas już na popołudniowy posiłek. Ten czas także zleciał, jak z bicza strzelił.

Było późne popołudnie, kiedy zacząłem się przygotowywać do święceń. Jak zwykle kąpiel, smarowanie ciała, malowanie i ubieranie. Dziewczyny starały się, abym wyglądał wspaniale i jak nigdy do tej pory. Do tej ceremonii nie zabierałem jedynie złotego pasa godności wielkiego budowniczego, bo ten, akurat nie dotyczył obecnie pełnionej funkcji.

Jak na otwarcie świątyni chłopcy przygotowali i ustroili mój rydwan i jak poprzednio losowali, który dzisiaj będzie nim powoził? Tym razem woźnicą został, Kserkses.

W końcu nadeszła pora. Zabrałem Neferi i z Kserksesem podjechaliśmy przed bramy świątyni i chwilę później przed dom życia. Tam i tu, czekało już sporo wiernych, a także kapłani, wraz z uabu. Tłum wiwatował na mój widok i kiedy tylko wysiadłem z rydwanu poupadali na kolana, oddając mi cześć. Z kapłanami nie witałem się oddzielnie, a tylko kłaniając się wpół i składając ręce na krzyż, na piersiach. Hekę, tymczasowo oddałem w ręce Orypisa, ten czekał już na mnie, jak i pozostali, przed świątynnym domem życia. Teraz, byłem już zdany na siebie w swoich poczynaniach i ceremoniach.

Do domu życia wprowadziło mnie sześciu hemu — neczer, poprzedzanych radą starszych kapłanów. Trzech najstarszych z nich, prowadziło ceremonię, czwartym był cher — heb.

Tego dnia najwyższy kapłan w osobie samego Menesa, nie uczestniczył w tej części rytuału. W domu życia nie odbywała się żadna ceremonia, jedynie omawialiśmy nasze poczynania, a raczej ich kolejność.



Nocne czuwanie

Kiedy nadeszła noc i Honsu pokazał się niebie w całej swojej okazałości z domu życia wyruszyłem w orszak kapłanów, którzy poprowadzili mnie do świątyni wielkiego Ptaha. Tam miałem spędzić noc w jego sanktuarium na modlitwach i rozmyślaniach.

Po śmierci Nebtawi'ego, mojego poprzednika i wielkiego arcykapłana, (zgodnie ze zwyczajem) orszak prowadził najstarszy wiekiem i rangą hemu — neczer, przybrany tymczasowo w insygnia jego władzy. Ja szedłem za nim, a za mną, pozostali starsi kapłani. Pochód zamykali, uabu. Wszyscy odświętnie ubrani nieśli nad głowami zapalone pochodnie, co nadawało tej uroczystości jeszcze większej ranki i posmaku tajemniczości.

Tej nocy, chyba pół miasta wyległo na ulice, aby zobaczyć następcę Nebtawi'ego i przyszłego arcykapłana. Znali mnie już, jako budowniczego wielkiej świątyni Ptaha, jednak moja nowa rola była dla nich nowością. Wśród tłumu widziałem, co znaczniejsze głowy naszego państwa, a także ludzi prostych i niewolników. Każdy na widok naszego orszaku padał na twarz i nie pozwalał sobie patrzeć na nasze oblicza. Łamanie tego nakazu było natychmiast karane batami idącej przy naszym boku gwardii faraona. Korowód poruszał się wolno i majestatycznie. W światłach pochodni złotem lśniły nasze naszyjniki, bransolety i pasy.

— „Jak wiele dzieli nas kapłanów od tej szarej ludzkiej masy?” — pomyślałem, rozglądając się wokół — „co o mnie myślą oni, ci prości i niewykształceni ludzie? Pewnie nic dobrego, bo jestem jednym z tych, na których oni ciężko pracują? Może przez takich jak ja, ich grzbiet spływa krwią. Łzy i przekleństwo jest ich codziennym chlebem. Czy mogę to zmieść? Jutro podczas uroczystości zaprzysiężenia przed obliczem faraona zostanie przekazana mi władza o jakiej kiedyś marzyłem. Władza, która nie może czynić ze mnie pyszałka, ale tego, który będzie służył i pomagał temu ludowi. Innej drogi nie znam, taką sobie wybrałem” — pomyślałem.

Pochodem dotarliśmy przed świątynne pylony. Tam gwardziści nie wpuszczali już tłumu na klasztorny plac, a jedynie kapłanów i najbliższych z mojego otoczenia. Ci ostatni, także odejdą po pierwszej części ceremonii, to znaczy od momentu, kiedy będę leżał w sanktuarium, przed posągami Ptaha. Zobaczą jedynie, jak wchodzę do świątyni i na tym zakończy się oglądanie tego widowiska.

Doszliśmy do świątynnej świętej sadzawki, gdzie odbył się rytuał poprzedzający pierwszą ceremonię. Tych sześciu wybranych hemu — neczer pomogło mi zdjąć z siebie odzienie tak, że zostałem tylko w samej przepasce.

Potem umyło moje ciało i wysmarowano olejkiem, wonnościami i ponownie przyodziano mnie w szendit. Pomimo, że wykąpałem się już u siebie, ta kąpiel była ceremonialną i musiała zaistnieć w tym całym rytuale święceń. Z ozdób pozostawiono mi jedynie, ankh. Pozostałe kosztowności zabrano do przechowania, oddając w ręce Orypisa.

Teraz nastąpiła druga część ceremonii.

Kapłani odprowadzili mnie do sanktuarium przed wielki posąg Ptaha, gdzie miałem spędzić noc na modlitwach i medytacjach, (leżąc krzyżem na posłaniu z palmowych liści). Te, oznaczały moją łączność człowieka z wielkim Gebem, bóstwem ziemi.

Geb, jak i inni bogowie podlegali władzy najwyższego stwórcy, jakim był wielki Ptah. Ten odpoczywał już w swojej arce po codziennej wieczornej ceremonii pożegnania.

Kiedy ułożyłem się już na ziemi kapłani odeszli, zostawiając mnie samego w pustym, jak grobowiec, sanktuarium. Kiedy zaryglowano i zapieczętowano za mną drzwi, nastąpiła głęboka cisza, taka, że słyszałem przebiegające obok mnie, myszy.

— „Moi bliscy pewnie już opuścili plac i jedynie przed świątynną bramą pozostała gwardia, pilnująca wejścia na teren świątyni” — pomyślałem.

Honsu, pewnie świecił teraz, gdzieś z wysoka nad moją głową, niczym wielka latarnia, bo jego blade światło wpadało do środka przez okienka pod stropem sanktuarium, oświetlając z lekka tylko kilka miejsc. Poczułem się, jakby położono mnie w wielkim kamiennym sarkofagu. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak czuje się wielki Ptah, mieszkając w takim pustym i odludnym miejscu? Być może bogowie są przyzwyczajeni do takiej samotności, jak my ludzie do bycia ze sobą?

Jak poprzednio, leżenie w pozycji z wyciągniętymi na boki rękami stawało się dla mnie coraz bardziej niewygodne. Jedyne dla mnie rozsądnym wyjściem, było opuszczenie swojego „chet” i przetrzymanie tego czasu poza ciałem. Leżałem, myślałem i starałem się skupić nad tym, aby moje „ka” opuściło „chet”.

Przeszłość i terażniejszość przewijały się prze moje myśli.

— „A jakie będzie jutro, pewnie samo zadba o siebie?”

Znałem wiele prawd dotyczących swojej przyszłości, ale te w tej chwili nie były mi potrzebne. Myślałem o swoich rodzicach, dziadku, Neferi i przyjaciółach, którzy teraz w moim domu czekają na mój jutrzejszy, wielki dzień.

Wiedziałem, że blisko mnie był ktoś jeszcze, lecz ściana pamięci na zawsze oddzieliła mnie od tej osoby. Nie potrafiłem „przekroczyć progu” jej domu. Ten, był dla mnie czarnym murem, nie do pokonania.

— „Dlaczego nie pamiętam tych chwil, o wielki Ptahu?”

W sanktuarium nadal panowała taka cisza, jaka teraz powinna zapanować

w moich myślach. Odprężyłem się na dobre i zamknąłem oczy. Obok posągu słabym światłem paliły się jeszcze pochodnie, pozostawione przez hemu — neczer.

— „O wielki Ptahu, pozwól mi połączyć twoje myśli z moimi, abym zrozumiał ten świat i jego najskrytsze tajemnice”.

Zacząłem się skupiać i po chwili, byłem już w innym świecie. Widząc już z góry swoje ciało zacząłem się zastanawiać, gdzie i co chciałbym zobaczyć. Jedna myśl wystarczyła, abym powędrował w najdalsze krańce tego świata i nie tylko.

Mogłem zobaczyć daleką przeszłość, a także i przyszłość. Mogłem nawet zobaczyć dalsze chwile mojego wyświęcania, ale akurat te, mnie nie interesowały. W pewnym momencie zobaczyłem dziwny świat, jakiego nie widziałem poprzednio, podczas wędrówek mojego „ka”. Co dziwne nie mogłem dojść do tego, czy to przeszłość, czy też przyszłość.

Ten świat był piękny i wspaniały. Ziemia którą zobaczyłem była, jakby wielką wyspą na jeszcze większym oceanie. Ludzie tam mieszkający budowali wielkie piramidy i stawiali posągi, może mniej okazałe pod względem wielkości, jak te nasze w Kemecie, ale dużo piękniejsze. Nie były to posągi ich bóstw, (bo takich, nie mieli) gdyż tam czczono tylko jednego boga. Nigdzie nie widziałem jego podobizny, a tylko mówiono i pisano o nim. Musiał być bardzo potężny, gdyż cały ten lud bał się jego gniewu.

Piękno, było tu wszechobecne, a od złota cenniejsza była sztuka i liczyły się umiejętności każdego człowieka. Budowano wspaniałe ogrody, a woń przepięknych kolorowych kwiatów przenikała powietrze, niczym nasze najlepsze wonne olejki. Wielu z mieszkańców tej ziemi, posiadało dziwne rydwany, (bez koni) poruszające się nawet nad ziemią. Wędrowano nimi w różne strony, bawiąc się i radując z każdego dnia, niczym małe dzieci.

Ten lud budował też inne, dziwne i nieznane mi maszyny, które wykonywały za nich wiele prac. Być może przez nie, ci szczęśliwi ludzie doznali wielkiej kary? Pycha z tej doskonałości i samouwielbienia stała się dla nich nieuchronnym początkiem, ich końca. Człowiek chciał stać się bogiem, ale żaden z bogów nie ścierpi takiego wywyższania się ponad siebie. Zlekceważyli swojego stwórcę myśląc, że ich mądrość jest ponad jego mądrością. Nie słuchając jego upomnienia doczekali się kary i część ich świata, pochłonęło morze. Nic to jednak nie zmieniło i po raz drugi kolejna jego część zniknęła pod wodą. Z wielkiej niegdyś ziemi pozostał tylko niewielki jej skrawek. Dopiero teraz wielu uznało swoje winy i zaczęło prosić stwórcę o wybaczenie. Jednak nie wszyscy przyznawali się do swoich przewinień. Tym, co prosili o wybaczenie, bóg darował przewinienia i ostrzegł przed kolejną karą. Jego wybrańcy zabrali swoje rodziny, załadowali dobytek na statki i odpłynęli.

Stwórca względem nich miał swoje plany i rozproszył ich flotę po morzach. Za jego wolą wszyscy dopłynęli jednak bezpiecznie do innych, nieznanymi im

ziemi i tam pozostali już do końca.

Cała reszta tego sprzeniewierzonego ludu, (a pozostała na tej wyklętej przez ich boga, ziemi) pogrążyła się w falach wielkiego oceanu. To była wielka tragedia, jakiej nie widział ten świat. Krzyki: mężów, starców, kobiet, dzieci nikły w głębinach, zagłuszane hukami potwornie wielkich fal. Po niej, nastąpiła dziwna cisza i był tylko szum morza i pustka po wielkiej niegdyś, ziemi. Nie mogłem na to patrzeć, bo w uszach wciąż brzmiały mi krzyki ginących ludzkich istnień.

Zobaczyłem też niewielu ludzi prawych, ocalonych z tego pogromu, a nie mogących odejść wraz z pozostałymi. Im stwórca nakazał odejść w góry i tam przeczekać to piekło, jakie rozpętał na ich ziemiach. Pomiędzy nimi nie było zbyt wielu młodych, przeważnie byli to wiekiem sędziwi już ludzie. Z wielkiej niegdyś ziemi pozostało tylko kilka większych wysp, kiedyś wierzchołków górskich szczytów.

Wróciłem w inny czas. Zobaczyłem coś strasznego, wystający grot z mojego pozbawionego już życia, ciała. Wiedziałem, że to nastąpi, ale nie o to chodziło teraz w moim widzeniu. Zobaczyłem Akara, jak ostrożnie odsuwa ciało martwej kobiety, leżącej na mnie. Odwraca i mnie, powoli wyjmując włócznię i przyglądając się śmiertelnej ranie. Włócznię zabiera, ale po to, aby wbić na nią głowę tego, co pozbawił mnie życia. Potem usadza ją w ziemi w pośrodku placu. Ludzie podchodzą i patrzą, wielu pluje na nią, złorzecząc i przeklinając tego człowieka. Słyszę słowa Akara, który nakazuje gwardzistom zabranie jego ciała i wywiezienie na pustynię i porzucenie na pastwę dzikich zwierząt. To najstraszliwsza dla niego kara, bo jego „ka”, będzie się teraz błąkać po tej ziemi, aż po wsze czasy. Kilku pozostałym zbrojnym, Akar nakazuje załadowanie naszych ciał na wozy i zawiezenie ich do domu umarłych. Mówi o tej kobiecie, nazywając ją imieniem, Jasmine. Widzę krew na swoim ciele i tę, która pozostała tam na placu. Moja, jest czerwona i jakaś zarazem jaśniejsza, krew mojego zabójcy, jest czarna, tak czarna niczym sadza, jak i jego „ka” było i jest czarne. Pewnie w rzeczywistości jest inaczej, ale jestem w innym świecie.

Nie mogę zobaczyć sądu Ozyrysa, ale coś podpowiada mi, że na „ka” mojego zabójcy czeka już Ammit. Wiem, co to oznacza i gdzie teraz trafi po śmierci. Zasłużył sobie na taką karę, ale nie tylko on, bo są jeszcze inni, którzy wysłali go do mnie, aby odebrał mi życie. I oni trafią w to samo miejsce i przeklętą będzie ich przyszłość, po wsze czasy. Ich „ka” już jest zatracone, a oni nawet o tym nie wiedzą.

Pewnie mija kilka dni, gdyż widzę, jak zbrojni zabierają z placu włócznię z głową tego człowieka i tak samo, jak i jego ciało wywożą na pustynię, rzucając w piasek. Włócznię przywożą do Akara, ten patrzy na jej grot i płacze w samotności, myśli o mnie. Jakoś mi ciężko, nieprzyjemnie i smutno, to mój przyjaciel i wierny druh, a ja jestem w jego myślach. Ten, postanawia zostawić

włócznie dla siebie, ona będzie jego amuletem i pamiątką po mnie, Taicie. Wyczuwam, że Akar stoczy jeszcze wiele potyczek w swoim życiu, a ona obroni go przed jego wrogami. Kiedy i on odejdzie, dożywając późnej starości, żołnierze złożą ją u jego boku, tuż przy sarkofagu. Miną lata, a ona będzie tam leżeć, póki jej drzewca nie zniszczy robactwo. Po włóchni postanie tylko zmatowiały, zielony grot. Ten, ukradną cmentarne hieny i sprzedają zamorskiemu kupcowi. Grot wędrował będzie jeszcze przez wiele krain, pozbawiając życia i tych dobrych i tych złych. Potem zniknie gdzieś w krainie Geba i tam pozostanie na zawsze. Wielu szukać go będzie, lecz nie wiem, dlaczego? Nie dane jest mi to zobaczyć i dlaczego widzę to wszystko, także nie mam pojęcia?

Wędruję dalej w swoich wizjach.

Jestem obok Neferi. Widzę ją i kim zostaje. Piękne szaty zdobią ciało tej także pięknej arcykapłanki. Jest w jakiejś świątyni, lecz to nie jest świątynia Hathor. To inna bogini i ma głowę kota, nie znam takiej? To przyszłość, jaka ją czeka. Obok niej widzę inną, młodszą kobietę, bardzo do niej podobną. Ta młodszą, jest jeszcze uabu, jakbym widział Neferi z lat jej młodości, piękna jak ona. To bliska dla Neferi osoba, ale nie mogę dociec, kim ona jest? Wiem tylko, że to krew z jej krwi. Neferi, zwraca się do niej po imieniu i zwie ją Ta — Nef. To imię, jakoś dziwnie i znajomo dla mnie brzmi. Dłuższą chwilę przyglądam się obydwu kobietom. Neferi, traktuje młodą uabu, niczym matka swoje dziecko. Czyżby to była ...? Nawet nie potrafię w to wnikać, nawet nie chcę.

Ponownie widzę obrazy z chwil mojej śmierci. Widzę dosyć wyraźnie tę kobietę, której ciało wcześniej zobaczyłem leżące na moim w chwili mojego odejścia. Jest prześliczna i jak Neferi i wiem że darzy mnie wielką, (także nieodwzajemnioną) miłością.

Jesteśmy w moim rodzinnym mieście. To, jakaś wizyta u rodziny, związana z moją pracą. Po wielu latach mojej nieobecności chcę zobaczyć, jak wiele się tam zmieniło i zapraszam dziewczynę na spacer. Idziemy w znane mi miejsce w kierunku ruin starej świątyni, gdzie kiedyś, tak wiele mnie spotkało. Po niej pozostało jeszcze większe gruzowisko i nie ma już tam żadnego wejścia do podziemi. Ziemia ponownie ukryła swoją tajemnicę i być może komnatę o jakiej wspominał mój dziadek? Dziewczyna nawet nie wiedziała, co skrywało to miejsce. W pamięci przypominam sobie chwilę, kiedy ukrywałem w nowym domu zwój dziadka. W tej wizji z ruinami, także nie chciałem wnikać głębiej w tajemnice tego miejsca.

Wędrowka mojego „ka” nie kończy się na spotkaniu z kapłankami i Jasmine.

Przez długą chwilę widzę ciemność z której, jakby nie było wyjścia. Mam inne „chet” i znowu widzę świat innymi oczyma. Te obrazy są dla mnie trudne do zrozumienia, ale wiem, że nie są one snem. Obok mnie, trzymając mnie za rękę kroczy piękna dziewczyna o długich czarnych włosach. Wyczuwam, że jest to ta,

której ciało spoczywa obok mojego w skalnym grobowcu.

To Jasmine, jak wcześniej odczytałem to poprzednio z pokrywy na sarkofagu, ale teraz jest w innym już „chet”.

Jest zimno i nasze ciała okrywają długie czarne stroje sięgające nam daleko, poza kolana. Rząd płaskich i okrągłych kółeczek spina to dziwne dla mnie, odzienie. Nasze stopy są przyobleczone w jakieś, (także dziwne) sandały. Różnią się od tych naszych i są jedną całością bez rzemyków opasujących nogę, (jakby ktoś sukniem owinął stopę). Są też inne rzemyki służące jedynie do ich związania. Przez spore dziury w tych dziwnych sandałach do środka wlewa się nam zimna woda i błoto, przez jakie brniemy, idąc po tej nieznannej nam ziemi. Jesteśmy w wielkim wąwozie, którego krańców nie widać. Cała okolica pokryta jest jakimś białym puchem, który wraz z deszczem spada powoli z nieba. Przytuleni do siebie, trzęsąc się z zimna kierujemy się do wyjścia z tej wielkiej doliny. Za nami daleko w tyle, stoi jakaś potężna machina, która ogromnym kołem zagarnia, (może zjada?) olbrzymie ilości ziemi. Ta znika w jej wnętrzu, aby później być wypływana na kilka wielkich, jak świątynia, wozów. Na te wozy trafia oddzielona kolorami masa, która niedawno była właśnie tą zwykłą, różnokolorową ziemią. Ten ogromny wąż, (którym teraz idziemy) powstał za jej przyczyną, a ta nadal powiększa jego szerokość i głębokość. Wiem, że to co robi jest świętokradztwem wobec Geba i on kiedyś upomni się o to wyrządzone mu zło. Nie tylko on cierpi z tego powodu, ale i my, zwykli, prości ludzie. Wyczuwam, że tylko niewielu czerpie z tego korzyści, nie interesując się losem innych, to faraonowie tych czasów. Z moją ukochaną dziewczyną u boku, jest mi dobrze. Nasza przeszłość i przyszłość nie istnieje, jest tylko dzień dzisiejszy. Każdy z kolejnych nadchodzących dni jest coraz trudniejszym w naszym życiu. Brakuje jedzenia i wody, a zniszczona ludzką ręką kraina Geba, nie daje nam plonów i jałowa, niczym wypalony słońcem piasek. Ci, którzy chcą ją uprawiać są przepędzani i uciekają spod kół nadjeżdżającej maszyny, a ona zabiera im wszystko. Zabiera nie tylko pola, domy, ale także i nadzieję na lepsze jutro. Myślę jednak, że to nie ona jest winna, ale ludzi, którzy ją tu przysłali. To straszny obraz, ale nie jedyny, bo przechodzę w inny świat.

Szukam mojej ukochanej, Jasmine, lecz jej nie znajduję. Może nawet i lepiej, że tu jej nie ma w takim złym miejscu.

Wchodzę do jakiegoś dziwnego miasta. Otacza mnie gromada ludzi, niczym biedota z ulic Enettentore. Każdy z nich stara się odsprzedać mi jakieś dziwne i nieznanne mi sprzęty i przedmioty. Te nie mają żadnego znaczenia w tym świecie i są bezużyteczne. Ludziom chodzi o jedzenie i wodę, której bardzo tu brakuje, więc starają się sprzedawać to, co mają pod ręką, aby zaspokoić głód. Domy tego miasta są ruinami o wielu kondygnacjach, a ja nigdy tak wysokich domów nie widziałem. W ich murach, widać puste i wypalone okna. Nie znam takiego ognia, który strawiłby takie budowle. Kiedyś pewnie tętniło tu życie i było pięknie, a teraz

...? Wygłodzone dzieci w podartym odzieniu biegają po ulicach. Co starsze dziewczyny, (też prawie jeszcze dzieci) zapraszają mnie za pieniądze na chwilę rozkoszy, podobnie i starsze niewiasty. Nie widzę ludzi starych, pewnie poumierali z tego niedostatku? Mężczyźni patrzą na mnie podejrzliwie, widząc pewnie we mnie jakiegoś wroga? Ktoś mówi mi o wielu walkach w których nie było tych, co wygrali te bitwy, ani tych, co je przegrali. Byli tylko oni, którzy ocalili z tego pogromu.

Jakaś młoda kobieta podaje mi rękę i zaprasza do siebie, do domu. Jej domem jest wilgotna i zimna piwnica. W niej dwójka dzieciaków czeka jej powrotu. Jeśli się nimi zaopiekuję, to przeżyją nadchodzący czas, kiedy zimny biały puch zacznie spadać z nieba. Kobieta jest wdową. Podaję jej rękę, to na znak mojej zgody. Teraz czuję ciepło jej dłoni, lecz nie tylko dłoni. Za to, co uczyniłem dla niej i jej dzieci, pragnie oddać mi swoje serce i ciało. Lecz nie tędy wiedzie droga, bo musimy odnaleźć w sobie to, co najważniejsze, miłość do siebie, a ja, także miłość do jej dzieci. Co przyniesie nam przyszłość? Nie widzę jej, bo nawet nie chcę jej widzieć żyjąc w takim miejscu.

Moje „ka”, przechodzi w inny czas. Wracam do miejsca, gdzie kiedyś widziałem już świetlistą postać. Ona jest tam nadal i jak poprzednio, promienieje nadludzkim światłem.

— Witaj, Taito, znowu tu jesteś?

— Tak, panie, ale ja wciąż nie wiem, kim jesteś?

— Wtedy ci powiedziałem, a ty znów pytasz.

— Panie, nie zrozumiałem twoich słów i dlatego tu wracam?

— Nadejdzie czas, kiedy przejrzysz i zrozumiesz. Będziesz mi wiernym sługą, a ja twoim panem, jednak minie wiele czasu zanim to nastąpi. Kemet zobaczy jeszcze wielu władców i upadnie, niczym olbrzym na glinianych nogach. Wtedy nadejdzie mój czas.

Już kiedyś, (o czym nie możesz pamiętać), ale w tej wędrówce zobaczyłeś już tragedię swojego ludu. Ty wraz z swoim bratem zaświadczyliście o prawdzie swojego stwórcy, a mojego ojca. To było tak, jakbyście i o mnie, świadczyli. O prawdzie mówiliście waszym braciom i siostram. Nie usłuchali was, to jakby i mojego ojca zlekceważyli i odeszli na zatracenie w głębiny morza, a ich „ka”, cierpieć będzie po wieki. Morze, was ocalałych nie pochłonęło, chociaż po nim, długo trwała wasza wędrówka. Kiedy utraciliście nadzieję, on dał wam nowy dom i na nowej ziemi zaznaliście spokoju, aż siwe włosy pokryły waszą skroń. Wtedy odszedłeś, bo twoje serce znowu ucierpiało i przestało bić za przyczyną innego człowieka. Takim wtedy był twój los, Taito.

— Panie, znowu nie rozumiem tych słów?

— Tej przeszłości nie pamiętasz, ale już zobaczyłeś, jak było. Widzisz, co będzie, ale to jest twoją zmorą i cieniem, które wlecze się za tobą. Postaraj się

zrozumieć, co do ciebie mówię, a przejrysz. Powiedziałem, że nadejdzie czas, a teraz nie pytaj o tę dziewczynę u boku kapłanki. Cokolwiek byś pomyślał to i tak, nie było spełnieniem twojej woli. Już raz pytałeś i wciąż masz wątpliwości, jak każdy człowiek. To ty sam powiedziałeś, że miłość ma różne oblicza, a my nie wiemy, czy wybieramy to właściwe? Ja powiadam ci, że nie uczyniłeś nic złego, co by skałało twoją czystość, chociaż, nie mnie ją ślubowałeś. Miłość jest ponad wszystko, zapamiętaj to na zawsze!

Kiedy odejdziesz do krainy swoich przodków, ja będę przy tobie i żadna krzywda cię nie spotka. Ja pomogę ci powstać, kiedy upadniesz pod ciosem ludzkiej zazdrości. Czyn jednak tak, jak postanowiłeś, aby wypełniło się twoje przeznaczenie. Teraz wracaj i niechaj twoje „ka” powróci do „chet”.

— Panie, zanim odejdę sprzed twojego oblicza powiedz mi jeszcze, czy to, co zobaczyłem w swojej wędrówce jest tylko wytworem mojego mózgu, siedliska emocji i pokus, czy to wypływa z mojego „ib” (serca)?

— Jeszcze nie czas, abyś to zrozumiał do końca, lecz według waszego rozeznania wypływa to z twojego serca i nie może być inaczej.

Otworzyłem oczy. Nadal leżałem plackiem na ziemi z wyciągniętymi po bokach rękami. Pomimo tego, że ta wyściółka z palmowych liści dzieliła mnie od posadzki, to chłód kamiennej płyty przenikał całe moje ciało. Podbródek wsparty na niewielkim podglówku pozwalał mi patrzeć na posąg wielkiego Ptaha.

Ra, wytaczał swój rydwan na bezmiar krainy bogini Nut, niebo pojaśniało. Patrzyłem na posąg bóstwa i rozmyślałem, kim była ta postać, bo na pewno, nie Ptahem? On zna moje myśli i słabości. Pomimo wielu wędrówek, nigdy nie spotkałem naszego boga, a ta, (zapewne boska istota) którą zobaczyłem, już po raz drugi była dla mnie kimś przychylnym. Ze spotkania z nią, moje „ka” zawsze wychodziło, jakieś spokojne i promieniujące radością.

Powiedział mi, że nie mam pytać o niego, że nadejdzie ten czas, kiedy to nastąpi. Pomimo jego tajemniczych słów nie odczuwałem potrzeby, aby się w nie zagłębiać. Rozmyślając teraz o tym spotkaniu, już po chwili znalazłem się w krainie snów. Zmęczone „chet” odmówiło mi posłuszeństwa i zasnąłem.



Arcykapłan

Przebudziło mnie lekkie trącenie w plecy.

— Nie śpię, medytuję z zamkniętymi oczami — odezwałem się widząc przed sobą Orypisa.

— Jeśli śpisz, to się przebudź, bo wkrótce będą tu kapłani i Menes. Wszystko w porządku u ciebie, pewnie znowu wędrowałeś swoim „ka” po różnych krainach? Jak ja bym tak chciał — dodał jeszcze.

— To się naucz — odparłem bez zastanowienia — a teraz odejdz, skoro tamci mają za chwilę nadejść. A przy okazji, jak tu wszedłeś — zapytałem kapłana.

— Pewnie wędrując po zaświatach, nawet się nie zorientowałeś, kiedy łamano pieczęć i otwierano drzwi do sanktuarium?

Oczekiwanie na Menesa i radę, nie trwało zbyt długo. Usłyszałem dźwięk trąb i pewnie, (jak wczoraj) orszak wyruszał już z domu życia. Tym razem miał go prowadzić sam władca i zarazem pierwszy kapłan Ptaha. Tłumu wiernych i ciekawskich nie wpuszczono na teren świątyni. Jedynie gwardziści mieli nakaz, aby przepuścić moich bliskich, jak to z nimi ustaliłem.

Rozpoczęła się ostatnia część ceremonii. Podeszli do mnie hemu — neczer i pomogli mi wstać, gdyż moje „chet” zdrętwiało od chłodu i leżenia w jednej pozycji. Pozostali kapłani na czele z Menesem, rozpoczęli ceremonię budzenia naszego bóstwa. Mnie poprowadzono do świętej sadzawki i ponownie obmyto moje ciało. Z daleka widziałem moich przyjaciół stojących przed bramą.

Kapłani, pomogli mi przyodziać się w odświętne szendit obszywane złotą nicią. Wcześniej wygolili skórę do gładkości, oliwką natarli moje ciało i umalowali twarz. Namaszczenie świętymi olejkami miało nastąpić później, już w samym sanktuarium, (po tym oczyszczeniu) gdzie miałem złożyć ślubowanie. Tron Menesa ustawiono tuż przed drzwiami wejściowymi do nawy kapłanów tak, że władca mógł obserwować wszystko, co działo się na świątynnym dziedzińcu. On sam, obecnie pozostał jeszcze w sanktuarium. Kiedy kapłani przyprowadzili mnie przed jego oblicze, wstał i w geście powitania podszedł w moją stronę. Za nim postępowało czterech przedstawicieli rady starszych niosąc insygnia mojej przyszłej władzy. Za władcą stał cher — heb i jako lektor zaczął odczytywać modlitwy powitalne zapisane na zwoju.

Kiedy ukończono i ten rytuał dla mnie mnie nadeszła ta, najważniejsza chwila w moim życiu. Menes ustawił się teraz z boku, a ja na kolanach z pochyloną głową klęczałem przed posągami bóstwa. Cher — heb, zaczął odczytywanie drugiego zwoju. Odczytywał słowa w moim imieniu.

— Ja twój pokorny i niegodny ciebie sługa Taita, klęcząc przed twoim świętym obliczem o panie, stwórcu nieba i ziemi, proszę o łaskę namaszczenia

mojego „chet” twoimi świętymi olejkami. O wielki, proszę także o łaskę bycia godnym przyodziania świętych szat arcykapłana, twojego sługi. Za twoim przyzwoleniem o wielki Ptahu, pragnę dostąpić tej wysokiej rangi kapłańskiej, aby służyć tobie o wielki, swoim: „chet”, „ka”, „ba” i „sachu”. Niechaj moje „ib” (serce) bije dla ciebie, a mój cień niechaj będzie twoim „chai bit”, (cieniem).

Proszę o łaskę dla mojego „achu” (świecanej postaci), aby moje „ren”, (imię) było godne łaski wymawiania go w twojej obecności.

Proszę także o wszelkie łaski dla twojego pierwszego kapłana Menesa, syna Horusa, oraz moich braci kapłanów i uabu, wiernie ci służących. Proszę o łaski dla naszego oddanego tobie ludu, aby ten, wielką wolą był tobie oddanym i z wielką czcią wychwalał imię twoje, po wsze czasy.

Panie świata, przyjmij moją ofiarę służenia tobie, póki moje „ka” będzie związane z „chet” i wielki Sokaris, nie nakryje go wiekiem czasu. Jestem gotów służyć tobie panie do ostatniego mojego oddechu.

Te ostatnie słowa wypowiedziane przeze mnie, zakończyły czytanie zwoju przez cher — heba.

Menes podszedł jeszcze bliżej mnie i wyciągnął rękę w kierunku pucharka zawierającego święte balsamy, a trzymanego przez jednego z kapłanów. Zagarnął go rękami i zaczął namaszczać moje ciało, rozpoczynając od głowy. Kiedy ukończył, cher — heb rozwinął kolejny zwój i czytał go teraz w imieniu pierwszego kapłana.

— Ja wielki władca tej ziemi i twój pierwszy kapłan o wielki Ptahu, namaściłem tego oto hemu — neczer i cher — heba, Taitę, świętymi balsamami i olejkami, aby stał się godnym bycia arcykapłanem i twoim wiernym po mnie, sługą.

— Wstań, Taito — usłyszałem z ust Menesa

— Zgodnie z twoją wolą o wielki Ptahu, nakrywam jego ramiona skórą lamparta, aby chroniła jego „chet” przed złem tego świata.

Teraz władca narzucił mi nową skórę tego zwierzęcia podaną mu przez pierwszego z rady starszych.

— Zgodnie z wolą twoją o wielki Ptahu, zawieszam na szyi tego człowieka święty pektorał, aby był symbolem jego godności i władzy sprawowanej w twoim imieniu.

Drugi kapłan rady podał Menesowi pektorał, a ten zawiesił go na mojej szyi.

— Zgodnie z wolą twoją o wielki Ptahu, wręczam tobie, Taito kapłańską hekę, znak jego władzy i pasterza twojego wiernego ludu.

Teraz trzeci kapłan podał władcy hekę, a ten wręczył mi ją, jak i wcześniejsze moje insygnia. Skóra lamparta była nowa, jak i heka ze złotą główką, zakończoną pieczęcią do otwierania skarbca. Pieczęć była tak wykonana, że stanowiła główną ozdobę jej drzewca.

— Uklęknij, Taito — usłyszałem ponownie od Menesa.

— Zgodnie z wolą twoją o wielki Ptahu, nakładam na głowę twojego sługi, infułę, zdobną świętym węzem ureuszem, znakiem godności arcykapłana.

Z tym dniem, zostałeś wywyższony do tej godności, aby służyć bogu, mnie i naszemu ludowi.

— Wstań, Taito.

Wstałem, podpierając się przy tym moją nową heką. W tej oto chwili, wypełniło się to, co było wolą naszych bogów. Spełniły się przepowiednie mojego ojca, dziadka, Neferi i moje.

Stałem się tym, kim miałem się stać. Stanąłem na najwyższym stopniu władzy kapłańskiej, nie licząc pierwszego kapłana, jakim był on, faraon. Władca po śmierci stanie się bogiem, a ja towarzyszyć mu będę w jego ziemskiej wędrówce do końca moich, albo i jego, dni.

Menes oddając jeszcze pokłon Ptahowi, jako pierwszy skierował się teraz do wyjścia. Wychodziłem tuż za nim. Przyodziany teraz w skórę lamparta z złotym pectoralem na szyi, infułą na głowie i trzymając w prawej ręce hekę, symbole władzy arcykapłana, wyszedłem przed świątynię i zatrzymałem się na przedostatnim stopniu schodów, jednak tak, aby być poniżej oblicza królewskiego majestatu. Tron Menesa ustawiono na ostatnim spoczniku świątyni, pomiędzy kolumnami. Pochylony do ziemi tłum, wiwatował na cześć władcy, a także i moją. Skinąłem głową w kierunku faraona, prosząc o pozwolenie na wygłoszenie mowy do ludu. Władca ruchem ręki trzymającej nechachę, udzielił mi takiego.

Zacząłem przemawiać:

— Jestem, Taita.

Zrodzony z matki Amantei i woli ojca mego, Tritoniusa.

— Jestem Taita, przyboczny kapłan i doradca Menesa, naszego władcy i pana Górnego i Dolnego Egiptu

— Jestem Taita, arcykapłan Ptaha, wielki budowniczy jego świątyni.

— Jestem Taita, medyk, uczony, mędrzec z woli bogów i swojej.

— Jestem Taita, strażnik życia na ziemi.

Pamięć moja w daleką przeszłość sięgać będzie, a czas płynący niczym urodzajny Nil, ukazywać mi będzie każde jej nowe oblicze. Jak każda kropla jego wody, tak każdy mój dzień napełniać mnie będzie wiedzą i mądrością zeń płynącą. Krew w moich żyłach, krwią przodków moich, a ich pamięć z moją splatać się będzie. Pragnę sięgnąć prawd wiedzy, jakich zna niewiele i znać nie będzie, po wsze czasy.

Taita

Posłowie

„Arcykapłan” jest ostatnią częścią opowieści Taity, kapłana Ptaha z czasów panowania faraona Menesa, (zwanego również Narmerem).

„Opowieści Taity” tworzą trylogię według kolejności:

„Dzieci Enettentore” cz. I

„Hemu — Neczer” cz. II

oraz „Arcykapłan” cz. III

Trylogię poprzedza wydana przez WFW w 2013 r. książka o tytule: „Jestem Taita”, która faktycznie zamyka dzieje tego kapłana.

Taita, (skromny bohater) piastujący jeden z najwyższych urzędów w starożytnym Kemecie, (po faraonie) opowiada o swoim życiu od czasów dzieciństwa do późnej, (kończącej się tragicznie) starości. Mówi nam o swoich wzlotach, upadkach i miłosnych uczuciach.

Taita jest człowiekiem nie pasującym do współczesnych mu czasów. Zawsze byli, są i będą tacy, (niestety coraz ich mniej) którzy dobro innych stawiają ponad swoje korzyści, poświęcając biedniejszym swój, (nie tylko materialny) dorobek życia. Takim człowiekiem był właśnie on, Taita.

Jako podsumowanie całej tej historii, powstaje także opowieść o Taicie pt. „Ta — Nef, córka Taity”. Jej bohaterka Ta — Nef dopiero na łożu śmierci matki, Neferi, dowiaduje się o swoim ojcu, Taicie. To jednak jej wspomnienia i refleksje na temat ukrywanej przez matkę prawdy na temat tajemnic ich związku.

Pisząc te opowieści nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele faktów historycznych znajdzie się w tych książkach.

Czytelnik, mógłby powiedzieć, że opisy niektórych wydarzeń, określeń itp., mają swoje źródło w informacjach znajdujących w tekstach zamieszczanych w internecie?

Nie zaprzeczam, że korzystam z tego źródła, ale bardzo rzadko i wtedy, kiedy jest to niezbędnie konieczne. Czy ktoś mi wierzy, czy nie, bardzo wiele istotnych informacji znalazło swoje potwierdzenie dopiero po wydaniu tych książek. Takimi ważniejszymi tematami była budowa fałszywego grobowca Menesa w nekropoli w Abydos, a także wątek sf., dotyczący „ognistej włóczni”, (laserowego pistoletu) jaki znalazł Taita w jaskini, poszukując miejsca pochówku dla swojego władcy.

O tej dziwnej zbieżności, (także po fakcie wydania książki) dowiedziałem się z artykułu: „Helikopter z Abydos”. Tu dodam jeszcze, że wątek ognistej włóczni był kasowany i wpisywany w tekst, aż trzy razy i wciąż „coś” nie dawało mi

spokoju, że ten przedmiot ma znaleźć odzwierciedlenie w tej opowieści.

Takich drobniejszych i nie znanych mi historycznych opisów, czy też i wątków jest wiele.

Teksty tych książek, (nawet do dzisiaj) odkrywają przede mną wiele takich dziwnych zagadek z nieznaną mi wcześniej przeszłości.

Jeden z moich czytelników: Pan Jan Strzyżewski (z Australii) stwierdził, że (tu cytuję jego słowa recenzji opublikowane przez księgarnię „Gandalf”):

Jozef Strzyzewski 25/04/2014

Bohater Taita nie tylko da się lubić ale także prowadzi nas przez życie starożytnego Egiptu. Wydaje się że jest to smutna postać ale także pomimo wysokiego stanowiska niezmiernie dobrego charakteru co doprowadziło to do jego zguby. Jego uczciwość i wiara wprost nie do pomysłenia aby osiągnąć w dzisiejszych czasach. Książka warta przeczytania nie tylko aby poznać Taitę i jego tok myślenia ale także dowiedzieć się kilku szczegółów na temat życia w Egipcie w tych czasach. Kto wie może ta książka doprowadzi Cię do nieodkrytych skarbów Faraona.

Może ostatnie słowa jego wypowiedzi mają jakieś większe znaczenie i faktycznie, coś kryje się za nimi, jak i sama opowieść Taity?

Ktoś powie, że bzdura i fikcja dotycząca ukrytych skarbów, ale do tej pory nie odnaleziono prawdziwego grobowca Menesa, a także i Taity, a w nekropolii w Abydos, (jak napisałem) jest tylko jego fałszywka. Tu dodam, że właśnie od czasów tego faraona zaczęto budować takie cynofaty (fałszywki), jakie wymyślił Taita. Kolejna zbieżność o której nie miałem zielonego pojęcia?

Domysły zostawiam Wam, czytelnikom, a jeśli ktoś ma ochotę, to niechaj szuka tego skarbu w jednym z wąwozów oazy El"Baharija położonej ok. 60 km na zachód od Memfis. Tu, także zbieżność mojego opisu z faktami. Taita poszukuje miejsca pochówku dla faraona i znajduje go o pół dnia drogi rydwanem od Ineb — Hedż (Memfis).

Lustrując później to miejsce, Menes w tej pięknej oazie odkrywa dla siebie miejsce do wspaniałego wypoczynku. Słuchając radia (jesień 2015 r.) dowiedziałem się, że właśnie ta oaza słynie z leczniczych wód, a przy okazji dowiedziałem się także, że niedaleko od jeziora tej oazy, odkryto bardzo starą nekropolię z czasów poprzedzającą czasy panowania władców I dynastii. O niej, (nekropolii) także jest mowa w mojej książce pt.: „Jestem Taita”.

Od kilku znajomych mi autorów dowiedziałem się także, że pisząc, wykorzystują do tego swoje sny i odzwierciedlają je później w opowieściach. Kiedyś i ja korzystałem z tej metody. Wtedy nie znałem jeszcze możliwości „wędrówek w czasie”, (na jawie)”. Takie możliwości pojawiły się u mnie dopiero

po przejściu śmierci klinicznej.

Od tego wydarzenia wiele zmieniło się w moim życiu i moja podświadomość zadziałała, niczym medium odbierającym informacje od tych, którzy kiedyś byli tu przed nami i mają mi coś do powiedzenia o sobie. Jeśli ktoś wie, jaki znikomy procent umysłu wykorzystuje człowiek, to nie muszę sugerować, jakie jeszcze tkwią w nas, możliwości? Takie traumatyczne wydarzenie lub wydarzenia wpływają na człowieka, „budząc” w nim różne i nie znane mu wcześniej, potencjały. Zazwyczaj odzwierciedla się to w różnych formach sztuki, a także i „tworzeniu” literatury. Ludzie pozbawieni kiedyś takich możliwości zaczynają malować, rzeźbić, śpiewać, pisać itd. Można by to określić w prosty sposób, że otwierają się przed nimi pozamykane dotąd „szufladki”, umysłu. Te, mogą być darem dla takiego człowieka, ale mogą być i naszym przekleństwem, kiedy dla przykładu widzimy naszą przyszłość. Według mnie, jest to już „wyższa szkoła jazdy” i naprawdę niewielu może tego doświadczyć.

Niestety, nasze media ubarwiają i eksponują wiele przepowiadni różnych autorów, jako dobrze sprzedający się temat. Zdrowy rozsądek powinien nam podpowiedzieć, kiedy i z czym mamy do czynienia?

Według holenderskiego kardiologa doktora Pim van Lommel’a (tu polecam wywiad pt.: Śmierć jest prawdopodobnie innym stanem naszej świadomości — mówi holenderski kardiolog) człowiek po śmierci nie odchodzi w nicość, a jego dusza, (czyli nieśmiertelna część naszej istoty, różnie określana w zależności kulturowej) istnieje w innym świecie i potrafi kontaktować się z żyjącą obecnie osobą pod warunkiem, że ta, posiada odpowiednie predyspozycje medialne.

Ja, nawet nie zauważyłem, kiedy odebrałem taki pierwszy przekaz. Poprzez sny na tzw. falach alfa dowiedziałem się o tragicznej historii kapłana z zakonu ojców Pallotynów, żyjącym w okresie II wojny światowej. Jego opowieść spisywałem przez kilka lat, gdyż obrazy w jego temacie pojawiały się bardzo niesystematycznie i w różnych odstępach, (nawet półrocznych) i bez kolejności zachowania następujących po sobie wydarzeń. Dopiero po trzeciej „wizji”, zauważyłem logikę tego przekazu i jego powiązanie z tą, tylko jedną osobą. Tak powstała opowieść: „Śladami ojca”. Jest ona niesamowita w swojej wymowie, gdyż zobaczyłem później w rzeczywistości wiele tych miejsc z nim związanych. Potwierdzono także istnienie takiej osoby i wydarzenia z nim związane. Przypadek?

Czy Taita istniał naprawdę? Ja twierdzę, że tak, ale to jest już zależne od woli czytelnika, czy jest w stanie uwierzyć w jego opowieść, tę spisana współcześnie przez swojego powiernika?

Taita, (ten współczesny)

Recenzje

(BRD) Jerzy K. ad. książki „Jestem Taita”

Re: Hejka!

Hallo Dan! No tak... Swieta-swieta i po Swietach :-)

:-(Co do ksiazki to wlasnie od jutra sie do niej zabieram bo teraz nie bylo czasu a do tej ksiazki musze miec czas i to wiele czasu. Kawalki ktore czytalem wprowadzaly mnie w zdumienie jakimi wiadomosciami dysponujesz na temat egiptu i starozytnosci w ogolnym tego slowa znaczeniu. Az trudno mi cie teraz zaszufelkowac w stosunku do Damiana ktorego znalem kiedys! Przeszedles przedziwna i piekna metamorfoze! Nie martw sie Dan! Dasz rade i finansowo bo ksiazka jest bombowa!!! Zycze Ci by byla Twoim zyciowym sukcesem! Do tego bowiem nie potrzebna jest systematyczna praca — do tego trzeba miec TALENT i Ty go posiadasz!



Recenzje Pani Barbary R.

Re(5): Witaj !

Witaj 😊

Późnym popołudniem dotarła do mnie Twoja książka...w tej chwili jestem na 87 stronie...jest cudnie wciągająca, wspaniałe opisy,,,przypomina mi to po trochu jakby starożytny Rzym po trochu przepowiednie Sybilli...Uklon Wielki w Twoją stronę !...to moje pierwsze odczucie ale nie ostateczna opinia.

Taita to wspaniały człowiek, chciałoby się nawet rzec, że to relikwiny epok minionych...prawdy bohater opowiadania, nieprzeciętna osobowość uosabiająca dobro ponad wszelką miarę.

Dla mnie jesteś naprawdę Wielki...książka wciąga jak najbardziej interesujący kryminał i to jest ważne, napisana prostym językiem ale niezwykle malowniczym. I tu właśnie u Ciebie widać to określenie "malowania słowem" bo czuje się poprzez lekturę ten wehikuł czasu....mnie też przeniosłeś do swojego czasu, też czuję się jakbym była wpisana w stronice książki...

Na razie serdecznie Ci Dziękuję 😊

Pozdrawiam i weny życzę do drugiej częścidobrej nocy i pogodnego poranka 😊

Re(3): Taita

Przeczytałam całą Twoją książkę i muszę przyznać, że będę do niej wracać...zakreśliła mnie się lezka w oku ale mogłam się spodziewać, że dobro czasami bywa kolcem dla wielu fałszywców i obłudników i tamtego Twojego świata i tego naszego współczesnego...nie zawsze ono wygrywa z podłościami, co nie znaczy by za zło odpłacać złem...wręcz przeciwnie.

Szkoda mi głównego bohatera, bardzo szkoda...nie zasłużył na śmierć ale i tu także jest wymowna sugestia albowiem tam gdzie się znajdzie na pewno czeka go odmienione życie....inne, bez cierpienia.

Obydwa motto bardzo wymowne....jesteśmy tylko chwilą na tym świecie i carpe diem - chwytajmy dzień jako niezwykle cud naszej chwilowej bytności jednocześnie dziękują Najwyższemu, że obdarzył nas takim a nie innym, nieocenionym Darem.

W tej chwili Twoje opowiadanie czyta mój młodszy syn...wiem, że podoba mu się. Zachwycił go obraz przeszłości...praca i doświadczenie głównego bohatera. Taita to wspaniały nauczyciel..chciałoby się mieć takiego na co dzień w szkole, w życiu...

Ja mam jednak niedosyt...zbyt szybko czytałam chyba albo chciałabym znać dalsze losy Jasmin i Taity...

Na razie jednak bardzo Ci dziękuję, że mogłam przez kilkanaście godzin pobyc w Twoim świecie.

Pozdrawiam serdecznie 😊

